

DUŠAN FABIÁN

RYTUAŁ

TOM 2

Przekład: Alina Kalandyk



GTW

CZEŚĆ 2

GOLIAT

Przywołaj mnie mym astralnym imieniem,
nakarm strach niemym językiem.
Boskie pragnienie - nieopisany ból,
pozbawiony tego, co ludzkie.
Stań twarzą w twarz z gniewem bez twarzy.
Przywołaj cicho spoza kręgu wszechświata,
przez poszarpane ruiny niedokończonych snów,
fatamorganę wież sięgających księżycą,
wznoszących się do niebios - by ściągnąć je w dół.

Anders Fridén
(In Flames „Behind Spice”)

Przybyliśmy -
krąg jest zamknięty.
Nastał czas, by przywołać demona.

Peter Tägtgren
(Hypocrisy „The Arrival Of The Demons”)



- Dziwoląg! - krzyknął chłopiec ubrany w krótkie spodenki i pierwszy rzucił we mnie kamieniem. Nie trafił. Ale jego odwaga ośmieliła pozostałych. Na żwirowym wale, tuż nade mną stało sześcioro dzieci. Wszystkie jak na rozkaz schyliły się po amunicję. Po chwili w moją stronę poleciała lawina kamieni. Jeden trafił mnie prosto w czoło. Na pewno rzuciła go dziewczynka. Wiedziałem, że z całej ferajny celuje najlepiej.

Rozpoznałem ich: Billa, Bena, Eddiego, Richarda, Stanleya i Beverly.

Ale jeżeli to naprawdę oni, wówczas...

Spojrzałem na przebranie klauna, które miałem na sobie. O trzy numery za duże buty, szerokie spodnie, nieforemna koszula. Na głowie pomarańczowa peruka, na twarzy biały makijaż, a nos boleśnie spięty szczypczykiem ukrytym w czerwonej kuli. Za nic nie dawała się ściągnąć. Ktoś, kto mi ją przyprawił, musiał użyć kleju.

- Przestańcie! - zawołałem i zasłoniłem się rękami. - To pomyłka!

W czoło trafił mnie następny kamień, a lewe oko zalała krew.

- Stójcie! Nie jestem tym, za kogo mnie uważacie!

Ale dzieci tylko wybuchnęły śmiechem.

- Jesteś pewien? - Obladowane ciężkimi kamieniami powoli zaczęły schodzić z wału.

Powinienem zrozumieć to od razu. Oczywiście, że wiedzą, kim jestem. Obojętnie, w co byłem ubrany. Nikt nie mógł przecież pomylić mnie z bezimiennym potworem z najstraszniejszych dziecięcych koszmarów.

Zamieniliśmy się rolami. Dzisiaj to one stoją po stronie zła.

Zacząłem uciekać. Na chwilę zmylił mnie ich wygląd. Ale gdy spojrzałem im w oczy... Czaiła się w nich śmierć.

Moje plecy zasypał deszcz kamieni. Wpadłem do jakiegoś dołu, a gdy z trudem z niego wylazłem, zbiegłem w dół zbocza w kierunku znajdującego się nieopodal lasu.

Olbrzymie buty przeszkadzały w chodzeniu, a co dopiero w biegu. Śmiejące się hałaśliwie diabełki deptały mi po piętach.

Uciekałem najszybciej, jak potrafiłem. Korzenie starych drzew ciągle plątały mi się pod nogami. Parę razy wpadłem w błoto. One zaś były coraz bliżej...

W końcu wydostałem się z otaczającego żwirowisko lasu. Przede mną wyrósł niski płot pomalowany w odblaskowe kolory, a za nim namioty, strzelnice i karuzele. Brama wejściowa była otwarta na oścież, a na wiszącej nad nią tablicy widniał napis:

LUNAPARK KRÓLA STEFANA

DERRY 666

Bez wahania wbiegłem do środka.

Gdy minąłem bramę lunaparku, wszędzie wokół zamigotały żarówki i neony, zapłonęły kolorowe ognie, zaczęły grać trąbki, bębny, harmonijki i zadźwięczały dzwoneczki. Rozkręciły się gipsowe kucyki, łabędzie, smoki i kręciołki z siedzeniami. Na szynach rozpedziły się wagoniki, a na torze z samochodzikami zaczęły wpadać na siebie puste autka. Nigdzie nie widziałem żywej duszy, ale na każdym kroku słyszałem głosy duchów.

I histeryczny dziecięcy śmiech.

Za rogiem Pałacu Strachów zobaczyłem rudą głowę Richiego. Do diabła! Jak im się udało mnie wyprzedzić?

Bez namysłu zmieniłem kierunek i wbiegłem do najbliższego namiotu. Okazało się, że wybrałem Labirynt w kształcie pszczołich plastrów. Z komórki do komórki prowadziły obrotowe drzwi znajdujące się zawsze tylko na jednej z sześciu lustrzanych ścian. Zrobiłem błąd. Nie powinienem tam wchodzić.

Ale nie mogłem zebrać myśli. Spieszyłem się. Prawie zablądziłem w sieci podobnych do siebie komnat. Najgorsze było to, że goniąca mnie dzieciarnia szybko wywęszyła, gdzie jestem, i ze zwycięskim wrzaskiem przyłączyła się do gry. Z każdej strony otaczały mnie głosy, kroki, śmiech, tupot nóg i porozumiewawcze pukanie. Modliłem się, żeby przechodząc z komórki do komórki, nie wpaść tylko prosto na moich prześladowców. Ale dopisało mi szczęście. Po kilku minutach rozpaczliwych poszukiwań w końcu otworzyły się przede mną drzwi prowadzące do światła. Odetchnąłem z ulgą.

Szybko przeczytałem napisy nad kotarami broniącymi dostępu do innych namiotów. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wejść do Sześciu Najsmaczniejszych Potraw, Sześciu Najskuteczniejszych Narkotyków, Sześciu Najwyższych Prawd czy może Sześciu

Najwspanialszych Rozkoszy. Nagle tuż za mną skrzyknęły drzwi wyjściowe Labiryntu i znowu musiałem uciekać.

Nie rozglądałem się dookoła. Kluczyłem między straganami z watą cukrową i kasami biletowymi. Okrężną drogą usiłowałem dostać się do Kącika Zabaw. Wtedy przypomniałem sobie, że w żadnym wesołym miasteczku nie może brakować Młotka Siłacza. Jeżeli jego trzonek nie został przykuty do kowadła z tablicą wyników, miałem szansę zdobyć przynajmniej prowizoryczną broń.

Już z daleka zobaczyłem czubek liczącej z tysiąc punktów tabeli. Najkrótsza droga do niej prowadziła między dwoma rzędami migoczących automatów do gry. Mrugały do mnie kolorowymi światełkami. Uśmiechały się otworami, przez które wypluwały szczęśliwcom wygrane pieniądze. Brzęczały tabliczkami z punktacją, wydawały mnóstwo głośnych dźwięków, a jeden z nich wykrzykiwał głosem robota:

- Spełnię każde życzenie! Spełnię każde życzenie!

Nie mogłem dać się omamić. Nie wolno mi było stanąć ani na chwilę.

- Spełnię najskrytsze pragnienia! Przenieś do świata marzeń! Ocalę od kłopotów!

Już niedaleko...

- Przenieś... Ocalę... - dudniło mi w uszach.

Coś mnie tknęło. Zatrzymałem się i zacząłem szukać automatu, który obiecywał to, co jest niemożliwe. Czyżby istniała droga na zewnątrz?

Za chwilę złudnej nadziei zapłaciłem mocnym uderzeniem w tył głowy. Kolejny błąd. To był podstęp.

Zakręciło mi się w głowie. Przed oczami latały mi czarne plamy i następne parę metrów przebiegłem, zataczając się nieprzytomnie. Nagle na drodze stanęła mi stalowa konstrukcja karuzeli. Z wdzięcznością oparłem o nią plecy i powoli osunąłem się na ziemię.

Zanim odzyskałem świadomość, sześcioro dzieci stanęło przede mną półkolem i podrzucając w rękach kamienie, upiornie wyszczerzyło zęby.

- Wstawaj, dziwolągu! - krzyczał Billy. - Wstawaj i uśmiechnij się. Chcemy zagrać o twoje zęby! Uzgodniliśmy, że wygrywa ten, kto wybije ich najwięcej!

Nie miałem dokąd uciec, ale nie zamierzałem stchórzyć. Nie chciałem się poddać. Tuż nad głową dostrzegłem jakiś szczebel. Zacząłem się wspinać. To nie była jednak karuzela - wchodziłem na szczyt ogromnej kolejki górskiej.

Szczeble miały sześciokątny przekrój. Zauważyłem też, że cały szkielet kolejki wspierają filary o podstawie w tym samym kształcie. Założyłbym się, że w tym upiornym miasteczku podobnie zbudowany był diabelski młyn i rampa huśtawki łańcuchowej, a gdyby spojrzeć z

lotu ptaka, pewnie i cały lunapark. Ale najważniejsze było to, że szczeble konstrukcji kolejki górskiej znajdowały się zbyt daleko od siebie jak na możliwości dziecka. Szóstka małych prześladowców nie mogła wspiąć się za mną.

Spojrzałem w dół. Bill, Ben, Eddie, Richard, Stanley i Beverly stali bezradnie na dole i obserwowali mnie z rozdziawionymi gębami.

Nagle, w chwili, gdy byłem pewien, że udało mi się pozbyć upiornych dzieciaków, tuż obok mnie przeleciały kamienie. Przyspieszyłem, ale zdołałem wejść tylko dwa szczeble wyżej, kiedy kolejny kamień uderzył mnie w czaszkę.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, był upadek głową w dół z wysokości trzeciego piętra.

DZIEŃ ÓSMY

PONIEDZIAŁEK 18.09

Znowu zaspąłem na śniadanie. Po umyciu zębów, wiedziony wczorajszym doświadczeniem, udałem się prosto do kuchni. A tam czekała na mnie niespodzianka. Na tym samym miejscu przy stole, gdzie w niedzielę jadłem jajecznicę, siedziała brunetka w białej bluzce i dżinsach. Podparła ręką głowę i czytała gazetę.

- Tamara! - zawołałem z radością.

- Cześć, Dawidek! - Podniosła wzrok. Uśmiechnęła się i dała znak, żebym usiadł naprzeciwko. Była cała i zdrowa. Zauważyłem, że ma cienie pod oczami, a jej twarz wyglądała mi na trochę zmęczoną.

- Widzę, że ciągle masz problemy z wczesnym wstawaniem - rzuciła. - Jak tam twoje sny?

- Przyzwyczailem się - machnąłem ręką. Niezgrabnie usiadłem na krześle. Szczera radość czasem potrafi nieźle namieszać w koordynacji ruchowej.

- Chodziło mi o to, czy ostatnio udało ci się dojść do jakiegoś interesującego odkrycia - dodała.

- Nie - pokręciłem głową i pomogłem jej zrobić miejsce na stole. Służba przyniosła śniadanie. - Ciągle to samo. Sny przygotowują mnie na rozmaite wydarzenia, które będą mieć miejsce następnego dnia. Ale ciężko odgadnąć, co ma znaczenie i kiedy nastąpi to, przed czym mnie ostrzegają.

- A co z dzisiejszym snem?

- Czytałaś „To” Stephena Kinga?

- Nie.

- Więc oszczędzę ci szczegółów. Ale to był właśnie sen z tej książki. Może raczej na motywach... W każdym razie wstrętny i okrutny. Nie mam pojęcia, co z tego wyniknie.

Tamara przesłała mi jeden ze swoich najładniejszych uśmiechów i dodała do płatków owsianych trochę cukru.

- Wszyscy się o ciebie bali - zdradziłem jej poufnym szeptem. - Cały czas próbowałem ich pocieszać. Ale wiesz, jak to jest z rodziną: nie dali sobie nic powiedzieć.

Chyba muszę nauczyć się lepiej kłamać. Od razu mnie przejrzała. Moje gładkie słowa aż krzyczały, że ja również nie zbagatelizowałem trzydniowego zniknięcia dziewczyny.

- Obiecałam, że osobiście załatwię twoją sprawę - powiedziała poważnym tonem. - Nie pozwolę, żeby coś mi się stało, jeśli dałam komuś słowo.

Ze wstydem spuściłem wzrok.

- Kiedy przyjechałaś?

- Chyba godzinę temu.

- Masz coś? Wyśledziłaś Kazhegeldina?

- Zdobyłam wiele informacji - kiwnęła głową. - Potem wszystkiego się dowiesz. Jesteś już spakowany?

- Spakowany? - spytałem zdziwiony.

- No, widzę, że nieźle tu o ciebie dbają, ale za to niewiele ci mówią. A stryj Imrich przysięgał, że wszystko ci już szczegółowo wytłumaczył!

"Macie to chyba w genach" - pomyślałem w duchu, ale tylko niepewnie wzruszyłem ramionami.

- Zapanował straszny zgiełk - zaczęła mi tłumaczyć Tamara. - Wszyscy biegają, jakby paliło im się pod nogami. Chyba dlatego zapomnieli o tobie. Tyle dobrego, że w porę obudził się ich dawno uspiiony bojowy zapach. Przynajmniej moja podróż z Niemiec nie pójdzie na marne. Choć wkurzyły ich nie tylko moje nowiny. Ważną rolę odegrał przypadek i chwała mu za to!

- Możesz jaśniej? - poprosiłem.

- Dzisiaj rano duńskim Wtajemniczonym w jednym z kurortów koło Fredericii udało się złapać dwóch czarnoksiężników, których szukali już od kilku tygodni. Przyznali się do kontaktów z Azizem Kazhegeldinem i do zawarcia z nim paru umów. Stryj jest przekonany, że maczali palce w sabotażu w Świątyni na Nissebjergu.

- No, no! Macki Aziza sięgają naprawdę daleko.

- To nie wszystko. Po pierwsze, w Koszycach... - zaczerpnęła powietrza - zniknął Broniek. Przez jakiś czas nie przychodził do Stowarzyszenia, więc nasi ludzie postanowili osobiście odwiedzić go w domu. Zastali wylamane drzwi, bałagan, przetrząśnięte szuflady, rozbity telefon komórkowy i rozwalony komputer, trzy żywcem spalone koty i krew na dywanie. Kiedy się o tym dowiedziałam... - urwała. - Przysięgam, że ten, kto to zrobił, bardzo tego pożałuje!

Z przerażenia opadła mi szczeka.

- O Boże! - szepnąłem. Na myśl o sympatycznym chłopaku w okularach po plecach przebiegły mi ciarki. Przecież nawet nie należał do Wtajemniczonych. On tylko zbierał wycinki z gazet, serfował po internecie, wykonywał telefony i zajmował się papierkową robotą. Dlaczego on?!

- Po drugie - kontynuowała Tamara - z archiwum Stowarzyszenia zniknęła ostatnia z serii dziewięciu zakazanych Ksiąg Inwokacji. Zniknęła! I nikt nie wie, jak to się stało! To tak, jakby powiedzieć, że gdzieś zawieruszyły się osobiste dokumenty Fidela Castro, najlepiej strzeżonego człowieka na świecie! Paulina jest zrozpaczona. Przez telefon zapytała mnie nawet, czy przypadkiem nie wzięłam książki ze sobą! Do czego byłaby mi potrzebna?! Nie mam żadnych bezpośrednich dowodów, ale wszystko jednoznacznie wskazuje na Aziza albo jego współnika z Koszyc. - Dziewczyna ze złości aż zgrzytnęła zębami. - Nie rozumiem, jak to możliwe, że nie znaleźli tego zawszonego sługusa Kazhegeldina! Najwyraźniej on zna nas jak własną kieszeń, a my nawet nie wiemy, kim jest!

- Nie najlepiej to wygląda - westchnąłem. Zdawałem sobie sprawę, że od znalezienia tego człowieka zależy moje życie.

- Ale nie wszystko stracone - poklepała mnie po ramieniu Tamara. - Po tym, co się stało, Paulina zmobilizuje wszystkie siły i nie da swoim ludziom odetchnąć, dopóki nie znajdą tego zdrajcy, choćby go mieli wyciągnąć spod ziemi!

- Daj Boże, jak najszybciej - powiedziałem półgłosem i wysiliłem się na uśmiech.

- Pytanie - dziewczyna spojrzała mi prosto w oczy - co przez ten czas zrobić z tobą?

Z uwagą śledziłem jej wzrok.

- Są dwie możliwości - stwierdziła.

- Tak?

- Możesz wrócić do Koszyc, przyłączyć się do kogoś ze Stowarzyszenia i pomóc w poszukiwaniach współnika Aziza. Wystarczy jeden telefon i masz w kraju zapewnioną opiekę. Albo zostaniesz z nami, razem pojedziemy do Niemiec i weźmiesz udział w skopaniu tyłka Kazhegeldinowi. Nie prosz mnie o radę. Nie załatwię ci żadnej czarodziejskiej kuli, która odkryje przyszłość. Nie potrafię ci powiedzieć, która droga jest właściwa: Koszyce czy Senden. Ruszamy punktualnie o drugiej. Do tego czasu możesz wszystko dokładnie sobie przemyśleć. Potem albo wysadzimy cię na lotnisku w Kopenhadze, albo zostaniesz w samochodzie, dopóki nie dotrzemy do Badenii-Wirtembergii. To zależy tylko od ciebie.

- Co dalej?

- Tego nie wiedzą nawet Norny, boginie losu. Przykro mi. Postaramy się załatwić sprawę tak, aby skończyła się możliwie jak najlepiej. To wszystko, co mogę ci obiecać.

- Rozumiem...

- A jak ci się wiodło od zeszłego piątku?

To pytanie kompletnie wyprowadziło mnie z równowagi.

- Hm... całkiem dobrze... ogólnie rzecz biorąc...

- Ogólnie rzecz biorąc?

- No... - Staralem się nie myśleć o tym, co przed chwilą usłyszałem. - Na przykład wczoraj poznałem twoją siostrę. Wiesz, zdecydowała, że nie będzie dłużej stać z boku i w końcu weźmie udział w życiu rodzinnym. Tylko nie jestem pewien, czy zdawała sobie sprawę z tego, co się wydarzy.

- Hm? - mruknęła niezbyt zachwycona.

- Możesz sama ją o to zapytać. Mówiła, że do obiadu zjawi się w posiadłości. Ale oczywiście po porannych obrzędach.

- No tak - powiedziała Tamara i zaczęła jeść szybciej.

Po chwili jej talerz był pusty.

- Muszę już iść - wstała od stołu. - Miałam okropną podróż. Całą noc nie spałam. Położę się na parę godzin.

Ledwo to powiedziała, w drzwiach pojawiła się Daniela. W rezultacie dwie siostry wpadły na siebie.

- Cieszę się, że cię widzę - kiwnęła głową blondynka.

- Ja też - odparła Tamara. - Zobaczymy się potem.

I zaraz zniknęła. Żadnych uścisków ani pocałunków. Daniela poprosiła jednego z kucharzy o coś do jedzenia. Potem spojrzała w moją stronę i uśmiechnęła się usprawiedliwiająco.

Odwzajemniłem uśmiech. Kiwnąłem głową na powitanie i udając, że nic nie widziałem ani nie słyszałem, kontynuowałem posiłek. Miałem wystarczająco dużo własnych problemów.

*

Im więcej wiedziałem, tym trudniej było mi się na coś zdecydować. Każda następna informacja otwierała przede mną nowe możliwości i proponowała nowe zakończenia.

Leżąc na łóżku w moim pokoju, obserwowałem fałdy wiszącego nad głową baldachimu i rozważałem obie alternatywy. Szczegółowo przyglądałem się im z każdej strony. Nic dzięki temu nie osiągnąłem. Gdy o wpół do drugiej stałem przed lustrem w łazience i goląc się, obserwowałem własne odbicie, wciąż nie wiedziałem, którą drogę wybiorę.

Podjąłem decyzję dopiero podczas opłukiwania pożyczonej żyletki. Rozwiązanie nie miało nic wspólnego z logiką, podpowiedziała mi je intuicja.

Zawsze gdzieś w głębi swego pesymistycznego „ja” wierzyłem, że ludzkim życiem kieruje „złośliwe zrządzenie losu”. To przez nie stojący w sklepie człowiek zawsze wybiera

kolejkę, która posuwa się wolniej niż pozostałe. Z drugiej strony jednak zawsze miałem złudną nadzieję, że przy odpowiednim podejściu można całkiem wygodnie urządzić się na tym świecie. Po prostu nie wolno brać wszystkiego do siebie. Ani za bardzo na rozum.

Dlatego nigdy nie wybierałem kolejki, sugerując się jej długością ani ilością towarów w koszykach klientów przede mną. Zawsze stawałem w tej, która prowadziła do najładniejszej kasjerki. Skoro mam przez piętnaście minut sterczeć między znudzonymi i zniecierpliwionymi rodakami, to czemu miałbym nie umilić sobie czasu?

Również tym razem na moją decyzję wpłynęły podobne priorytety. Podróż do Koszyc wydawała się krótka i bezpieczniejsza. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Miałem okazję poznać ludzi ze Stowarzyszenia i dałbym sobie głowę uciąć, że bardzo szybko odstawiłoby mnie na boczny tor. Nikt nie lubi, jak ktoś płcze mu się pod nogami. Po pewnym czasie nic bym nie robił, tylko siedział w domu i czekał, aż zadzwoni telefon. I do soboty pewnie zupełnie bym zwariował.

A jakie atuty miała ryzykowna wycieczka do Niemiec? To, że w końcu zobaczę gębę krety, który odpowiada za wszystko, co mi się do tej pory przydarzyło? Z pewnością nie. Po prostu chciałem, żeby coś się wokół mnie działo. Tak jak w przeciągu ostatnich dni. Dzięki temu nawet nie miałem okazji pogrążyć się w depresyjnych rozmyślaniach o swoim losie.

Kierunek Senden gwarantował o wiele więcej podobnej zabawy niż kierunek Koszyc. Chociaż z pewnością również mniej komfortu. Gdy otworzyłem leżący na półce krem i zacząłem wsmarowywać go w policzki, byłem już zdecydowany, co zrobię, i wesoło wyszczerzyłem się do odbicia w lustrze.

- Nie powinieneś używać tego kremu - zza uchylonych drzwi dobiegł mnie karcący głos Tamary. Z założonymi rękami oparła się o futrynę. - Używa go cioteczka Jytte.

- Jeśli nie szkodzi osiemdziesięcioletniej czarownicy, to nie zaszkodzi również mnie - odparłem z szerokim uśmiechem i nabrałem palcem podwójną dawkę mazistej substancji.

- No pewnie, ale ty nakładasz to na policzki.

Z przerażeniem wykrzywiłem twarz w pełnym zdziwienia grymasie.

- Żartuję - uśmiechnęła się Tamara. - Już coś postanowiłeś?

Odetchnąłem z ulgą i kiwnąłem głową.

*

W korytarzu na parterze czekała na mnie torba podróżna z twardej, syntetycznej tkaniny zawierająca kilka par skarpetek, czystą bieliznę, nowe spodnie i koszulę w odpowiednim rozmiarze. Na samym wierzchu znajdowała się trochę znoszona brązowa skórzana kurtka.

Na zewnątrz siąpiło, dlatego od razu ją założyłem.

Przed wejściem do posiadłości stały dwa samochody.

Najnowszy typ bmw czekał na Imricha Bernátha, jego syna Jakoba i bratanicę Danielę. W turystycznym volkswagenie eurovanie miejsce na przednim siedzeniu zajęła cioteczka Jytte, za kierownicą usadowił się jej syn Kay, a za nimi w dwóch rzędach siedzieli córka cioteczki Kristen i trzej inni członkowie rodziny. Powoli nadjeżdżał kolejny samochód, który po chwili zaparkował za dwoma poprzednimi. Wysiadł z niego barczysty dwumetrowy mężczyzna obcięty na języka trzymający w ręce puszkę piwa Carlsberg. Wczoraj podczas obiadu został mi przedstawiony jako młodszy syn Imricha, Paul.

- Pojedziemy z moim kuzynem. - Tamara poklepała mnie po ramieniu, wskazując podniszczonego mercedesa.

Podniosłem torbę i poszedłem w kierunku samochodu z wyblakłą szarą karoserią.

- Cześć, Palko! - Dziewczyna wesoło przywitała się z olbrzymem. - Ile razy mam ci powtarzać, że nie należy pić za kierownicą?

- Ja słyszałem, że to kobiety nie nadają się za kierownicę, cha, cha, cha - roześmiał się i szczerze ją objął. - Hej, Tammy. Nie bój się, wypilem dzisiaj... tylko to jedno.

- Chyba że tak. Palko, to jest Dawid. Już się chyba znacie.

- *Jap*, jasne, *hello* Dawid! - Umieśniony koszykarz zgniótł mi rękę w żelaznym uścisku. - Mów mi Paul. Żeby było jasne: tylko ona może mówić do mnie Palko. - Uśmiechnął się i mrugnął, dając mi znak, że bym nie brał jego słów na poważnie.

Porównując znajomość słowackiego Tamary i Danieli z umiejętnościami Palka, ten ostatni wypadł zdecydowanie najgorzej. Zarówno jeśli chodzi o wymowę, jak i zasób słownictwa. Duński akcent było słycać co chwilę, a wszystkie słówka, których nie znał, zastępował angielskimi ekwiwalentami. Prawdopodobnie przyczynił się do tego długi pobyt za Atlantykiem. Nawet gdy mówił po duńsku, używał angielskich frazeologizmów.

Wątpię jednak, czy kiedykolwiek ktoś ośmielił się skrytykować te braki Palka, rozmawiając z nim w cztery oczy. Miał dobroduszną twarz, ale jego gabaryty wzbudziłyby szacunek nawet u zapaśników wagi ciężkiej. Gdybym chciał wyglądać tak jak on, musiałbym zacząć trenować już w wieku czterech lat, a zamiast jedzenia stosować środki dopingujące. Wytarte sztruksy, które dostałem w sobotę, z całą pewnością nigdy nie należały do niego. Pewnie nawet tuż po urodzeniu trudno byłoby mu się w nie zmieścić.

- *Well*, nie będzie ci przeszkadzać, że siądziesz z Pytia... z Pytią? - Palko otworzył tylne drzwi i pokazał mi swojego szarego spasionego kota.

- Nie - odparłem i chcąc zaznajomić się ze zwierzakiem, wyciągnąłem do niego rękę.

Kot momentalnie skoczył na cztery łapy, zjeżył sierść, spuścił uszy i parsknął. Błyskawicznie odskoczyłem do tyłu.

- *Oops*, chyba cię nie lubi. - Palko ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Co ostatnio te potwory do mnie mają?! - zachmurzyłem się. - Nigdy tak wcześniej nie było! Lubię koty! - krzyknąłem szaremu kłębkowi prosto w oczy.

- Czuję, że jesteś naznaczony - powiedziała cicho Tamara. - Większość zwierząt ma wrodzony dar postrzegania astralnego świata. A koty są szczególnie wyczulone na obecność demonów. Właśnie dlatego zabieramy ją ze sobą. To nic, nie ma problemu - zwróciła się do Palka. - Pytia może siedzieć na przednim siedzeniu. Ja zostanę z tyłu.

Kuzyn przytaknął i wszyscy zajęliśmy swoje miejsca. Wreszcie mogliśmy wyruszyć w drogę.

Eurovan przed nami już prawie ruszał, gdy nagle z hukiem otworzyły się drzwi rezydencji i wołając coś nerwowo, wybiegła z nich *jomfru* Bolette. Zatrzymała się przy otwartym oknie samochodu, w którym siedziała cioteczka i przez chwilę z zapalem szeptała jej coś do ucha. Potem parę razy splunęła czarownicy na czoło.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Bolette znowu znalazła w kuchni rozsypaną sól - machnęła ręką Tamara. - Odgania demony nieszczęścia. Robi tak zawsze, tak na wszelki wypadek.

- To chyba ty mi mówiłaś, że nie należy wyśmiewać się z ludowych przesądów? - zagadnąłem ją z przekąsem.

- Wiem, ale wszystko ma swoje granice. W przypadku naszej sędziwej służącej to ochronne zaklęcie doprowadza mnie już do szału. Dodaj gazu, Palko, dobrze by było, gdybyśmy do północy znaleźli się przynajmniej w połowie drogi!

*

- Tak wygląda Aziz Kazhegeldin? - zdziwiłem się, przeglądając zdjęcia, które Tamara zrobiła niecałe dwadzieścia cztery godziny temu.

Sądząc po rozmiarach, teczka, z której je wyciągała, musiała ważyć dobrych parę kilogramów. Ledwo zmieściła się na szerokim siedzeniu mercedesa.

- Aziz al-Azif - poprawiła mnie. - Teraz każe nazywać się nowym arabskim nazwiskiem.

- Falszywe? - spytałem.
- Phi! Coś ty?! Raczej element nowego teatralnego image'u. „Aziz” znaczy „silny”, a „Azif” to „przywołanie demonów”.
- Heh. Zabawne. Ten facet chyba uwielbia patetyczne określenia. Nie rekompensuje sobie czasem jakichś kompleksów?
- Możliwe. Ale zna swoich ludzi i wie, jak ich psychologicznie podejść. Jeżeli dzisiaj na niemieckim bazarze wypowiesz: „Aziz al-Azif”, wierz mi, że żaden Arab w odległości stu kilometrów od Senden nie pozostanie obojętny.
- Ponuro przyjrzałem się gładziutkiej twarzy Kazhegeldina z błyszczącą kozią bródką.
- W każdym razie jak na mężczyznę, któremu akt urodzenia wystawiono w ZSRR jeszcze za Stalina, wygląda dosyć młodo.
- Sztuczne przedłużanie życia, odmładzanie i zabiegi upiększające należą do najwyższej i najbardziej skomplikowanej sztuki magicznej. Nie każdy może osiągnąć te umiejętności. Ale jak sam widzisz, nic nie jest niemożliwe.
- Co to za czarna plama na czole? - wskazałem palcem. - Jakieś magiczne znamię demona?
- Pudło! - zaśmiała się Tamara. - To pozostałość po ezoterycznym okresie życia Aziza. Miał trepanację czaszki. Nie uwierzyłbyś, ilu ludzi w latach sześćdziesiątych kazało sobie coś takiego zrobić. Co drugi guru miał dziurę w czole. Chodzi o prosty zabieg chirurgiczny. Trochę narusza ciśnienie wewnątrz czaszki, ale podczas zażywania narkotyków zapewnia bardziej intensywne wrażenia i głębszy kontakt ze światem duchów. Mówiło się o tym „trzecie oko” albo „drzwi do umysłu”. W tym wypadku dosłownie, jak widzisz.
- Niezłe - pokręciłem głową. - A to jego dom?
- Uhm - przytaknęła dziewczyna. - Jego willa niedaleko Senden. Nie widać jej z ulicy, stoi praktycznie w lesie. Oficjalnie na gruntach ornych.
- Okropny kicz. Co to ma przypominać? Świątynię Ateny na Akropolu czy zamek Drakuli w Karpatach?
- To styl Aziza. Wiesz, arabski gust jest trochę inny...
- Widzę po samochodzie. - Podniosłem kolejne zdjęcie. - Boże, czy ten facet nie wie, że laseczki lecą na porsche albo ferrari, a nie na taką poślacaną kolubrynę? Co to w ogóle jest?
- Rolls-Royce Phantom 1961, jedyny egzemplarz z tej serii. Nawet Mick Jagger nie mógłby sobie na taki pozwolić.
- O cholera, skąd on na to wszystko bierze kasę? - spytałem porażony.
- Ten oto mężczyzna dba o finanse nowej organizacji Aziza.

Tamara podała mi fotkę siwego mężczyzny z wąsami ubranego w skórzany wojskowy płaszcz.

- Brrr, kto to? Jakiś oberfuhrer SS?

- Fridrich Bursch. Nowe imię: Abd al-Aziz, czyli „sługa silnego”. Członek Najwyższej Rady Wtajemniczonych w Mnichowie. Żmija, przez którą nie mamy odwagi bezpośrednio skontaktować się z bawarskim Stowarzyszeniem. Dla pewności postanowiliśmy, że sami załatwimy całą sprawę, chociaż nie jesteśmy na swoim terytorium.

- Myślisz, że Aziz rządzi wszystkimi?

- Nie, ale nie wiemy, jak daleko sięgają łapy tych dwóch szaleńców. Bóg wie, ilu ludzi przeciągnęli na swoją stronę, a ilu trzymają w szachu dzięki swojej pozycji i pieniądзом.

- Więc Bursch jest nowym wspólnikiem Aziza?

- Tak, ale raczej nazwałabym go kolejnym chytrym głupkiem, który chwycił jego przynętę. Bursch zawsze miał opinię raczej szarlatana niż prawdziwego maga, ale nigdy nie ukrywał swoich ambicji. Prawdopodobnie dostrzegł, że Aziz jest jego życiową szansą. To sknera. Typ człowieka, który, gdy zbiegnie mu się w praniu koszula, raczej schudnie, niż kupi nową.

- A ci dwaj Arabowie? Są z Azizem na co drugiej fotografii, a nie wyglądają na ochronę.

- To bracia Aziza, Bandar i Fahd ibn Murat.

- Tak?

- Parę lat temu odnalazł ich w Turcji i wyciągnął z tarapatów. Zawsze marzył o rodzinnej firmie.

- Też magowie?

- W żadnym wypadku! Całkiem zwyczajni. Ale idealnie nadają się do brudnej roboty i rozkazywania niewolnikom Aziza.

- Niewolnikom? - Głośno przełknąłem ślinę.

- Ludziom, którzy dla niego harują za jałmużnę. To arabscy uchodźcy ze Sri Lanki, Iraku, Iranu, Afganistanu i Jemenu, zdomowieni niemieccy Turkowie i Cyganie oraz sezonowi robotnicy z państw dawnej komuny. Rodziny biednych emigrantów, które nie znalazły innego zajęcia. W okolicach Senden nie trzeba ich długo szukać. Większość ośrodków dla czekających na azyl uchodźców znajduje się właśnie w południowych Niemczech. Ci ludzie są niewykształceni, więc nadają się tylko do karmienia bydła, pracy w polu, zbierania owoców... I oczywiście do brudnych interesów Aziza. Uwierzyłybyś, że Bursch za to, że ich niby to zatrudnia, dostaje jeszcze zapomogę od niemieckiego rządu? A najgorsze, że jeśli komuś coś się stanie, nikogo to nie interesuje. O jednego przyjezdnego darmozjada mniej!

- Coś takiego? W Niemczech? - nie mogłem się nadziwić.

- Bursch na swoje nazwisko wynajął ziemię, na której jest prawie trzydzieści farm. Oprócz rezydencji w Senden posiada jeszcze dwa wielkie domy w okolicy, w których aktualnie mieszkają bracia Aziza. Cały majątek ani przez chwilę nie leży odłogiem. W trakcie sezonu Bursch potrafi załatwić pracę ludziom z czterech ośrodków naraz! W jednym z nich sprawuje nawet funkcję najwyższego kierownika, a do prowadzenia ich powołuje własnych ludzi. W Badenii-Wirtembergii jest jakby „małym bogiem”. Jednak większość czasu spędza w starej rodzinnej posiadłości w Ulm i załatwia papierkową robotę. Nie lubi brudzić sobie rąk...

- Co to jest, do diaska? - przerwałem nagle Tamarze. Wślizgnęła mi się do rąk dziwnie znajoma fotografia.

Widniało na niej wewnątrz jakiejś hali albo składowiska. Na posadzce, na paletach okrytych słomą leżały konstrukcje przypominające części słupów wysokiego napięcia. Miały niecodzienny przekrój w kształcie sześciokąta.

- Nie wiem. Z pewnością jakieś prefabrykaty budowlane - wzruszyła ramionami dziewczyna. - Nie orientuję się we wszystkich projektach Burscha. Podobne konstrukcje były też na składowiskach przy willi Aziza w Senden i w budynkach gospodarczych przy posiadłości Bandara. A dlaczego pytasz?

- Pewnie to dziwnie zabrzmiało - podrapałem się po brodzie - ale podobne sześciokąty śniły mi się dziś w nocy.

*

Tamara ponuro przypatrywała się fotografii. Palko bez słowa kierował pojazdem i spoza wolno pracujących wycieraczek obserwował autostradę. Kotka Pytia siedziała obok na przednim siedzeniu, oblizywała sobie łapki i wyglądała, jakby nic jej nie obchodziło. Zauważyłem, że gdy od czasu do czasu się przeciągała, kątem oka sprawdzała, co robię.

- O co mu chodzi? - zagadnąłem Tamarę, gdy miałem już dosyć milczenia.

- Komu?

- Kazhegeldinowi.

- Co masz na myśli?

- Tak ogólnie. O co mu chodzi? Dlaczego robi coś takiego innym ludziom?

- Ciężko stwierdzić. - Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę. - Najprawdopodobniej chodzi mu o władzę, jak wszystkim ówkom.

- Władzę - powtórzyłem z niesmakiem. - Cóż to jest? Co dokładnie znaczy ten wyświechtany frazes „pragnienie władzy”?

- Chcesz filozofować? Dobrze. Spróbuj mi odpowiedzieć. O co chodziło Aleksandrowi Wielkiemu, Wilhelmowi Zdobywcy, Napoleonowi albo Hitlerowi? Mieli wszystko, ale chcieli jeszcze więcej. Ich osobiste potrzeby były zaspokojone. Decydowali o życiu i śmierci tysięcy ludzi. Ale ciągle było im mało. Dlaczego?

Zrobiłem niepewną minę i wzruszyłem ramionami.

- My nie jesteśmy tacy jak oni - dokończyła Tamara. - Wątpię, czy kiedykolwiek uda nam się ich zrozumieć.

- OK, zajmijmy się więc konkretnymi sprawami - wróciłem do tematu, który wiercił mi dziurę w brzuchu. - To, że Aziz wynajął kogoś, aby cię zlikwidował, da się logicznie wytłumaczyć. Nie pozwoli, aby ktokolwiek zagrażał jego życiu. Ale co chciał osiągnąć sabotowaniem obrzędów w Świątyni?

- Demonstracja siły? - zasugerowała dziewczyna.

- A jesteście z Imrichem pewni, że to jego sprawka? Dlaczego nie uderzył bezpośrednio w krąg Wtajemniczonych? Przecież Świątynia i kapłanki to tylko taki magiczny folklor.

- Błąd, Dawidku! - zawołała Tamara. - Daniela ci to wmówiła? Okłamuje sama siebie! Stryj lub cioteczka też są obecni podczas większości obrzędów. Stosunki między nimi i niksami nie mają tak niewinnego charakteru, jak to się zdaje na pierwszy rzut oka. Żywiołaki morza są oczami i uszami mojej rodziny w astralnym świecie.

- Hm - zagryzłem zęby. - Teraz wszystko nabrało sensu. Nie wiem, czy ktoś ci już o tym mówił, ale wczoraj po zmroku pozwoliłem sobie na, powiedzmy, „zeskanowanie” jaskini. Ma naprawdę bogatą historię.

- Na świecie nie istnieje ani jedno święte miejsce, wokół którego nie powstałby choć jeden mizerny kult - pogardliwie skrzywiła usta dziewczyna.

- Wiesz, co mnie najbardziej zaskoczyło? - Nachyliłem się do niej. - Większość głosów komunikujących się z wodnymi istotami należała do zwykłych ludzi. Rytuały przy jeziorku musiały być częścią codziennego życia wszystkich miejscowych, a nie tylko garstki wybrańców jak w dzisiejszych czasach.

- Nic nowego! Chociaż podobne obrzędy odprawiali druidzi albo szamani, ich celem było skontaktowanie ze sobą dwóch światów. Nie robili tego tylko dla własnych celów, ale również zależało im na wtajemniczeniu pozostałych członków rodu lub plemienia. Sami byli tylko przewodnikami, bo znali magiczne miejsca i potrzebne rytuały. Dzięki temu inni, jeśli głęboko wierzyli, też mogli nawiązać kontakt.

- Sądzisz, że aby skontaktować się z astralnym światem, wystarczy po prostu wierzyć? - spytałem zdziwiony. Nagle znowu zapachniało mi sekta.

- Nic nie jest prostsze od wiary. - Wzruszyła ramionami Tamara.

- Naprawdę?

- To niesamowicie silna, a czasem niebezpieczna zdolność dostępna każdemu. Przypomnij sobie, co przez wiele stuleci, odkąd wynaleziono pismo, zdążyła zrobić z ludzkością.

- Ale również dzisiaj świat pełen jest wierzących. A jednak większość z nich nie ma zielonego pojęcia o astralnym świecie. Co się zmieniło?

- Fundamenty wiary pozostały te same. Zmienił się jej obiekt.

- Obiekt?

- Wiara przestała służyć osobistym celom wierzących, a stała się kamieniem węgielnym religii i ideologii. Nowo powstałych kolosów żerujących na tym, że ludzie mają wiarę we krwi. Genialne posunięcie wielkich manipulatorów. Obojętnie, czy były to pojedyncze osoby, całe sekty, kościoły czy partie polityczne. Wymyślili genialny sposób, jak wykorzystać wiarę do własnych celów. Wyszli z założenia, że jeżeli nie da się ludzi zniewolić, to przynajmniej można odpowiednio ukierunkować ich myślenie. Przypomnij sobie, co towarzyszyło przybyciu tych gigantów. Burzenie pogańskich świątyń. Stawianie na ich miejscu kościołów i meczetów. Zakaz uosabiania demonów i bożków oraz czczenia ich posągów. Konwertowanie większości lokalnych bóstw na męczenników i świętych. Aż w końcu rozpowszechnienie nowego poglądu, którego wcześniej nie znano: dogmatu, że bóg jest tylko jeden. Tylko on w swej wszechmocy i nieskończoności jest godzien, by zrzęcać wokół siebie wiernych.

- Ciągle nie rozumiem, w czym tkwi problem?

- Nawet kwestiami wiary rządzą prawa logiki. Założyciele kościołów nie byli ignorantami. Wiedzieli, że nigdy nie uda im się całkowicie zataić prawdy o świecie astralnym. Miłosiernie zgodzili się więc na egzystencję innych istot: aniołów i diabłów, tylko zręcznie odstawili je na boczny tor. W centrum postawili swego wyimaginowanego boga, obojętnie, czy nazywa się Allach, czy Jehowa. Kim on właściwie jest? Z jakim go łączyć żywiołem? Z żadnym, a może ze wszystkimi? Sprytne posunięcie. Odebrali mu kształt i w ten sposób unicestwili adresata many. Co z tego, że ludzie wciąż są głęboko wierzący? Ich wiara trafia w pustkę.

- Czy czasem nie przesadzasz? - Jej słowa za bardzo przypominały mi postępowy ateizm, jakim mnie raczono w szkole za komunizmu.

- Ani trochę. Znowu chodzi o władzę, Dawidzie. O ludzi, którzy czują potrzebę, by kontrolować innych. Wykorzystali wiarę jako środek manipulacji. Co w tym dziwnego? Robią tak ze wszystkimi, zawsze i wszędzie. Jeśli religie głosiłyby całą prawdę, nie byłoby ich tak wiele i nie trzeba by było szerzyć ich ogniem i mieczem.

Nie, żeby oburzyły mnie jej słowa. Nigdy nie byłem specjalnie religijny. Co prawda zostałem ochrzczony i bierzmowany, ale już w dzieciństwie podczas niedzielnej mszy wolałem siedzieć na murku przed kościołem i grać z kolegami w karty. Jednak wyrosłem w przekonaniu, że jeśli ktoś świadomie kłamał, to raczej nauczyciele w szkole, którzy bali się stracić pracę. Nie mogłem uwierzyć, że proboszcz w mojej miejscowości i rodzice brali udział w wielkim spisku.

Z drugiej strony marksiści-leniniści jakoś nie musieli się specjalnie wysilać, by przekonać ludzi, że Bóg nie istnieje. Dla wielu prymitywów była to całkiem wygodna koncepcja. A nawet ci bardziej dociekliwi musieli przyznać, że w dziejach ludzkości światopoglądy zmieniały się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I nic, nie było potopu ani gromu z jasnego nieba.

- Do diabła z takim marnotrawieniem wiary! - powiedziałem głośno. - To przerażające!

- Przerazające, ale nie beznadziejne - podkreśliła Tamara. - Samozwańczy mędrcy nie wykorzenili zupełnie wszystkiego. Ile zwyczajów ludowych przetrwało? Ile z nich ciągle kultywujemy, choć się mieszały z obcymi wpływami? Wierz mi, że gdy dzieci przed snem modlą się do Anioła Stróża, w pobliżu naprawdę są uszy, które ich słuchają. Choć nie zawsze mogą pomóc. Podobnie dzieje się w przypadku naszych babć pod figurą Marii Panny. Wiara w nią rozprzestrzeniła się w Europie Środkowej dzięki temu, że zastąpiła kult Matki Ziemi.

- A co z Jezusem?

- Jezus! No i co z nim? - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Jako obiekt wiary ma takie samo znaczenie jak Jahwe. Trik ze Świętą Trójcą potraktowałabym jako jedną z najskuteczniejszych gwarancji, żeby choć odrobina many dotarła do adresata. Jest postacią historyczną, więc nie mam powodów, by nie wierzyć, że najważniejszy głosiciel chrześcijaństwa nie istniał. To nic, że jego postać jest o wiele bardziej mistyczna niż takiego Mahometa, arabskiego playboya. Miał więcej żon niż koni! Kłopot z Jezusem polega nie na tym, czy istniał, ale kim tak naprawdę był. Inteligentnym mówcą i wizjonerem? Magiem? Czarodziejem? Może w połowie żywiołakiem? Nie wiem. Może wszystkim naraz. W każdym razie już od prawie dwóch tysięcy lat jest martwy i moim skromnym zdaniem, z wiary i uwagi, którą mu się poświęca, zupełnie nic nie wynika.

Słuchając jej, miałem wrażenie, że znów jestem w szkole średniej i siedzę na lekcji religioznawstwa albo innej wiedzy o społeczeństwie. Do uczenia tych przedmiotów tradycyjnie brano największych twardogłowych komunistów z całego grona pedagogicznego. A jednak wtedy świat chłopaka z zapadłej wsi na Spiszu nie wywracał się do góry nogami. Taka była późnosocjalistyczna umowa społeczna - wielu z nas udawało, że słucha, a nauczyciel, że nie widzi naszego udawania.

Ale słów Tamary nie mogłem tak po prostu zignorować.

- Wiesz, może to dobrze, że większość wiary i many się marnuje - kontynuowała. - W przeszłości niektóre wielkie demony potrafiły zgromadzić wokół siebie takie masy wyznawców, że ich siła osiągała niewiarygodne rozmiary. Byli naprawdę dobrymi psychologami i znawcami ludzkiej duszy. Isztar, Amon, Ra, Izyda, Ozyrys, Zeus, Hades, Taranis, Odyn, Thor, nawet Perun... Chyba nie muszę wymieniać wszystkich. Chodzi o to, że jeśli strażnik ognia lub wody zmieni się w pochłaniającego nadmierne ilości many superżywołaka, nie zwiastuje to nic dobrego. Rodzi to tarcia między demonami. Stąd te zmieniające się pogańskie panteony i mity o wojnach bogów. Dziś też układy między żywołakami wcale nie są trwalsze niż ludzkie sojusze. Ale, jak to w polityce, trudno zapomnieć o czasach, gdy sprawowało się władzę...

- Czy wszyscy Wtajemniczeni wierzą w to, co mówisz?

- Dlaczego pytasz? - zaintrygowana się Tamara.

- Pamiętam tego długowłosego młodzieńca ze Stowarzyszenia. W koszulce z kapelą metalową...

- Renego. I cóż on?

- Na szyi miał zawieszony młot Thora. Wiem to na pewno. Kiedyś czytałem różne artykuły o wikingach, więc jego srebrny łańcuszek wydał mi się znajomy.

- Dawidzie, młot Thora jest starszy niż Skandynawia. Myślisz, że prawdziwy Thor używałby broni o tak niewiarygodnym kształcie? Młot pochodzi od prastarego runicznego znaku, a wszystko, co łączy się z runami, automatycznie ma związek z magią. Zadowolony?

- Dobrze. Młot Thora kupuję. Ale co z tym? - Wyciągnąłem z kieszeni małą miedzianą monetę ze swastyką. - Wydaje mi się, że z czymś takim zawieszonym na szyi nie jest najbezpieczniej podróżować właśnie do Niemiec.

- Masz nowy amulet?

Kiwnąłem głową i w skrócie opisałem jej losy poprzedniego talizmanu. Spodziewałem się, że dziewczynę zmartwi jego strata, ale machnęła na to ręką. Zaczęła uważnie oglądać monetę.

- Swastyka również jest znakiem magicznym - tłumaczyła. - Była częścią najstarszej wersji runicznego pisma Germanów. Niestety, większość ludzi nie ma z nią pozytywnych skojarzeń. To kolejny przykład płytkiego i naiwnego wykorzystywania dawnych symboli. Tragiczny przypadek. Ale świadczy tylko o jednym: nawet jeżeli ludzie większości tych znaków nie używają tak, jak powinni, zawsze będziemy do nich wracać, ponieważ od tysięcy lat są głęboko zakodowane w dziedziczonej z pokolenia na pokolenie ludzkiej podświadomości...

*

Podczas długiej podróży tylko raz zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej. Przez resztę czasu gnaliśmy niemieckimi autostradami. Nawet nie wiem, kiedy wszystkie trzy samochody minęły przejścia graniczne z dawno zlikwidowanymi szlabanami. Wraz z zapadającym zmrokiem zaczęły pojawiać się tablice informujące o bocznicach w kierunku Hanoweru. To był znak, że jesteśmy mniej więcej w połowie drogi.

Obserwowałem po prawej stronie zachodzące słońce i ścisnąłem w ręce miedziany amulet. Wciąż sprawował się doskonale.

Gdy w końcu ujrzeliśmy światła wielkiego miasta, panował już zupełny mrok. Bmw i eurovan nagle zwolniły, po czym skręciły do centrum Hanoweru. Tamara wytłumaczyła mi, że cioteczka i stryj mają w pewnym miejscowym hotelu umówione spotkanie z Wtajemniczonymi z Holandii. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, wszyscy jutro do nas dołączą.

Palko przejechał jeszcze parę kilometrów i około wpół do dziewiątej zaparkował mercedesa przy pierwszym lepszym motelu, na jaki trafiliśmy. W samą porę, byłem głodny jak wilk. Podczas gdy nasz kierowca załatwiał w recepcji nocleg, razem z Tamarą błyskawicznie zajęliśmy miejsca w restauracji i poprosiliśmy o menu.

- Na co masz ochotę? - zapytała dziewczyna.
 - Obojętnie - ziewnąłem. - Ty płacisz. Wybierz coś.
 - No tak...
 - OK. Na pewno nie mięso. Słyszałem, że wegetarianie żyją dłużej.
- Spojrzała na mnie dziwnie.
- Tylko cię podjudzam - wyszczerzyłem zęby, choć faktycznie, mój żart nie był śmieszny.
- Dobrze. Wybierz coś porządnie tłustego, skoro już jesteśmy w Niemczech! Może być?
- Nie wiem. To zbyt ciężkie na noc.
 - A co, wymęczą mnie koszmary? - Znów zarechotałem.

Przed dalszymi wygłupami powstrzymał mnie grożący palec Tamary.

- Zamierzam zjeść w spokoju kolację i zapłacić za twoją - powiedziała. - Ale uważaj, to się może zmienić!

Z uśmiechem na twarzy podniosłem dłonie w pokojowym geście. Ale... Ale co mi po jednym posiłku! Byłem zadowolony, że znów robimy coś razem. I że jestem w centrum wydarzeń.

- Słuchaj, Tamara - nachyliłem się konspiracyjnie nad stołem. - Nie wiesz, co Jezus spożywał podczas ostatniej wieczerzy? Może najwyższy czas zamówić to samo.

Za karę dostałem smażony ser.

*

A w tym samym czasie...

Niewiele spraw było w stanie przerazić panią Paulinę. Z pewnością nie należało do nich nieoczekiwane pukanie do drzwi w środku nocy. Ale tym razem ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. Właściwie przecucie...

Odrzuciła na bok kołdrę. Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i powoli, uważając, by nie zaskrzypiała żadna deska, zeszła na dół do przedpokoju. Za mleczną szybą drzwi wejściowych zobaczyła ciemną sylwetkę mężczyzny. Wisząca na ganku lampa, choć powinna się świecić, była zgaszona.

„Może żarówka poszła? - pomyślała Paulina. - Albo zepsuła się fotokomórka w krzakach przed domem. Albo...”

Po plecach przeszły ją ciarki.

Ostrożnie wycofała się w stronę kuchni. Delikatnie odchyliła zasłonę przy oknie, chcąc z boku obejrzeć niespodziewanego gościa. Ale kąt był zbyt ostry. Żeby mogła zobaczyć kto to, musiałaby sama się odsłonić.

Ponownie usłyszała niecierpliwe pukanie do drzwi.

Pani Paulina na palcach przebiegła do salonu, ze stojaka przy kominku wyciągnęła pogrzebacz z ostrym szpicem i bezszelestnie wróciła pod drzwi. Zanim sięgnęła po klucz w zamku, dla pewności rzuciła na siebie zaklęcie obronne przed opętaniem umysłu i wyszeptała kilka prostych formułek chroniących przed paroma najpopularniejszymi magicznymi sztuczkami.

Serce podeszło jej do gardła.

- Kto tam?! - krzyknęła groźnie, choć głos jej trochę drżał.

Zza drzwi doszedł szept:

- To ja, Bronek.

- Bronek? - Opuściła pogrzebacz.

- Tak, Bronek. Na Boga, niech pani już otworzy!

Powoli przekreśliła klucz w zamku i uchyliła drzwi. Mężczyzna nerwowo pchał się do środka.

- Stój! - Wycelowała w jego pierś pogrzebacz i zapaliła światło.

Oślepiiony przybysz znieruchomiał.

To rzeczywiście był Bronek.

Brakowało mu okularów, miał rozbity nos, brudne ubranie, a na zwisającym z szyi pasku huśtała się nieumiejtnie zabandażowana ręka. Chłopak usztynił ją pod kątem prostym za pomocą prowizorycznie skleconej szyny. Bez wątpienia to był jednak on.

- Uwaga! - powiedział i ze strachem sięgnął do wyłącznika światła.

Przedpokój ponownie zanurzył się w ciemności.

- Chodźmy do kuchni - szepnął. - I proszę, żeby zaciągnęła pani żaluzje.

Pani Paulina bez słowa zrobiła, o co prosił.

- Szklanę wody? - zapytała szeptem.

Z wdzięcznością kiwnął głową i opadł na krzesło.

Powoli napełniła stojącą na kredensie filiżankę. Postawiła ją przed nim na stole i z poważnym wyrazem twarzy siadła naprzeciwko.

- Mamy kolejnego mordercę na zlecenie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Kolejnego astralnego skurwiela!

- Przeczynałam to - przytaknęła. - Kim on jest?

- Pochodzi ze specjalnej kasty. - Bronek łąpczywie sięgnął po wodę. - Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia ze smokiem. Mówi o sobie Gorynycz i od razu wiadomo, że nie jest jakimś prymitywem, który wylazł z jaskini. Kurde, omal mnie nie zabił! - zaklął ze łzami w oczach. - Gdybym nie miał własnej astralnej obrończyni, już byłoby po mnie! Parszywa świnia! Niech pani zobaczy, co mi zrobił! - Podniósł poharataną rękę.

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze - pocieszała go pani Paulina. - Zajmiemy się tobą. Czego chciał?

- Szuka Tamary. Ifrit zginął, więc wynajęli następnego likwidatora. Proszę mi wierzyć, że tym razem prawdziwego profesjonalistę.

- Powiedziałeś mi coś?

- Nie! - Broniek stanowczo pokręcił głową. - Wycofałem się, zanim zadał mi jakiegokolwiek pytanie. Miałem szczęście. Ale moja strażniczka nie była na tyle silna, aby komuś takiemu jak on skopać astralną dupę. Cieszę się, że zatrzymała go chociaż na chwilę. Na pewno przeszukał całe mieszkanie. Jeżeli ma na tyle cierpliwości, to na sto procent znalazł, czego szukał.

- Niedobrze...

- Wiem. - Broniek bezradnie spuścił głowę. - Bardzo niedobrze.

*

Gdy opuściłem pociąg z Providence, wynająłem dorożkę. Wiozła mnie chyba przez całe miasto, nim zatrzymała się tuż przed starym romańskim kościołem. Wysiadłem, ignorując szalejącą wicher. Stałem, z niesmakiem przyglądając się niszczonej budowli. Dorożkarz bez słowa energicznym smagnięciem bicia popędził swój zaprzęg. Jakby nie chciał zostać w tym miejscu ani chwili dłużej.

Brama zapomnianej świątyni pokryła się wieloletnią rdzą, a kamienne ściany wielowiekową czernią. Kościół nadaremno płakał głosami zblakanych wron. Niegdyś ozdobione kolorowymi witrażami okna rozglądały się po okolicy, tęskno szukając oznak życia w dawno opuszczonych ruinach ludzkich domostw.

Na schodach przed portalem kościoła czekała na mnie moja przyszła żona. Była odziana w żałobne szaty - czarny welon, czarną koronkę, czarny bukiet zrobiony z pięciu orchidei. Doskonale wpisywała się w pochmurne otoczenie.

Przytrzymując cylinder, walczyłem z porywistym wiatrem. Delikatnie nachyliłem się do przodu i powoli podszedłem do wybranki swego serca. Uświadomiłem sobie, że wszystko jest nie tak, jak powinno być. Dlaczego wybrała to miejsce? Dlaczego ma taki strój? Gdzie podziali się weselni goście? Gdzie są radośnie biegające dzieci i płatki róż? Zamiast nich w powietrzu latały jesienne liście i wszędzie było słychać krakanie wron.

Ale obrączka na palcu zobowiązywała, abym został. Dokładnie w tym czasie, o tej godzinie, o tej minucie.

- Już powoli traciłam nadzieję - powiedziała niewiasta. Chwyciła mnie pod ramię, chyba z obawy, że się rozmyślę i ucieknę.

- Jestem tu, kochanie - pogladziłem ją po drobnej rączce w aksamitnej rękawiczce.

- Wiem. Cieszę się. Kocham cię, Howardzie.

- Ja ciebie też, Asenath.

- Chodźmy. - Pod czarnym welonem zobaczyłem jej piękny uśmiech. Prześlizgnęła się przez uchylone drzwi kościoła, niecierpliwie ciągnąc mnie za sobą. Na widok niszczącej świątyni ogarnęło mnie przerażenie, ale gdy przekroczyliśmy jej próg...

Boże, przebacz mi, że publicznie opiszę, co zobaczyły moje oczy!

Weszliśmy w zimny półmrok. Wstrząsnął mną przeraźliwy odór zgnilizny zawisły w przesiąkniętym kurzem powietrzu. Zanim byłem w stanie rozejrzeć się po wnętrzu świątyni, musiałem szybko sięgnąć do kieszeni po chusteczkę i zatkać nią nos. A to, co zobaczyłem potem, swym okrucieństwem i lubieżnością przekraczało wszelkie wyobrażenie. Było gorsze niż najbardziej odrażające obrazy niehumanitarnego zwyrodnienia, które nieraz na własne oczy oglądałem na polach bitew.

Każdy, nawet najmniejszy kawałek pomieszczenia pokrywały namalowane pentagramy, odwrócone krucyfiksy, wulgarne napisy, których logika przeczyła zdrowemu rozsądkowi, malowidła przedstawiające zbrodnie i inne wytwory wizji jakiegoś groźnego szaleńca. Wszystko otaczały tysiące odcisków rąk z szeroko rozstawionymi palcami. Sądząc po przedziwnych, powykrzywianych kształtach, wiele z nich chyba nie należało do ludzi. Wszystko dookoła było zachlapane krwią i czerwoną farbą - ławki, drzwi, obrazy, słupy i ściany niegdyś przepięknej nawy kościelnej, boczne kapliczki...

- Och, Boże, zmiłuj się nad nami! Gdzieś ty mnie przyprowadziła, kochana moja! - krzyknąłem.

Ale panna młoda nie zareagowała na mój krzyk rozpaczony i niezłomnie ciągnęła mnie koło połamanych konfesjonatów aż do miejsca, w którym kiedyś znajdował się ołtarz. Bezwrotnie zniknęło kamienne podium i drewniane dzieło artystów, podobno pobierających nauki w samej Florencji. Zapadły się pod ziemię i teraz zamiast nich w centralnym miejscu głównej nawy ziała bezdenna przepaść.

Tuż przy jej brzegu stał pogański kapłan odziany w karminowe szaty, z maską osła na twarzy.

Jak przystało na wstępujących w święty związek małżeński, padliśmy przed nim na kolana.

- Czy to jest twój wybranek? - zapytał duchowny niewiasty.

- Tak, panie - odpowiedziała.

- Ten, który na kolanach przysięgał ci wieczną miłość za życia i po śmierci i przypieczętował to ślubną obrączką?

- Tak, panie.

- Nadszedł czas, by spełnił drugą część przysięgi.

- Tak, panie.

- Jesteś gotowy? - kapłan odwrócił się w moją stronę i położył mi na ramieniu dłoń ozdobioną ciężkimi srebrnymi pierścieniami.

Wstrętny odór unoszący się z przepaści na chwilę zupełnie otepił mój umysł. Czulem się bardzo źle. Ledwo dochodziło do mnie, co mówi ośla maska. Słowa kapłana wydały mi się odległe i dziwne. Nie rozumiałem ich. Ale moje oddanie i miłość sprawiły, że byłem gotów pozwolić na pogańską ceremonię. Obojętne mi było, czy świadkiem naszej wiecznej przysięgi będzie piekło czy niebo. Najważniejsze, że moja ukochana należała teraz do mnie, a ja do niej, że w końcu po długiej rozłące znów mogliśmy być razem, zdecydowani ręką w rękę wkroczyć w nowe życie. Na zadane mi pytanie odpowiedziałem krótko, tak jak to zazwyczaj bywa przy takich okolicznościach:

- Tak.

- Co diabeł połączył, nawet śmierć nie rozłączy - uśmiechnął się z zadowoleniem kapłan i podniósł rękę, bluźnierczo parodiując znak krzyża. - Tam, gdzie przestało bić jedno serce, musi przestać bić drugie!

Po chwili mocno złapał mnie za kołnierz i wrzucił do przepaści.

Mój otepiały umysł nie zdążył się przestraszyć: Jedynym, z czego zdawałem sobie sprawę, była utrata kapelusza. Przedemną, niczym paszcza gigantycznego kameleona, rozwarła się bezdenna ciemność i łakomie, jakbym był malutkim zagubionym motylkiem, wchłonęła mnie do środka.

Spadałem.

Długo.

Obojętny i pełen pokory, z szeroko rozpostartymi rękami, nie wykonując gwałtownych ruchów, nie wydając żadnego dźwięku.

Wiedziałem, że to się kiedyś skończy. Coś podpowiadało mi, że gdy sięgnę dna przepaści, nie będę pamiętał, kim jestem.

Zamknąłem oczy i dobrowolnie oddałem swe ciało w ręce przeznaczenia. Przed oczami pięć razy przeleciało mi całe doczesne życie. Nagle z letargu wyrwał mnie czyjś dotyk, który poczułem na twarzy i kończynach. Uświadomiłem sobie, że w locie chwyciło mnie kilka par rąk.

Zmniejszyła się prędkość spadania, a szum w uszach podpowiedział mi, że również jego kierunek. Ostrożnie wyciągnąłem rękę i w ciemności wymacałem tłustą skórę o nieprzyjemnej konsystencji kauczuku.

To byli Oni. Po dotyku rozpoznałem zziębnięte, powstałe z nicości istoty, czarne rogate demony bez twarzy, na cienkich skrzydłach bezgłośnie unoszące zbłąkanych wędrowców do najgłębszych zakamarków swego świata. Czyżbym przekroczył granicę?

Nie próbowałem ich prosić, przekonywać ani nawet się do nich odezwać. Wiedziałem, że choć obdarzeni słuchem, nie mają daru mowy. Nie sądziłem, by chcieli zrobić mi krzywdę. W napięciu czekałem, co dla mnie przygotowali.

Nie zaskoczył mnie cel podróży. Podobnie jak w przypadku mojego towarzysza Randolpha Cartera, który pierwszy opowiedział mi swą historię, zanosły mnie do najgłębszej i najciemniejszej dziury, jaka istnieje we wszechświecie, i tam puścili.

Stojąc na ogromnym stosie kości pokrywającym dno Doliny Pnoth, zdany na pastwę losu starałem się przypomnieć sobie, co jeszcze może mnie tu spotkać.

Ogromne Dhole przypomniały o sobie cichym sykiem i mlaskaniem. Nikt nigdy nie widział tych potworów żyjących w wiecznym mroku między górami z ludzkich kości. Ci, którzy zdolali uciec, byli przerażeni, z umysłem przeżartym strachem, a pozostali wzięli tę tajemnicę ze sobą do grobu. Obawiałem się, że dołączę do drugiego grona.

W przeciwieństwie do moich przyjaciół, Randolpha Cartera i Richarda Uptona Pickmana, nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się Szczyt Throka ani jak poprosić zjadaczy martwych zrzucających do Doliny obgryzione kości, aby spuścili mi linę.

- Nareszcie mnie znalazłeś! - usłyszałem w ciemności głos mej wybranki.

Uradowany, na chwilę zapominając o otaczającej nas grozie, wyciągnąłem do niej obie ręce.

- Asenath!

- Howard!

Nasze dłonie znów się połączyły.

Ale dotyk jej szczupłych, ukrytych w rękawiczce palców nie był taki jak dawniej. Stracił ciepło i urok. Stał się słaby i zbyt... kościsty.

- Wiem, że nie było łatwo znaleźć moje szczątki - powiedziała usprawiedliwiająco Asenath. - Dlatego musiałam ci trochę pomóc. Przebacz mi tę maskaradę w świecie żywych, ale inaczej się nie dało. Teraz możemy mieć to, czego obydwójce pragnęliśmy. Ty i ja, drogi Howardzie. Na wieki razem!

- Tutaj? - zapytałem drżącym głosem i poczułem, jak ugięły się pode mną kolana.

- Tak, tutaj - kiwnęła głową. - Teraz tutaj jest mój dom. Może stać się również twoim. Zostaniesz? Obiecałeś mi. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętałem. Młodym, zakochanym poetom tak łatwo padają z ust ważne słowa: „miłość i oddanie na wieki”, „za życia i po śmierci”... Przekląłem własny język i błagalnie uniosłem ręce ku niebu.

- Uratuj mnie, Boże, nie chcę tego. Nie chcę! Nie chcę...

DZIEŃ DZIEWIĄTY

WTOREK 19.09

Łóżko w motelu przypominało moje, daleko w Koszycach. Ale i tak nie wyspałem się najlepiej. Gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki, zaraz zacząłem rozmyślać o ludziach, którzy tu wcześniej nocowali. Kim byli? Kierowcami, konwojentami, autostopowiczami, pracownikami na delegacji, zwykłymi wczasowiczami? Czy przypominali bohaterów jakiegoś filmu drogi? Może przede mną wynajmowała pokój któraś z istot astralnych? Od czasu do czasu one też muszą odpocząć.

W końcu zasnąłem, ale parę razy budziłem się w środku nocy i znowu musiałem walczyć z natrętnymi myślami. Nie wspominając o kolejnym koszmarze...

To wszystko przez czytanie i oglądanie horrorów! Kto wie, jak wyglądałyby moje sny, gdybym - dajmy na to - lubował się w tandetnych romansach albo docenianych przez krytyków dziełach literackich z głęboko filozoficzną puentą? Czy śniłby mi się nieudany seks albo wiodące donikąd intelektualne dysputy? Nie mam pojęcia. Wiedziałem jedno - nawet to byłoby lepsze.

Po kolejnym przebudzeniu już nie próbowałem zasnąć. Gapiłem się w sufit bez przerwy rozjaśniany światłami przejeżdżających samochodów. Czekałem, aż zadzwoni telefon. Budzenie zamówiłem na siódmą.

Od razu wstałem i doprowadziłem się do porządku. W restauracji byłem pierwszy, musiałem więc sam poradzić sobie przy zamawianiu śniadania. Pierwszy raz mogłem na żywo wypróbować moją znajomość niemieckiego, którego uczyłem się z telewizji.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych oglądałem estradowe NRD-owskie show „Ein Kessel Buntes”, serial kryminalny dla zaawansowanych (naturalnie wiekowo) „Derich” i oczywiście nocny teleturniej erotyczny „Tutti Frutti”, który leciał w RTL. Błąd! Najwyraźniej żaden zwyczajny Niemiec nie mówił jak prowadzący tamten program Hugo Egon Balder. Kelnerka miała ze mnie niezły ubaw i cały czas z trudem tłumiała śmiech.

Z zenującej sytuacji wybawił mnie Palko. Od razu poprosił o przygotowanie czegoś na wynos i poszedł do samochodu.

Tamara zjawiała się ostatnia.

- Mam wieści. Dobre i złe - powiedziała.

- No dalej, mów - ponagliłem ją z pełnymi ustami.

- Przed chwilą rozmawiałam przez telefon z panią Pauliną. Bronek żyje.

- Serio?

- To jest ta dobra wiadomość. A zła jest taka, że depte nam po piętach kolejny demon zabójca - ostudziła mój zapal. W skrócie opisała mi, co wydarzyło się w Koszycach w ciągu ostatnich trzech dni.

- Wiesz, kto go wynajął? - zapytałem. Śniadanie przestało mi smakować.

- Aziz? Jego wspólnik? Czy to nie wszystko jedno? - rozłożyła bezradnie ręce. - Radzę ci, Dawidzie, żebyś od tej pory miał oczy dookoła głowy. Jeżeli poczujesz zapach siarki i smród spalenizny, krzycz i uciekaj. Jemu chodzi tylko o mnie, więc jeżeli coś by się wydarzyło, proszę, żebyś tym razem nie starał się mnie osłaniać, dobrze?

- Jak sobie życzysz - mruknąłem.

Wtedy dziewczyna wreszcie się uśmiechnęła.

- Zobacz, co znalazłam w kątku z pamiątkami obok recepcji. - Rzuciła na stół prawdziwy amerykański *paperback* za dziesięć dolarów. Z okładki szczerzył się do mnie zębaty klaun, a nad jego głową widniał napis: IT BY STEPHEN KING.

- To się nie liczy - skarciłem ją z rozbawieniem. - Mówiłem ci o książce. Wróżba musi spełnić się przypadkowo. Tak jak z tymi sześciokątnymi konstrukcjami.

- Masz rację - przyznała. - Dobrze, że mi przypomniałeś. Dziś dokładniej je obejrzymy. Zdradzisz mi, co ci się śniło tym razem? Słyszałam z pokoju obok, że przez całą noc spacerowałaś.

- Ślub. Ślub z Lovecrafta - sprecyzowałem.

- Czyj?

- No Lovecrafta.

- Ale kto to jest?

Spojrzałem na Tamarę zdumiony. Jak można było nie znać mistrza horroru i twórcę Cthulhu?!

- Kolejny amerykański pisarz. Dobrze, zapomnij o tym. - Pokręciłem głową. - Dam ci znać, jeśli trafię na coś związanego ze snem.

*

Mniej więcej do dziewiątej czekaliśmy, aż na parkingu pojawią się samochody Imricha Bernátha i cioteczki Jytte. Wreszcie przyjechały. Prawdopodobnie spotkanie w Hanowerze wypadło dobrze, bo za nimi sunęło wypolerowane volvo z wysokim podwoziem. W środku siedziały cztery osoby.

Tamara podała mi ich imiona, ale gdyby po dwóch minutach przyszli agenci FBI i kazali mi je wymienić, nie wydusiłbym żadnego. Wszystkie brzmiały jeszcze bardziej egzotycznie niż duńskie. Nie miałem pojęcia, jak te karkołomne zlepki liter potrafią zapamiętać sami Holendrzy.

Teraz Tamara usiadła za kierownicą, ja obok niej, a Palko i Pytia z tyłu. Zrobili sobie tam mały piknik z paroma kanapkami, konserwą Whiskas i zgrzewką piwa w puszkach, które najprawdopodobniej wypełniało cały bagażnik. Mnie również poczęstowano.

Powoli mijała nam podróż. W radio puszczały hity minionego lata, które Palko konsekwentnie ignorował. Ze słuchawek jego discmana nawet do mnie docierały dźwięki industrialnego rocka. Pogoda dopisywała, tak że wyglądaliśmy, jakbyśmy jechali na wycieczkę.

- Nie masz jakichś pytań albo cynicznych uwag, Dawidzie? - zapytała Tamara po kilku minutach milczenia. - Cokolwiek, bo jeszcze parę godzin tej monotonnej jazdy, a zasnę lub zwariuję.

- Wiesz, że mam. - Uśmiechnąłem się łobuzersko. - Wystarczy powiedzieć. Hmmm... Interesowałoby mnie na przykład, dlaczego wróciłaś z Danii do kraju?

- Ach, jakie to słowackie! - Zachmurzyła się. - Ktoś chce mieszkać i pracować u siebie, a wszyscy go pytają, czy nie zwariował.

- Nie rób ze mnie antypatrioty! - burknąłem. - Wiesz, co miałem na myśli. W Danii miałaś idealny świat, wyższy standard życia i w ogóle wszystko, o czym marzyłaś. Przepraszam, jeśli to było zbyt osobiste pytanie.

Znowu zapanowała cisza.

- Do tej pory prawie z nikim o tym nie rozmawiałam - powiedziała Tamara z wciąż nieprzyjemną miną. - Właściwie wszystko jedno. Temat jak temat. Nie mam nic do ukrycia.

Do niczego jej nie zmuszałem. Poczekałem, aż sama się rozgada.

- Co ciągnęło mnie do domu? Hmm, jakby to powiedzieć... Chyba zawsze miałam wrażenie, że w Danii nie pasuję. Nie, nie mam nic przeciwko temu krajowi. Mało gdzie tak serdecznie i bez uprzedzeń przyjmuje się emigrantów. To we mnie był problem. Poza tym... Mam nadzieję, że Palko się nie pogniewa, ale na moją decyzję najbardziej wpłynęły nie najlepsze stosunki ze stryjem Imrichem.

- Palko nie słyszy - obróciłem się do tyłu i mrugnąłem porozumiewawczo, chcąc wnieść do rozmowy trochę weselszy ton. Zresztą przysadzisty kuzyn dziewczyny dzięki słuchawkom na uszach naprawdę nic nie słyszał. W odpowiedzi pogroził mi tylko palcem.

- Wiem - uśmiechnęła się Tamara, ale po chwili spoważniała. - Nie zrozum mnie źle. Zawsze kochałam i nadal Kocham stryja. A on mnie jeszcze bardziej. Ale nie zawsze miłość wiąże się ze wzajemnym zrozumieniem. Imrich niechcący przekroczył granicę: próbował zastąpić mi ojca. Wiem, że chciał dobrze. Jednak im bardziej się starał, tym bardziej mi to przeszkadzało. Nie chciałam zapomnieć o swoich rodzicach. Choć nie było ich już między nami, nie życzyłam sobie, żeby ktoś zajął ich miejsce. Dorostym często wydaje się, że dzieci gorączkowo potrzebują bezpieczeństwa, obojętnie, czy jest sztuczne, czy prawdziwe. Myślę, że ich uczucia są proste i elastyczne i że najlepszym wyjściem jest zapomnienie. To nie zawsze musi być prawda. Poza tym, gdy dorastałam, zauważyłam, że to nie jest jedyny problem, który nas dzieli.

Dziewczyna zamyśliła się na chwilę, nim znowu podjęła:

- Nasza rodzina z biegiem czasu zyskała na emigracji dobrą pozycję i znowu mogła rozpocząć działalność. Energicznie przyłączyła się do życia Wtajemniczonych w Danii, odnowiła kontakty za granicą, zaczęła robić postępy. Ale w sprawie śmierci moich rodziców z niezrozumiałych przyczyn nikt nie kiwnął nawet palcem. Mnie i siostrę prześladowało to jak jakiś upiór, a inni udawali, że tego nie widzą. Imrich zawsze pierwszy uciskał mnie i karmił, gdy ośmieliłam się komukolwiek o tym wspomnieć. Cała ta sytuacja bardzo mnie drażniła, a pewnego dnia dałam upust swym emocjom. Miałam osiemnaście lat. Byłam pełna energii, jeszcze pełniejsza niż dzisiaj. Spakowałam rzeczy i wyjechałam. Oficjalną przyczyną były studia.

- Wróciłaś, by odnaleźć Aziza?

- Wróciłam, by zbierać informacje o tym, co właściwie wydarzyło się w osiemdziesiątym piątym roku. Zdziwiłbyś się, jak niewiele wówczas wiedziałam o przeszłości moich rodziców. Zawsze gdy pytałam o nich stryja, zbywał mnie, twierdząc, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas, że to zbyt bolesne i skomplikowane, a ja za mało doświadczona, aby zrozumieć. Nie pozostało mi nic innego, jak wziąć sprawę w swoje ręce. To właśnie było przyczyną wszystkich późniejszych konfliktów ze stryjem. Już podczas studiów na Uniwersytecie Komeńskiego rozpoczęłam poszukiwania, ale nie było mi łatwo. Od śmierci rodziców upłynęło wiele czasu, a ślady powoli się zatarty. Ale ja ciągle wspominałam ich twarze, dotyk, uściski... trumny, w których zostali pochowani. Miałam dziewięć lat, Dawidzie. W wieku dziewięciu lat straciłam naraz ojca i matkę. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Nie potrafiłem. Owszem, każdy wie z czasopism i z telewizji, co oznaczają dla dziecka takie traumatyczne przeżycia. Każdy wie - teoretycznie.

- Najgorsze było to - ciągnęła Tamara - że gdy w końcu znalazłam ludzi, dzięki którym mogłam poznać prawdę, zachowywali się podobnie jak stryj. Dopiero gdy po wielu latach ciągłego naciskania zdradzili mi tajemnicę, zrozumiałam, dlaczego milczeli.

Spojrzałem na dziewczynę ze współczuciem i zaciekawieniem. Mówiła nawet nie do mnie, tylko wprost przed siebie - do szyby i niemieckiej autostrady:

- Na pewno stryj powiedział ci, jaki w tym okresie był rozkład sił. Po jednej stronie mój ojciec na czele Stowarzyszenia, po drugiej Aziz budujący swoją „Gwiazdę Wschodu”. Powinieneś wiedzieć, że w latach osiemdziesiątych Stowarzyszenie miało silną pozycję. Było jak twierdza. Jeśli Aziz ponownie chciał przedostać się do środka, musiał mieć wewnątrz organizacji naprawdę silnego i oddanego współpracownika. A czy wiesz, kto był zdrajcą? Koniem trojańskim? Gdy pierwszy raz to usłyszałam, nie byłam w stanie w to uwierzyć, zresztą do dzisiaj nie potrafię. Moja własna matka...

Nastąpiła mroząca krew w żyłach cisza.

Tamara mocno zacisnęła dłonie na kierownicy. Od uścisku zbieleły jej palce. Szybko zaczerpnęła powietrza i odetchnęła.

- To ona wbiła mojemu ojcu nóż prosto w serce w ich własnym łóżku. Ona była osobą, która otworzyła drzwi Azizowi Kazhegeldinowi i pozwoliła, by stanął na czele organizacji. Próbowałam zrozumieć, dlaczego to zrobiła, ale nigdy mi się to nie udało. Ludzie twierdzili, że miała romans z Azizem. Że ją uwiódł. Rzeczywiście, gdyby omotał ją tylko czarami, to ojciec z pewnością by na to wpadł. W końcu był mistrzem numer jeden. To on kontrolował większą część Europy Środkowej. Ale kto spodziewa się, że zdradzi go własna żona?

Zszokowany nie wydałem z siebie nawet głośniejszego oddechu. Słuchałem.

- Mama tydzień po zbrodni targnęła się na własne życie. Oczywiście Aziz odsunął ją od siebie. Wykonała zadanie, nie była już potrzebna. Znienawidziłam go za to jeszcze bardziej. Nie tylko zabił mi ojca, ale złamał matkę. Postanowiłam się zemścić. Wiedziałam, że nie dotrzymam obietnicy danej stryjowi, że po studiach nie wrócę do Danii. Zdawałam sobie sprawę, że nie zaznam spokoju, póki nie znajdę Aziza i na żywcą nie wyrwę mu wnętrzności. Gdyby nie on, moje życie mogło wyglądać zupełnie inaczej! Do dzisiaj mogłam mieć oboje rodziców. Może by się rozwiedli, może i tak razem z siostrą skończyłybyśmy pod opieką stryja. Ale byliby żywi. Mogliby prosto w oczy powiedzieć mi o swoich błędach, usprawiedliwić się, wytłumaczyć... Niestety, to się już nigdy nie stanie.

Czekałem, kiedy Tamarze zwilgotnieją oczy i wybuchnie płaczem. Ale widziałem w nich tylko nienawiść i chłód. Już dawno osuszyła łzy. Została tylko zemsta.

Zacząłem rozmyślać o własnej rodzinie. Czy kiedyś groziło jej coś podobnego? Na pewno nie. Ojciec czasem lubił sobie wypić i potem był nieznośny, ale prawdę mówiąc, wiedli z mamą nudne i uporządkowane życie. Cieszyłem się z tego. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak przeżyłbym bez nich te wszystkie lata mojego życia.

Zacząłem rozumieć Tamarę. Albo przynajmniej szczerze się starałem.

- W końcu się doczekałaś - przerwałem ciszę. - Jesteś na końcu drogi i to nie sama, rodzina jest z tobą. Przyznaję, że nie miałem pojęcia, przez co musiałaś przejść.

Uśmiechnęła się z goryczą.

- Obawiam się, że gdybym tak po prostu przyjechała poinformować krewnych, gdzie jest Kazhegeldin, upłynęłyby długie miesiące, zanim cokolwiek by zrobili. Niestety są mi potrzebni. Aziz niechętny mi pomógł. Uraził ich, użądlił prosto w dupę. Tylko dlatego teraz poszliby za mną nawet do piekła - prychnęła Tamara i dodała po chwili: - To nie jedyna sprawa, która wyrwała mu się spod kontroli. Dzięki śladom zostawionym przez jego wspólników i mojemu śledztwu mam parę pośrednich dowodów, że na Mabon szykuje coś naprawdę wielkiego. Na jego posiadłościach trwają przygotowania. Kolejny powód, by złożyć mu wizytę!

- Mabon... - starałem się sobie przypomnieć. - Jasne! Mówiliście o tym w Stowarzyszeniu w związku z rzuconą na mnie klątwą. Skojarzyło mi się to z jakimś dniem czarownic. Kolejne Halloween?

- Według laika, tak. Wszystkie ważniejsze święta w cyklu przyrody wiążą się z magią i czarami. To czas rytuałów. Daniela jest lepszym specjalistą w tych sprawach niż ja, ale coś tam wiem. To co, zmienimy temat?

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową.

*

Tamara „coś tam wiedziała”. Było to jednak ogromne „coś tam”. Każde z dzieci moich kuzynów opętane chroniczną potteromanią z pewnością zgodziłoby się ze mną, że gdyby w Hogwarcie zachorowała nauczycielka magii naturalnej, bez obaw mogłaby zastąpić ją Tamara.

Wyjaśniła mi, że przypadający w równonoc jesienną Mabon był jednym z czterech najważniejszych świąt w roku. W tym roku przypadało dwudziestego trzeciego września, czyli już w tę sobotę. Najbardziej rozpowszechniona była celtycka nazwa święta, jednak w krajach anglojęzycznych nazywano je też Dziękczynieniem Czarownic, a w pogańskim

kalendharzu Słowian zbiegało się z Dniem Swarożycy. Religia chrześcijańska (chociaż z małym opóźnieniem) przerobiła je na dzień świętego Michała.

Od czasów przedszkola wiedziałem, że w tym dniu dzień i noc trwają tyle samo czasu. Później obilo mi się też o uszy, że wtedy słońce wchodzi w znak Wagi. Teraz znów sobie to przypomniałem, gdy Tamara oznajmiła mi, że Mabon to przede wszystkim ostatni dzień Równowagi. Według większości mitów o odwiecznej walce między bogami światła i ciemności, po tym dniu zaczynają wygrywać ci drudzy. W ten sposób przypominają ludziom, że powinni zacząć przygotowania do zimy.

Obojętnie, czy chodziło o celtyckiego Goronwego, który podstępem doprowadził do śmierci Llewa, czy o greckiego Hadesa, który porwał Persefonę do podziemi i obiecał jej wolność pod warunkiem, że raz w roku do niego wróci - każdy mit tak naprawdę mówił to samo. Rzymianie mieli opowieści o Ceres, Egipcjanie o Thocie, a ludy Północy o Frei i Thorze.

Jak wspominała też Petronela podczas dyskusji w Stowarzyszeniu, obrzędy ludowe związane ze świętem równonocy jesiennej przeważnie miały pokojowy charakter. Mabon właściwie był zakończeniem dożynek, wiązał się ze zbiorem plonów. Wszystkie ludy europejskie, jak również Indianie z Ameryki Północnej, po żniwach z należytyim szacunkiem wynosili wówczas z pola ostatni snop zboża. Przeważnie pletli z niego słomianą kukłę, słowiańską Pszniczną Babę, celtycką Cailleach albo niemiecką Kornmutter. Ubierali ją w kobiece szaty i zawieszali nad wejściem do domu lub stodoły. Kukła czekała tam aż do Mabonu, kiedy to albo zjadało ją bydło, albo była rytualnie zabijana czy palona, by popiół zwrócił ziemi jej płodność i magiczne siły.

Ile dni przed świętym Janem zakwitła dzika róża, tyle dni przed świętym Michałem na Słowacji zaczynał się zbiór owoców i żniwa. Jeśli do tego czasu skończyło się także wino- i miodobranie, obrzędom towarzyszyły bogate uczy ze stołami uginającymi się pod ciężarem zebranych plonów - pszennicznych kołaczy, jabłek, gruszek, kukurydzy, napitków. Podczas biesiad opowiadano bajki ludowe, śpiewano pieśni, kobiety przędły, mężczyźni strugali, wiejskie czarownice rzucały proste zaklęcia gwarantujące młodym szczęście i bogactwo w przyszłości. Mabon był ostatnim dniem harmonii między ziemskim i nadprzyrodzonym światem. I właśnie dlatego idealnym czasem na magię i Inwokację. Zwłaszcza na Inwokację.

*

- Myślałam o tym przez całą noc - kontynuowała Tamara ze zmarszczonym czołem. - To, że akurat teraz zaginęła Księga Inwokacji, nie jest przypadkowe. I jeśli rzeczywiście to Aziz zdobył księgę, naprawdę mamy się czego obawiać.

- Czegoś konkretnie? - spytałem niepewnym głosem.

- Sam się domyśl. Te asyryjskie teksty to nie są zwykłe babskie czary-mary, Dawidzie. Są w nich opisane sposoby przywołania najstarszych demonów. Nie chodzi o zwyczajne istoty z czasów pogańskich i przedhelleńskich, ale nawet te z przedegipskich i przedsumeryjskich. Pradawne demony od wieków pogrążone we śnie zapomnienia, dla których piramidy to nowoczesne budowle. Ich astralne dusze prawie zniknęły. Są bledsze niż nasze wspomnienia głęboko ukryte w zakamarkach świadomości... Ale nie są stracone na zawsze. A razem z nimi ich okrutna nieograniczona moc. Mówię o demonach ziemi, które machnięciem ręki potrafiły wznieść albo spustoszyć puszcę, a kiedy miały ochotę, trzęsły szczytami gór. O demonach wody, które były w stanie wylać rzekę z koryta, zatopić doliny, miasta i całe półwyspy. O demonach ognia, które zarówno potrafiły ogrzać nieurodzajne pola, jak również zmienić kontynenty w pustkowia. W końcu o demonach powietrza, których mrozący oddech potrafi na wieki pokryć lodem Ziemię.

Z furią dodała gazu, wyprzedzając jakiś samochód.

- Te demony to sama Matka Ziemia - kontynuowała. - Wszechmocne duchy powstałe z jej ciała. Kości, krew, mięśnie i dusza tego świata. Jedyne istoty, które zasłużyły na miano bogów. To one są tym najprawdziwszym źródłem, pierwowzorem wszystkich stworzeń i całego życia. Dzisiejsze żywiołaki to tylko ich dalecy potomkowie, zresztą tak samo jak my. I co o tym sądzisz? A Kazhegeldin chce uwolnić taką moc i pewnie sobie wyobraża, że potrafi nad nią zapanować! Jak?! Wyobrażasz to sobie?

W żaden sposób nie mogłem sobie tego wyobrazić. Co innego, jeśli jakiś żądny sławy debil zlikwiduje konkurenta, a przy okazji zmarnuje życie innym ludziom, którzy przypadkiem wejdą mu w drogę. Smutne i tragiczne, ale świat się przez to nie wali. Natomiast obudzenie ze snu takich istot...

- Dlaczego w ogóle trzymacie takie rzeczy?! - wykrzyknąłem ze zdumieniem. - Dlaczego nie zniszczyliście tej książki? Nie pomyśleliście o tym, że będzie prowokować podobnych idiotów i że w najmniej oczekiwanym momencie w końcu wam ją ukradną?

Tamara westchnęła z rozpaczą.

- A ty byś zniszczył? Spaliłbyś zapiski liczące wiele tysięcy lat? Chciałbyś się zabawić w inkwizytora palącego na stosie dzieła Kopernika czy Bruna?! A może w nazistę wrzucającego do ognia Einsteina albo Freuda? Miałbyś odwagę? Bo ja nie! - wybuchnęła, po czym

dokończyła spokojniej: - Sama uważam, że Księgi Inwokacji nie powinny być pozostać w archiwum. Może w krypcie Vanickich zabezpieczone dodatkowo paroma magicznymi zamkami, tak jak inne niebezpieczne przedmioty Stowarzyszenia. Ale w czasach, w których podejmowano decyzję, co znajdzie się w krypcie, a co nie, większości dzisiejszych Wtajemniczonych jeszcze nie było na świecie. Niestety! Wszyscy teraz płacimy za błędy przodków.

- A właściwie co planuje Aziz? - zmieniłem temat. - W jaki sposób zamierza przywołać te superbestie?

- Nie wiem. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Nikt ze Stowarzyszenia nie czytał tej księgi. Możemy tylko przypuszczać, że rytuał będzie imponujący i krwawy. Jedyne, co znamy, to czas: Mabon. A jeśli nasze domysły są prawdziwe, to Aziz zaplanował obrzędy na południe dwudziestego drugiego września.

- Mówiłaś, że święto wypada dwudziestego trzeciego - przypomniałem.

- Mabon zawsze obchodzi się w wigilię równonocy, nie w samym dniu. Jeśli w ogóle zacznie Inwokację, to zrobi to w piątek. Musimy go zatrzymać. Im szybciej, tym lepiej. Po piątkowym zachodzie słońca będzie już za późno.

- I ty mi to mówisz ot tak? - spojrzałem na zegarek. Dochodziło południe. - Zostały mi trzy doby życia. Mogę prosić o ostatniego papierosa? - zakpiłem w przyływie wisielczego humoru.

Zapadła cisza. Od jakiegoś czasu na ustawionych wzdłuż autostrady tablicach informacyjnych coraz częściej pojawiały się nazwy Stuttgart i Ulm. Oba miasta były już coraz bliżej.

Nawet szmerząca klimatyzacja nie potrafiła rozładować narastającego napięcia. Flegmatyczny Palko odłożył discmana i z rozdrażnieniem stukał palcami w pustą puszkę po piwie. Pograżeni we własnych myślach przekroczyliśmy granicę Badenii-Wirtembergii, ominęliśmy wielotysięczne centrum i szukaliśmy bocznej drogi do Senden. W końcu dostaliśmy się w pajęczynę krętych szos łączących rozproszone pola i farmy. Mijaliśmy dziesiątki wiosek podobnych do siebie jak dwie krople wody.

- Zbliżamy się - nagle poinformowała nas Tamara i zdjęła nogę z gazu. - Jeżeli zauważycie jakieś dogodne miejsce, gdzie możemy stanąć, dajcie znać.

Mercedes zwolnił. Powoli doganiały nas jadące za nami samochody.

- Jakies ławki przed nami - wskazałem asfaltowy plac po lewej.

- Za bardzo rzucają się w oczy - pokręciła głową Tamara.

Po chwili dostrzeżliśmy polną drogę prowadzącą w głąb niewielkiego lasu. Dziewczyna od razu włączyła kierunkowskaz.

*

Wysiadłem, oczekując czegoś w stylu narady wojennej, ale spokojne zachowanie Bernáthów, rzucane od czasu do czasu krótkie uwagi i wskazówki, dały mi do zrozumienia, że narada nie jest potrzebna. Wszystko mieli już dawno przemyślane.

Ledwie wysiedliśmy z samochodu, Palko podszedł do bagażnika. Nie zdziwiły mnie trzy przenośne lodówki wciśnięte jedna obok drugiej - zimne carlsbergi nie biorą się przecież z magicznego kapelusza. Kuzyn Tamary wyjął je, odłożył na trawę, po chwili do lodówek dołączyła skrzynka z narzędziami, apteczka, gumowa wycieraczka... Palko odkręcił błyskawicznie kilka śrubek, po czym zdjął pokrywę fałszywego dna.

Z ciekawością wytrzeszczałem oczy, co też wyciągnie... Tak, mogłem się domyślić, co ukrywały skórzane dobrze zabarykadowane torby. Przez całą drogę z Danii jechał z nami kompletny wojskowy arsenał. Dlatego nie podróżowaliśmy samolotem!

W pierwszej chwili doznałem szoku. Przypomniałem sobie o wszystkich patrolach policyjnych, które mijaliśmy na autostradach i w miastach. Po plecach przebiegły mi ciarki. Gdybym wcześniej wiedział, co wieziemy w bagażniku, moja blada twarz winowajcy z pewnością dałaby do myślenia pierwszemu lepszemu niemieckiemu policjantowi, który zastukałby w okno samochodu.

Palko zaczął wyciągać z toreb karabiny. Od razu poznałem legendarne rosyjskie AK czterdziestki siódemki, które były najbardziej rozpowszechnionym wyposażeniem naszego słowackiego wojska. A także terrorystów na całym świecie. Proste i skuteczne jak większość produktów z byłego Związku Radzieckiego. Tamara zaczęła rozdawać je rodzinie. Dla siebie i Palka odłożyła specjalne typy krótkich kałasznikowów ze składanymi kolbami - o ile dobrze pamiętałem z wojska, były to AKS-74, ulubiona broń specnazu. Z pozostałych toreb wynurzyło się parę noży, rewolwerów, pistoletów, ale przede wszystkim hełmy i kuloodporne kamizelki. A więc moje skojarzenie ze specnazem było trafne, niestety.

Już z bronią w garści kilka osób zapaliło papierosy, a Palko błyskawicznie opróżnił następną puszkę piwa. Tylko Tamara wykorzystała chwilę odpoczynku na rozruszanie nóg zdrętwiałych podczas długiej jazdy.

- Nie zaczekacie do zmroku? - zapytałem ją.

- Nie - odparła stanowczo. - Tym razem nie będzie żadnego pełzania między krzakami ani żadnych okularów na podczerwień! I tak nie miałyby to sensu. Willę Kazhegeldina otacza kilka rzędów ogrodzeń, pole z detektorami ruchu i wreszcie pas zamknięty drucianą siatką, do którego w nocy wypuszcza się watahę psów. Las patrolują demony, a wewnątrz jest osobista straż Aziza. Samej udało mi się tam prześlizgnąć, ale z dwunastoma ludźmi za plecami? Poza tym nie wszyscy z nas należą do Wtajemniczonych.

Powiniennem próbować wybić jej z głowy ten pomysł, a w każdym razie odmówić udziału w akcji albo udać, że idę za potrzebą i uciec. Tak bym postąpił jeszcze tydzień wcześniej. Ale teraz cóż miałem do stracenia? W każdym razie do zyskania znacznie więcej - życie.

- Spróbujemy wziąć ich z zaskoczenia - wyjaśniała swój plan dziewczyna. - Do budynków najszybciej dostaniemy się samochodami. Jeśli uda nam się zdobyć samą willę, wygraliśmy. Oprócz Aziza i kilku służących w środku jest pięciu lub sześciu ochroniarzy. Wszyscy bez wyjątku są żywiołakami posiadającymi materialne ciała. Są odporniejsi na strzały niż ludzie, ale każde ciało ma swoje ograniczenia. Wierz mi, że jeśli dopisze nam szczęście, to dziś go dopadniemy!

- Nie zabijajcie go - westchnąłem - jeśli to nie będzie konieczne, proszę.

Tamara uśmiechnęła się i pocieszająco klepnęła mnie w ramię.

- Nie bój się, Dawidzie. Chcemy go mieć żywego. Nie jesteś jedynym, który musi zadać mu kilka pytań.

*

Stryj Imrich zgasił papierosa i - jak w filmie o mafii - na ten znak wszyscy bez słowa wrócili do samochodów. Cioteczka również wyrzuciła ultracienkiego peta. Palko beknął, zmiażdżył w dłoni pustą puszkę i wrzucił ją do reklamówki w bagażniku. Duńskie wychowanie proekologiczne zrobiło swoje mimo alkoholu w żyłach i dodającej adrenaliny broni w ręce. Tamara włożyła skórzane rękawiczki, po czym przekreśliła kluczyk w stacyjce mercedesa.

- A ty gdzie?! - warknęła na mnie, gdy chciałem usiąść na miejscu pasażera. - Pojedziesz z Kristen i Daniłą.

Odetchnąłem, że nie pójdę na wojnę. Usiadłem w prawie pustym eurovanie. Za kierownicą czekała już na mnie córka cioteczki, Kristen, a obok niej Daniela trzymająca na kolanach Pytię.

Powoli minął nas mercedes z Tamarą, Palkiem, stryjem i cioteczką w środku, potem bmw

z pozostałymi członkami rodziny oraz holenderskie volvo. My znaleźliśmy się na końcu tej karawany.

Jeszcze przez kilka minut samochody leniwie wlokły się asfaltową drogą. Jednak gdy po prawej stronie pojawił się odrapany mur z drutem kolczastym, Tamara dodała gazu i wszystkie trzy auta z piskiem opon ruszyły w kierunku żelaznej bramy.

Kristen zjechała na pobocze.

Tymczasem Palko wychylił się z przyspieszającego auta i kilkoma krótkimi seriami oślepił kamery, a potem skasował skrzynki systemu alarmowego. Tuż przed bramą zgrabnie wsunął się do środka i pozwolił Tamarze wyciągnąć z mercedesa, ile fabryka dała. Na pełnym gazie pokonali mostek nad rowem i wlecieli prosto w żelazne wrota.

Z przerażenia stanęło mi serce. Według praw fizyki powinni się roztrzaskać o potężną stalową konstrukcję, ale to brama wyleciała z zawiasów i dobrych dziesięć metrów z upiornym zgrzytem tarła o żwir. Po czym sama z siebie rozprysła się w drobny mak. O dziwo, na masce samochodu z daleka nie dostrzegłem żadnych wgnieceń.

- Boże! - odetchnąłem z ulgą.

- To robota stryja - wyjaśniła z uśmiechem Daniela. Po sforsowaniu bramy wszystkie trzy auta zniknęły nam z oczu. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko cicho siedzieć i nasłuchiwać. Jeszcze przez chwilę dochodził do nas huk silników i odgłos kół toczących się po wysypanej żwirem drodze. Wszelkie dźwięki zaraz ucichły w oddali.

Otwarliśmy okna. Wierzchołki drzew nad murem posiadłości Aziza leniwie kiwały się na wietrze, szeleściły pożółkłymi liśćmi. Powoli mijała minuta za minutą.

- Już powinni być na miejscu - szepnęła Daniela. Nie potwierdzał tego żaden odgłos. Żadne dźwięki towarzyszące pokonywaniu przeszkód. Nie padł ani jeden strzał.

Jeszcze nie tak dawno zdawało mi się, że dostrzegam koniec moich kłopotów. Że szczęśliwy finał jest na wyciągnięcie ręki. Wyobrażałem sobie, jak poddawany torturom Aziz zwija się pod ciężarem wojskowego buta Palka i płaczącym głosem szczegółowo wyjaśnia, jakie polecenia wydał wspólnikowi w Koszycach. Zdradza wszystko, co dotyczyło planów zlikwidowania Tamary i tej klątwy z opóźnionym zapłonem...

Ale wszystkie nadzieje ponownie zastąpił strach i złe przeczucia - obawa, której ziarno wykiełkowało już podczas postoju w lesie.

Czas włókł się w nieskończoność. Napięcie w eurowanie powoli stawało się nie do zniesienia.

Dlaczego nie słychać choćby szczekania psów? Albo jakichś krzyków? Czegokolwiek...

Gdy nagle zadzwonił telefon, wszyscy łącznie z Pytią zdrętwieliśmy ze strachu. Kristen błyskawicznie przyłożyła komórkę do ucha. Przez moment słuchała w milczeniu, potem ze złością wymieniła kilka zdań w swym ojczystym języku i zaklęła, kończąc połączenie. Odpaliła eurovana i ruszyliśmy w stronę posiadłości.

- Co się dzieje? - wytrzeszczyłem oczy na Daniełę.

- Aziz gdzieś wyjechał - powiedziała dziewczyna. - Willa jest pusta...

*

Minęliśmy sforsowaną bramę. Pokonaliśmy otoczoną drzewami drogę dojazdową, zostawiając za sobą głębokie ślady opon. Po trzech minutach znaleźliśmy się na rozległym parkingu pod porośniętą trawą wzniesieniem. Był tak szeroki, że spokojnie mogła na nim zawrócić kawalkada ciężarówek.

Ale teraz świecił pustką. Tak samo jak otaczające go z trzech stron budynki - składowiska, baraki, garaże, stodoły, stajnie, nawet zagrody dla bydła.

Zaparkowaliśmy tuż przed willą Aziza - monumentalną budowlą po prawej stronie parkingu. Wyglądała na jeszcze droższą, a zarazem była jeszcze bardziej komiczna niż na zdjęciu. Tak jakby ktoś pomieszał wszelkie możliwe style z albumu „Architektura na świecie”, a potem jeszcze obejrzał czołówkę któregoś filmu Disneya i postanowił, że też chce mieć bajkowy zameczek, bo go stać. Tylko skończony nowobogacki dureń buduje dwunastometrową fasadę z marmurowymi schodami, antyczną kolumnadą, reliktowym portalem i dwoma ogromnymi sfinksami na kamiennych podstawach. Ale nawet ktoś taki nie dodałby chyba łukowego dachu i gotyckich wieżyczek. Nie wspominając o dekoracjach - pentagramach i rzeźbach przedstawiających okaleczone ludzkie członki.

Odwróciłem wzrok i wyszedłem z auta rozprostować kości. Sprawdziło się moje przecucie - znów tkwiliśmy w martwym punkcie. Ale przynajmniej cali i zdrowi.

Podczas gdy Wtajemniczeni przetrząsali budynki, stryj Imrich oparł się o jeden ze słupów fasady willi. W zadumie stukał laską o powierzchnię schodów i palił cygaro. Nagle z hukiem otworzyły się drzwi składowiska po prawej stronie i wyszła z nich Tamara.

- Zniknęli - podeszła do nas, zgrzytając zębami. - Wszystko zniknęło! Ludzie, demony, wozy, sprzęt techniczny, bydło. Wszystko. Nawet twoje przeklęte sześciokąty, Dawidzie! - Ze złością kopnęła w oponę eurovana. - Może jeszcze coś tam?... - Ruszyła szybkim krokiem w stronę drewnianej stodoły naprzeciwko.

Instruowana przez telefon Kristen ruszyła w stronę męża i przez chwilę nikt inny nie zwracał na nas uwagi.

- Masz ochotę obejrzeć osobistą rezydencję Kazhegeldina? - zwróciłem się do Daniela.

Obojętnie wzruszyła ramionami i pomogła kotu wygodnie usadowić się w swoich objęciach. - Hm, może... Ale chyba powinniśmy poczekać, aż dokładnie wszystko sprawdzą.

- Zapytamy twojego stryja - zaproponowałem. Kiwnęła głową i wolnym krokiem udaliśmy się w stronę schodów. Ledwie dziewczyna postawiła nogę na pierwszym stopniu, Pytia groźnie prychnęła, wyrwała się jej z rąk i uciekła do samochodu. Nie dziwiło mnie to ani trochę. Cały budynek zionął smrodem demonów. Siarką, dymem, ziemią i przesiąkniętą metalem gnojówką. Dywany w willi pewnie zostały wydeptane przez setki stóp najróżniejszych żywołaków.

Daniela pokręciła głową i wróciła po kotkę. Ja w tym czasie wdrapałem się na górę i zajrzałem do środka.

- Mogę wejść? To bezpieczne? - zawołałem do Imricha.

Tylko niedbale machnął na to ręką. Wkroczyłem więc w półmrok domostwa Aziza.

Tapety, materiał i meble znajdujące się w holu, o dziwo, były z tej samej parafii. Nie pasowały wprawdzie ani trochę do tego, co widziałem na zewnątrz, ale przynajmniej nie gryzły się ze sobą nawzajem. Przypominały barok, gwoli ścisłości - psychodeliczny barok z piekła rodem. „Witamy przybyszów w bajkowym królestwie niewyobrażalnego bogactwa! - krzyczały napuszone, przeładowane ozdobami sprzęty. - Jeśli chcecie czuć się tu bezpiecznie, zastanówcie się, zanim zrobicie następny krok". Posępny nastrój przywoływał w mojej pamięci sen o zbezczeszczonym kościele, ale temu pompatycznemu, wystylizowanemu kiczowi było bliżej do cyrku, który przyśnił mi się noc wcześniej.

Jeśli hol nie dałby rady zniechęcić gościa, to z pewnością dokonałyby tego obrazy rozwieszane parę metrów dalej pod łukowatymi schodami prowadzącymi na piętro. Jeszcze zanim obejrzałem płótna, domyśliłem się, co na nich zobaczę. Przedstawały dokładnie takie same bluźniercze sceny, które wczoraj w nocy widziałem na ścianach romańskich ruin.

Nagle usłyszałem krzyki na zewnątrz budynku. Przestały mnie interesować skarby galerii Aziza i na złamanie karku wybiegłem z willi.

Rozgrywająca się tuż pod schodami scena zapała mi dech w piersiach. Grupka Wtajemniczonych otoczyła miotający się kłęb kurzu, w którym rozpoznałem Imricha Bernátha walczącego z dwoma sfinksami. Żywymi! Próbowaly go udusić.

Cioteczka Jytte jedyna nie straciła głowy. Stała nad wierzgającą trójką w takiej samej pozycji, jak parę dni temu Tamara nad świętej pamięci panem Parzivalem, i recytowała magiczną formułę.

Chwilę trwało, nim zadziałało zaklęcie. Sfinksy znieruchomiały. Z kamiennych posągów z rozpaczliwym zawodzeniem wyleciały dwa drżące cienie i zataczając kręgi, poszybowały ku niebu. Cioteczka odetchnęła z ulgą i bezwładnie osunęła się w ramiona dwóch młodych Holendrów stojących za jej plecami.

Palko i Jakob (ciągle nie wiem, czy nie powinienem nazywać go po prostu Jakub, skoro i tak urodził się na Słowacji) błyskawicznie podbiegli do ojca, żeby go wydobyć z uścisku marmurowych posągów. Ale Imrich mocno ugrzązł między postaciami sfinksów. Przestali się więc mocować, starszy brat uklęknął nad głowami rzeźb i położył ręce na ich ramionach. Zamknął oczy pogrążony w koncentracji. Kamień pod wpływem dotyku zaczął pękać. Wtedy dopiero wyciągnęli z Palkiem poturbowanego ojca.

Gdy tylko Imrich Bernáth stanął na nogach, zaczął przeklinać w swym ojczystym języku. Takich rynsztokowych wiązanek chyba nie potrafiłby składać już nikt w Koszycach. Stara szkoła! Z jego ust płynęły gładko całe zdania składające się niemal wyłącznie z wulgaryzmów. W końcu umilkł, bo gdzieś zawieruszyła się jego laska i bez pomocy synów nie był w stanie utrzymać równowagi. Z nosa i uszu ciekła mu krew, a jego prawa ręka wisiała bezwładnie wygięta pod nienaturalnym kątem.

Palko mocno chwycił go pod ramię i ostrożnie skierował się w stronę schodów.

- Tylko nie do tego domu! - krzyknął Imrich. - Do samochodu!

Syn kiwnął głową i ruszyli w stronę eurovanu. Daniela błyskawicznie otworzyła drzwi auta, złożyła tylne siedzenia i przygotowała dla stryja prowizoryczną leżankę.

- Strasznie tu śmierdzi. Jak mogliśmy to przeoczyć?! - kręciła głową stojąca niedaleko Tamara. Ze złością podparła boki zaciśniętymi w pięści rękami.

- Dojdzie do siebie? - zapytałem pełen obaw i zszedłem na dół po schodach.

- Dojdzie - powiedziała. - Mamy swoje sposoby. Cioteczka trzyma w przegródce termos z napojem regenerującym. To ekstrakt z suszonych liści pewnej azjatyckiej rośliny. Chińska receptura. Stryj to wypije, przez kilka godzin pokwituje, a rano będzie świeży i wypoczęty.

- No, no - uśmiechnąłem się z ulgą. - Z czymś takim na rynku odnieśliście sukces. WHO całowałoby wam stopy.

- To nie takie proste. - Dziewczyna również się uśmiechnęła. - Napój sam w sobie nie jest żadną magiczną substancją. To lekarstwo, które przyspiesza proces gojenia. Podczas snu stryj

musi skoncentrować się na swoim ciele i własnymi siłami naprawić wszystkie złamania, uregulować zachwianą równowagę organizmu. Ma w tym doświadczenie, możesz mi wierzyć.

- Hm. Demony w posągach sfinksów... - Ostrożnie trąciłem nogą jedno z nieruchomych ciał leżących w śmiertelnym uścisku.

- Dokładnie tak - zgodziła się Tamara.

- Nawet nie zawracali sobie głowy obowiązkową zagadką - mruknąłem.

- Po co? Dziś każdy wie, że tym, kto rano chodzi na czterech nogach, po południu na dwóch, a wieczorem na trzech, jest człowiek - zapewniła mnie i spojrzała na zegarek. - Dobra, dość gadania. Jedziemy dalej. To nie jest jedyne miejsce w tym kraju zaświnione Kazhegeldinami. - Ruszyła w kierunku mercedesa, pstrykając na Palka palcami. - Jeśli chcesz, możesz jechać z nami - zwróciła się znów do mnie. - Wciąż mamy w wozie wolne miejsce.

*

Eurovan ze stryjem i kilkoma innymi osobami został w posiadłości Aziza. Pozostałe samochody wyruszyły w kierunku domów zamieszkanym przez braci czarnoksiężnika i rodzinnej willi Burscha w Ulm. Ja, ponownie w towarzystwie Tamary, Palka i Pytii, jechałem do najbardziej oddalonej farmy Bandara.

Na miejscu czekała nas podobna sceneria - opuszczone budynki, puste stajnie i składowiska. Za chwilę rozdzwonił się telefon Tamary. Gdzie indziej było to samo.

- Do diabła! - zakląła dziewczyna, gdy skończyła ostatnią rozmowę. Tupnęła nogą i o mały włos nie rzuciła komórką o ziemię albo w któregoś z nas. - Uchodźcy, których trzymał Bursch, też zniknęli. Co do jednego człowieka! W jaki sposób, do diaska, w ciągu dwóch dni mogło zapaść się pod ziemię tylu ludzi?!

- I co teraz? - zrzędała mi mina. - Całe śledztwo zacznie się od początku?

- Nie! - Tamara pokręciła stanowczo głową, aż rozwiały jej się włosy. - Nie wierzę, że Aziz zniknął na dobre! Boi się nas, ale nie ustąpi. Zbyt wiele jego przygotowań poszłoby na marne. Starał się myśleć o wszystkim: wynajął zabójców, próbował omotać resztę mojej rodziny w Danii... - wylizowała ze złością. - Kto wie, w jaki sposób się jeszcze zabezpieczył! Nie, nie zrezygnuje.

Zmrużyła powieki, drżącymi rękami wystukała numer i przyłożyła telefon do ucha.

- Bronek? - zapytała tonem szefowej. - Świetnie! Wiem, że wiesz, co się stało. Teraz nie ma na to czasu. Słuchasz mnie? Słuchaj! Jak najszybciej przygotuj mi mapy żył wodnych

całej Badenii-Wirtembergii. Jak tylko znajdę faks w najbliższym hotelu, pošę ci jego numer. Do tej pory masz je mieć wszystkie na stole! Nie wejda do faksu? Więc je dla mnie porozcinasz! Chcę je mieć! Zrozumiano? Uhm... Uhm, dobrze. W porządku. Nie, to nie wszystko! Jesteś w stanie dojechać? Nie owijaj w bawełnę! Jesteś? Doskonale! Jeszcze dzisiaj w nocy wsiadziesz do samolotu, przylecisz do Ulm, zakwaterujesz się w hotelu i z samego rana zaczniesz wydzwaniać do wszystkich firm w okolicy, które sprzedają, wynajmują albo używają tirów, ciężarówek, wszystkiego, co ma więcej niż cztery kółka! Od sprzedaży z dostawą do domu po kolej! Jeśli zajdzie taka potrzeba, wypożyczysz samochód i osobiście do nich pojedziesz. Tak samo skoczysz zerknąć na parking przed willą Aziza. Są na nim ślady opon. Sprawdzisz, co je zostawiło. Aha, i jeszcze coś! Niech Paulina pošę z tobą kogoś ze Stowarzyszenia. Źeby pilnował cię w dzień i w nocy. Lepiej, żeby nie spotkało cię to, co ostatnio. Jasne? Wiem, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. Uważaj na siebie. Zabawa się skończyła, Bronku. To na razie!

Złżyła telefon i odwróciła się w naszą stronę.

- Z powrotem do wozu! Szybko! Co się gapiacie? Nawet supermanowi nie uda się w tajemnicy przewieźć tylu rzeczy, zwierząt i ludzi. Albo Aziz wynajął całą kawalkadę tirów, albo przynajmniej dziesięć razy musiał tam i z powrotem jeździć własnymi samochodami. Coś takiego musiał zauważyć przynajmniej jeden zasrany mieszkaniec w okolicy! Palko za kierownicę! Pytia i Dawid do tyłu!

Wykonaliśmy polecenie. Nawet kotka bez ociągania zrobiła, co jej kazano.

*

A w tym samym czasie...

Alan nienawidził jazdy autobusem. Tłum ludzi, ciało przy cieie. Pełno dorosłych, dzieci, często i zwierząt. Poza tym środek lokomocji, który wybrał, okupowała wyjątkowo głośna i nieprzyjemnie pachnąca grupka przedstawicieli romskiej mniejszości, dość licznej we wschodniej Słowacji. Chłopak co chwilę przeklinał w duchu autobus, ale okoliczności wymagały, by zrezygnować z wygod. W tych okolicach jego harley za bardzo rzucałby się w oczy. A Alan nie chciał, żeby ktoś go zapamiętał. Przezornie zostawił w domu swoją skórzaną kurtkę i z dna szafy wyciągnął wytartą wiatrówkę.

W końcu dotarł na miejsce. Wyszedł z napchanego autobusu na przystanek stojący samotnie przy drodze. Z rękami w kieszeniach i tajemniczym uśmiechem na twarzy spojrział

na rozciągającą się u jego stóp dolinę. Wioska, którą wybrał, leżała jakieś dwadzieścia metrów niżej, nieśmiało garnąc się w kierunku zbocza, po którym wiodła szosa. Niedaleko za przystankiem odchodziła od niej boczna droga, jednak Alan od razu dostrzegł stromą ścieżkę tuż za blaszaną wiatą.

W ciągu ostatnich lat wioska nieźle się rozrosła. Często bogacze specjalnie wybierają sobie takie zadupia i hurtowo wykupują tanią ziemię. To, co zaoszczędzą na cenie gruntu, ładują w domy, samochody i baseny. Miejscowi to wszystko widzą, ale nie protestują. Obcy przynoszą ze sobą pieniądze i to dzięki nim a to nagle znajdują się fundusze na naprawę głównej drogi, a to na remont domu kultury, kościoła, ba, nawet na budowę nowego domu pogrzebowego. Właśnie, tutejszy dom pogrzebowy robił wrażenie - okna z przydymionego szkła, nowoczesna wieżyczka z dzwonem żałobnym, mahoniowe ławki, ozdobny katafalk, a z tyłu nawet murowana kostnica z klimatyzacją. I to właśnie w jej stronę skierował się chytry wzrok Alana.

Chłopak nie od razu ruszył do wioski. Oczy miejscowych są zbyt ciekawskie. Został na przystanku i udawał, że czeka na połączenie do Preszowa. Zanim porządnie się ściemniło, a z ulic zniknęli ostatni ludzie, zdążył wypalić trzy papierosy. Zgasił ostatniego peta i wolnym krokiem zszedł po ścieżce.

Wejść do pustego domu pogrzebowego - to nie był dla niego żaden problem. Zamki posłusznie się otwierały, a alarm go zignorował. Nie był przygotowany na starcie z magią.

W ciemnym pomieszczeniu z lekko szumiącą klimatyzacją leżał tylko jeden trup. Alan błyskawicznie do niego podszedł i ściągnął całun. Na kamiennym stole spoczywało ciało młodej dziewczyny w aksamitnej sukni przygotowane do ранego pochówku w trumnie.

"Julia - uśmiechnął się Alan. - Jak u Szekspira. Nie można poznać, że się utopiła. Wizażyści mają złote rączki".

Była nawet pociągająca. Z zapartym tchem drżącymi palcami przejechał po twarzy dziewczyny, piersiach, udach...

Teraz wiedział o niej już wszystko. Zawsze z góry musiał poznać wszystkie szczegóły. Nic nie zostawiał przypadkowi.

Skoczyła z mostu przez jakiegoś Romea. Młoda i głupia. Nie rozumiał tego. Przecież na wiele sposobów można rozkochać w sobie mężczyznę. Wystarczyło udać się do odpowiednich ludzi. Ale teraz jest już za późno. To, że popełniła samobójstwo, było po jego myśli. Cekał ją świecki pochówek. Wszystko, co z nią do tej pory robiono, obeszło się bez kazań księdza, rytuałów i jakichkolwiek religijnych obrzędów. Dzięki temu będzie miał mniej roboty. Na przykład nie będzie musiał trudzić się z „otwieraniem ciała” jak tydzień temu.

Pamiętał nawet imię i nazwisko tamtego gościa, zresztą jak mógłby zapomnieć coś tak komicznego: Alfons Parzival.

Tak, Julia będzie idealna...

Na chwilę odsunął się od kamiennego stołu. Przystawił do bocznej ściany krzesło i otworzył małe okienko, by wpuścić do środka odrobinę świeżego powietrza. Za chwilę pomyślał jednak, że ciała dziewczyny, gdy demon już je opanuje, trudno będzie się tędy wydostać. Ale machnął na to ręką - w sumie wszystko jedno. Chodziło mu właśnie o to, by sprawa szybko się rozeszła, więc obojętne, czy Julia narobi hałasu w kostnicy, czy gdzieś dalej.

Znowu wrócił do trupa i palcami dotknął jego ust, przekazując ostatni pocałunek.

- Będiesz moim biletem do Stowarzyszenia! - szepnął.

Tamarę okręcił sobie wokół palca. Ufa mu. Czas, by sięgnąć po więcej. Wszystko idzie doskonale. To ciało wpadło mu w ręce podczas nieobecności Tamary i dzięki temu nie będzie musiał tłumaczyć, dlaczego skontaktował się bezpośrednio z Pauliną. Tego rewenanta sam dopadnie. Popisze się. Wszystko doskonale przemyślane.

Alan wierzył w siebie. Ostatnie miesiące obfitowały w sukcesy. Stworzył sobie image dobrego chłopca. Zdystansował się od własnych krewnych. Obojętne, jaką niechęć żywiono w stosunku do jego rodziny, on już prawie pozbył się złej opinii. Przekonał innych, że w tym wypadku jabłko padło daleko od jabłoni.

Znowu uśmiechnął się szelmowsko.

Potem spojrzął na zegarek. Zdjął kurtkę i rozpoczął rytuał. Najwyższy czas.

Demon, z którym zawarł umowę, niecierpliwie czekał za oknem.

*

A w tym samym czasie gdzie indziej...

Jomfru Bolette od kilku godzin bez ruchu siedziała przed lustrem w swoim pokoju. Była idealnie uczesana i wyszykowana niczym lalka Barbie. Czekala. Opuszczony dom zionął pustką, a ponurą ciszę przerywało dochodzące z oddali bicie dzwonów w Thisted. Siedem, osiem, dziewięć...

Na dworze zapadł zmrok, a odbicie w lustrze poszarzało. Ale wypełnione strachem oczy i blada twarz wciąż świeciły niezmiennym przerażającym blaskiem.

Już od dłuższego czasu, ładne parę dni, Bolette dręczyły dziwne przecucia. Złe przecucia. Jej umysł pograżył się w ciemności, a w duszy załągł się niepokój. Coś się wydarzy. Coś bardzo złego...

Nie tylko ona to czuła. Słyszała, jak koboldy nerwowo biegają po podłodze, a w nocy cicho skomlą pod oknami. Wczoraj czuła chyba, że przez sen rozpaczliwie ciągną ją za włosy. Matka *jomfru* Bolette zawsze mówiła, że jeśli domowe krasnoludki są niespokojne, to znak, że zbliżają się problemy. Ciągnięcie za włosy mogło oznaczać tylko jedno: niemiłe spotkanie z mężczyzną. Bolette wcale nie miała na to ochoty, zwłaszcza że na kilka dni została zupełnie sama w wielkiej posiadłości Bernáthów. Do tego jeszcze dzisiaj... Dzisiaj widziała, że w ogrodzie za domem błąka się czarny pies. Na myśl o warczącym potworze po plecach przebiegły jej ciarki. To stworzenie nie pochodziło z tego świata. Jego sierść była czarna jak węgiel, a w oczach błyszczał złowrogi magiczny płomień. Od urodzenia słyszała piski i dreptanie koboldów, ale nigdy przedtem żadnego nie widziała. Zazwyczaj nie ukazują się ani w zwykłej, ani w zwierzęcej postaci. Jeśli człowiek je zobaczy, oznacza to dla niego tylko jedno - śmierć.

Bolette jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła takiego przerażenia. Koboldy ostrzegały ją. Nie dało się przeoczyć wyraźnych znaków. Ale ona nie miała pojęcia, co z tym zrobić. Wiedziała, że bez pomocy Wtajemniczonych jest kompletnie bezradna.

Tak więc siedziała i czekała.

Gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi, odetchnęła z ulgą. Co prawda nie opuszczał jej strach, ale powrót do rutyny zwrócił siły starej służącej. Wstała, weszła do holu i z wyuczoną grzecznościową formułką na końcu języka otworzyła drzwi.

Blask z korytarza oświetlił wysoką postać w jasnobrazowym płaszczu. Przed wejściem stał sędziwy mężczyzna z krótko przystrzyżoną bródką i w pilśniowym kapeluszu na głowie. Ręce miał założone za plecami i właśnie z ciekawością oglądał relief z herbem rodowym nad futryną.

- Dobry wieczór - uśmiechnął się do *jomfru* Bolette. - Szukam panny Bernáthowej. Tamary Bernáthowej - powiedział po angielsku.

- Nie ma jej - odpowiedziała służąca bardziej szorstko, niż by wypadało, i lekko drżąc na całym ciele, zmierzyła przybysza wzrokiem.

- Wiem - kiwnął głową. - Kręcę się tu od jakiegoś czasu. Domyśliłem się. Chciałem zostawić dla niej wiadomość.

- Wiadomość? - powtórzyła cicho Bolette.

- Pardon! - Mężczyzna nagle uniósł brwi, jakby o czymś sobie przypomniał. - Prawie zapomniałem! Znalazłem to - wyciągnął ręce z za pleców - z tyłu na werandzie.

Służąca z przerażeniem wytrzeszczyła oczy. Ugięły się pod nią kolana. Z zaciśniętej prawej ręki cudzoziemca głową w dół zwisały dwa małe koboldy. Brutalnie trzymał je za nogi, a ich półprzezroczyste ciała bezwładnie kołysały się na wszystkie strony.

- Niesmaczne - stwierdził przybysz i pokręcił głową. - Ktoś musiał dodać im truciznę do mleka. Albo coś w tym stylu. Ludzie potrafią być niewiarygodnie okrutni. Nie rozumiem, dlaczego komuś miałyby przeszkadzać tak przemiłe domowe maskotki. - Wyrzucił za siebie nieżywe stworzonka i z niesmakiem otrzepał rękę. - Ale nie po to tu przyszedłem. - Wyczarował szeroki uśmiech. - Przepraszam za zwłokę. Nie będę przedłużać. Widzę, że się pani niecierpliwi. Przejdźmy do rzeczy.

Zanim Bolette zdążyła wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, obiema rękami chwycił ją za szczękę i przyciągnął do swojej twarzy. Jego usta łapczywie przyssały się do warg służącej, a między zęby wcisnął jej swój obrzydliwy śliski język. Był niewiarygodnie długi. I - była tego pewna - na końcu rozdwojony.

Zaczęła się dusić i ze łzami w oczach próbowała odepchnąć obcego. Zdołała kilka razy mocno uderzyć go w żebra. Bezskutecznie. Po chwili mężczyzna odetchnął głęboko, a wnętrzości Bolette zalała fala piekielnego gorąca. Czuła, że płonie od środka. Gdyby mogła krzyczeć, jej głos z pewnością dotarłby nad samo morze. Ból był nie do zniesienia, ale na szczęście nie trwał długo...

Mężczyzna odlepił usta od jej ust, a ciało martwej służącej ześlizgnęło się na próg. Obcy otarł wargi i uśmiechnął z rozbawieniem.

„Gorące miłosne pocałunki. Jak w czasach młodości - pomyślał. - Ciągłe potrafię uwieść każdą kobietę niezależnie od narodowości i wieku! No cóż, my Gorynycze mamy seksapil we krwi!”

Chwycił Bolette za włosy i brutalnie wciągnął ją do środka. Zamknął drzwi, po czym uważnie rozejrzał się po rozległym oświetlonym holu.

Wiadomość przekazana. Brak tylko podpisu. Hm...

Wzrok potwora zatrzymał się na drzwiach kuchennych.

- Okres zapoznawczy mamy już za sobą - z błyskiem w oczach zwrócił się do leżącego pod nogami trupa. - Teraz pokażę pani, w jaki sposób zdobywam niewieście serca - powiedział i radośnie ruszył przed siebie. - Tylko muszę skoczyć po odpowiednie naczynie. Proszę nigdzie nie odchodzić! - dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

*

Mały opuszczony cmentarz znajdował się na stromym i kamienistym wzniesieniu. Groby były stare, a sądząc po złym stanie nekropolii, od dawna nikogo tu nie pochowano. Dlaczego ten facet w zabitej gwoździami trumnie chciał zostać pochowany właśnie tu? Być może czuł się związany z tą ziemią i chciał w niej złożyć swoje szczątki albo po prostu rodzina nie miała pieniędzy, by zagwarantować mu lepszy pochówek. Smutne. Tak jak wszystkie pogrzeby.

Padła rzęsisty deszcz.

Stałem odziany w idealnie wyprasowany garnitur między zgromadzonymi na cmentarzu ludźmi i zastanawiałem się, co ja tutaj robię. Nikogo nie znałem. A może tylko nikogo nie potrafiłem rozpoznać. Twarze wszystkich kobiet były zasłonięte czarnymi welonami, a mężczyźni chowali swe oblicza w cieniu eleganckich kapeluszy albo parasoli. Podświadomie czułem, że większość z nich nie jest mi obca.

Ksiądz prowadził liturgię przy cichym akompaniamencie wystrojonego we fraki kwartetu, siedzącego na skrzypiących krzesłach tuż za naszymi plecami. Grali coś znajomego. Stawiałem na „Requiem” Mozarta.

Znów obróciłem się w kierunku trumny.

Kim jest ten człowiek? To pytanie dręczyło mnie bez przerwy. Jakiś artysta? Tego rodzaju muzyka grana na żywo nie jest standardem na dzisiejszych pogrzebach. Dlaczego więc ja tu jestem? Co nas łączyło?

Mozart ucichł, a ksiądz odczytał końcową modlitwę. Amen.

Za chwilę spuszcza trumnę...

Stojąca z boku staruszka zaintonowała kolejną pieśń żałobną. Jej głos wydał mi się znajomy.

Kto to jest? Już, już... już prawie wiedziałem. Ależ skąd! Pustka w głowie.

Do diabła, mam iść się zapytać?

To tylko sen. Cokolwiek zrobisz, nic ci się nie może stać. Nie stój jak głupiec! Nie pozwól znowu się poniżyć i wystraszyć. Nie masz już tego dosyć? Działaj, póki nie jest za późno!

Gdzieś w pobliżu czeka na ciebie wiadomość...

Podejść czy nie podejść? Nie urażę ich?

Nie, dość zabawy. Do dzieła!

Przecisnąłem się między ludźmi w pierwszym rzędzie żałobników, ostrożnie odpychając ich na boki. Podeszedłem do trumny. Zbiorowy śpiew zafalował, ale nie ucichł. Na plecach czułem palące spojrzenia.

Wszystko w porządku. Nie musisz jej otwierać. Użyj swoich zdolności.

Ostrożnie położyłem ręce na ciemnym, obmytym gęstymi strugami deszczu wieku trumny i zamknąłem oczy.

Ciemność. Naruszona równowaga. Fale. Znowu światło.

Siedzę na niskim zielonym wzgórzu i wystawiam twarz w kierunku słońca. Spokój, cisza. Jaka cudowna przemiana! Ręką wodzę po miękkiej koniczynie i szukam czterolistnej. To żaden problem. Wszystkie roślinki mają po cztery listki.

Grzmot. Niebo jest czyste, bezchmurne, ale grzmi, jakby zbliżał się koniec świata. I jeszcze raz. I znowu...

Ciągle...

Słyszę tętent kopyt. Pojawiają się cztery konie, każdy z innej strony. Ciężkie podkowy uderzają o ziemię. Cwają na szczyt wzgórza.

W moją stronę.

Drżę i nieruchomieję.

Na białym koniu siedzi Zdobywca. Na głowie ma koronę, w ręce łuk. Rumak w czerwonej uprząży jest zwiastunem wojny. Czerwonowłosa piękność wymachuje zakrwawionym nożem i bojowym okrzykiem zwraca na siebie uwagę. Chwiejnym krokiem nieubłaganie zbliża się chudy źrebak ze zwiastunem Głodu na grzbiecie. W rękach wysokiego mężczyzny brzęczą naoliwione wagi. jako ostatni w zupełnej ciszy przybywa chudy siwek, wioząc na grzbiecie dumnie wyprostowanego jeźdźca, który mieczem, głodem, zarazą i dzikimi bestiami może wykończyć ziemię. Śmierć.

Uciekam przed nimi. Kluczę w zaciskającym się kręgu.

Otoczają mnie konie. Stają dęba, boleśnie kopią kopytami.

Padam na kolana i przywalony ogromem ciosów umieram.

Ciemność.

Oderwałem ręce od mokrego drewna i odetchnąłem z ulgą.

Ciągle panuje ciemność.

Zakręciło mi się w głowie. Parę razy zakołysał się świat.

Chwila obezwładniającej nicości i braku sił. A potem silne poczucie, że wraca świadomość.

Leżałem przemarznięty i cały zdrętwiały. Gdzieś w oddali, a jednak niewiarygodnie blisko, wciąż dudniły kopyta rozgniatające ludzkie szczątki. Potrząsnąłem głową, by uwolnić się od natrętnego dźwięku. Nie pomogło.

Po chwili uświadomiłem sobie, że to nie kopyta. To odgłos deszczu. Deszczu padającego na wieko trumny. Z przerażeniem podniosłem ręce, by przetrzeć oczy. Łokciami uderzyłem w deski. Rozległo się głębokie dudnienie.

Krzyknąłem w rozpacz.

Ktoś z zewnątrz zaczął powoli manipulować trumną. Gdzieś w oddali wciąż rozbrzmiewał stłumiony śpiew.

Znów krzyknąłem. Rękami i nogami zacząłem walić w wieko.

- Wypuście mnie stąd !

Trumna przechyliła się, ale po chwili znów odzyskała równowagę.

- Uratujcie mnie! Mamo, tato! Babciu! To ja! To ja jestem w trumnie! To ja, Dawid!

Uświadomiłem sobie, że o tym wiedzą. Dlatego tu przyszli. Żeby się pożegnać. Ze mną...

DZIEŃ DZIESIĄTY

ŚRODA 20.09

Przez cały wtorkowy wieczór jeździliśmy tam i z powrotem, wypyując ludzi mieszkających w okolicy farmy Aziza. Ale chociaż do późnej nocy kręciliśmy się między farmami, nasze poszukiwania nie zdały się prawie na nic. Paru miejscowych zauważyło kilka ciężarówek opuszczających posiadłość w poniedziałek rano. Niestety większość nie pamiętała, w którym kierunku odjechały, a z tych kilku pozostałych każdy wskazywał inną stronę. Ci tępacy dbali tylko o własną dupę. Spokojnie mógłby przejechać im pod oknem pułk pancerny z czerwonymi gwiazdami na wieżyczkach, a i tak by się nie przejęli. No, chyba że któryś z czołgów zawadziłby gąsienicami o ich ziemię. Na tym punkcie Niemcy mają fioła. Gdy najechaliśmy przednimi kołami na trawnik przy jednym z domów, właściciel podniósł taki lament, że wkurzona Tamara musiała użyć dosyć wrednej magicznej sztuczki. Zostawiliśmy farmera biegającego na czworakach po własnym podwórku.

Po tym incydencie Tamara w końcu się poddała. Zdołaliśmy ją przekonać, że najwyższy czas poszukać motelu.

Tam, kompletnie wykończony, rzuciłem się na łóżko i od razu zasnąłem. Spałem jak zabity. Nie był mi straszny żaden senny koszmar. Jednak gdy Palko, z którym dzieliłem pokój, obudził mnie rano, odniosłem wrażenie, że zamknąłem oczy ledwie parę minut temu. Zaniepokojony głos młodego Bernátha powoli stawiał mnie na nogi, choć oczywiście nie rozumiałem, co mówił. Lecz kiedy jego roztrzęsiona ręka dotknęła mojej klatki piersiowej, od razu usiadłem na łóżku.

Ręka Palka nieźle mnie przstraszyła. Właściwie to przeraziła mnie cała jego postać.

Wyglądał... Wyglądał... inaczej. Wyglądał jak... jak... Nie dało się tego opisać. Mówiąc krótko: świecił. Całe jego ciało promieniowało światłem, jakby składało się z błyszczącej złotej plazmy. Blask drażnił oczy. Nie dało się na niego patrzeć! Podobne wrażenie odnosi człowiek próbujący wyostrzyć wzrok, by uchwycić brzeg palącego się płomienia, który ciągle mu umyka.

Co się dzieje? Zdrętwiałem i spojrzałem na uniesiony palec towarzysza.

Wskazywał moją pierś, na której... widniała wielka plama krwi. Nie tylko to mnie zdziwiło. Moje ciało również... hm... świeciło. Choć nie tak jasno i oślepiająco jak Palka.

Bezgłośnie coś wymamrotałem. Oblał mnie zimny pot.

- Co... co to jest? - wytrzeszczyłem oczy.

Zmieniło się całe pomieszczenie. Znajome kształty mebli, ścian, podłogi - wszystko zasłaniała intensywnie migocąca zasłona dymna. Zakręciło mi się w głowie i z powrotem opadłem na łóżko.

- Zawołaj Tamarę! - krzyknąłem w panice. - Zaczęło się!

„Śmierć. Jestem martwy... - wirowało mi w głowie. - Za wcześnie. Martwy...”

Zamknąłem oczy i bezskutecznie próbowałem opanować wstrząsające mną drgawki.

Po chwili poczułem na czole uspokajający dotyk. Ostrożnie uniosłem powieki i spojrzałem na cudownie świecąca twarz Tamary.

- Spokojnie. Już jest dobrze - powiedziała cicho.

Drgawki nagle ustały.

- Co się dzieje? Zły sen?

Pokręciłem głową.

- Widzę... Widzę... - Mój wystraszony wzrok pomógł jej zrozumieć.

- ...aury - dokończyła szeptem. Wstrzymała oddech i po chwili się uśmiechnęła. - Widzisz aury.

- Co to znaczy? - Przełknąłem ślinę.

- Znów dała o sobie znać twoja klątwa. - Matczynym gestem pogładziła mnie po czole. - Wszedłeś w kolejne stadium. Ale nie bój się. Ciągłe jest OK. Będzie dobrze. To nic ważnego. Znów pogłębiła się u ciebie wrażliwość dostrzegania astralnego świata. - Jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Zaczęłeś patrzeć na świat oczami Wtajemniczonych. Przyzwyczaisz się.

- Aury? - uniosłem brwi.

- Astralne projekcje materialnego ciała. Kiedy widzisz je wszystkie naraz, jest okropnie. Ale można to delikatnie stłumić. Leż przez chwilę i skoncentruj się. Kontrolowanie tego nie jest trudne.

Odetchnąłem głęboko. Wbiłem wzrok w sufit i skupiłem się na powrocie do rzeczywistości. I faktycznie, po chwili udało mi się przełączyć na starą, dobrą długość fal.

A więc ciągle żyłem. Dzięki Bogu!

Tamara odpięła mi guzik przy szyi i pomacała zakrwawioną koszulę.

Czerwona ciecz już dawno była zaschnięta i kruszyła się w palcach.

- Miałeś podczas snu atak psychometryczny? - zapytała wzdychając.

Kiwnąłem głową.

Spojrzała na leżący na nocnym stoliku medalion ze swastyką i pokręciła głową.

- Lepiej zawsze noś to na szyi. - Znów pogładziła mnie po czole i uśmiechając się pocieszająco, wyszła z pokoju.

*

Po krótkiej porannej naradzie przyjęliśmy nową strategię poszukiwań. Koniec końców nic się nie zmieniło - znów jeździliśmy po całej Badenii-Wirtembergii, ale tym razem już nie w tę i z powrotem, tylko według planu. Na czym polegał, zrozumiałem dopiero po kolejnym wykładzie, którym podczas długiej jazdy zabawiała mnie Tamara. Tym razem był niespójny i ciągle przerywany postojami i wypytywaniem miejscowych.

Nasza nowa strategia wychodziła z logicznego założenia, że obojętnie, co Aziz szykuje na Mabon, nie wykona tego byle gdzie. Na świecie istnieją magiczne miejsca, które bardziej niż inne nadają się do komunikacji ze strefą astralną i do praktykowania czarów. Większość nich jest dobrze znana Wtajemniczonym. Pierwszą mapę z lokalizacją takich miejsc widziałem tydzień temu rozłożoną na masce saaba, zanim weszliśmy na Balwankew. Dzisiaj na kolanach Tamary spoczywała cała masa podobnych. Tym razem zamiast okręgu koszyckiego przedstawiały południowe Niemcy. Jeszcze wczoraj wieczorem Broniek przefaksował je w ponumerowanych fragmentach. Podczas śniadania dobrą godzinę Tamara męczyła się z ponownym ich sklejeniem i teraz jeździliśmy od jednego do drugiego. My skierowaliśmy się na północny wschód daleko za Senden i Ulm. Pierwszym celem podróży miała być święta góra Ipf koło Bopfingen. Jakimi trasami pojechały pozostałe nasze samochody, nie miałem pojęcia.

Według Tamary, te magiczne miejsca to skrzyżowania żył wodnych. Najbardziej rozpowszechniona jest chińska nazwa „smocze linie”, ale każdy różdżkarz ma swój własny ulubiony termin. Te węzły nie są ukryte. Wtajemniczeni albo inni wrażliwi ludzie potrafią je łatwo wyczuć. Tak samo nie mają z tym problemu zwierzęta. Na przykład ptaki kierują się nimi w trakcie wędrówek.

Na terenie Europy już celtyccy druidzi rozpoczęli mapowanie magicznych miejsc i objęli nad nimi rządy. Oznaczali je menhirami albo odgradzali kamieniami święte części lasu - gaje. Surowo ich strzegli, a miejscowi gorliwie przestrzegali zakazu wstępu. Potwierdził to nawet Cezar, wspominając, że przyparciu do muru przez jego wojska celtyccy wojownicy nie odważyli się przekroczyć ich granic.

Chociaż z czasem kultura Celtów zanikła, magiczne miejsca przetrwały tam, gdzie znajdowały się od stuleci. Niektóre z nich opustoszały i teraz przypominają o nich tylko lokalne nazwy. Na innych - niczym sztandar zwycięzcy zatknięty na pobojowisku - stanęły kościoły.

Jedno się tylko nie zmieniło - demony wciąż traktują smocze linie jako źródło magicznej siły, ziemską ojczyznę, miejsce odpoczynku lub snu. Już dziecięce bajki mówią o groźnych stworach ziemi mieszkających w zaklętych lasach, jaskiniach, przepaściach, kopalniach, wnętrzach gór. Demony wody natomiast przebywają w źródłach, studniach, jeziorach, moczarach. I właśnie dlatego, że magiczne miejsca były dostępne dla wszystkich, musiały znajdować się pod ciągłą obserwacją swoich strażników. Pilnowali, by nikt ani nic nie naruszyło Równowagi. Złych i niebezpiecznych żywiołaków trzymali odseparowanych na specjalnie chronionych terytoriach. Dobrym i niosącym pomoc stawiano świątynie i korzystano z ich usług podczas prac polowych, polowań, wypasania bydła. Czasem proszono je o wstawiennictwo podczas walk z oddziałami rzymskimi, innym agresorem lub okupantem, obojętnie, czy pochodził z tego, czy z innego świata. Nie ma jednak nic za darmo i za pomoc trzeba było odpłacić się szczerą ofiarą. Niekiedy ludzkim życiem. Czego jednak nie zrobią ludzie postawieni pod ścianą, byleby udało im się przeżyć? Jak napisał sam Cezar - to były dzikie i niecywilizowane czasy. O dziwo, nawet on tak twierdził...

Kiwałem głową, słuchając, a wysłużony mercedes Palka pędził po idealnie utrzymanych niemieckich drogach w kierunku góry Ipf. Na mapie Badenii-Wirtembergii roilo się od przeróżnych znaczków (włączając plamy z keczupu), ale to pradawne wzgórze wydawało się Tamarze najlepszym miejscem dla apokaliptycznego cyrku Aziza.

*

Joachim Zott był leśnikiem. Właśnie dopadła go nieodparta ochota na polowanie. W spoconych dłoniach ścisnął strzelbę po dziadku i szeroko otwartymi oczami spoglądał na rozdeptaną glinę tuż przed sobą. Jeszcze rano zamierzał tylko wykonać codzienny obchód okolicy, ale gdy natrafił na ślady, wszystko się zmieniło.

Po raz pierwszy widział coś takiego na swoim terenie. Najwyraźniej było tu całe stado. Przybyło z południa i sądząc po jeszcze ciepłych bobkach, przeszło tędy niedawno. Zott stawał na kozice albo coś równie niespotykanego. Najbliższym naturalnym miejscem występowania kozic są Alpy, ale czasem, choć rzadko, zdarza się, że jakieś osobniki zawędrują niżej. Osiem lat temu przebiegał tędy łoś z północnej Polski. A to jest, *Himmelherrgott*, bardzo daleko stąd! Gdyby Joachim zdołał podejść choć jednego osobnika... Ech, co tu gadać - to byłby wspaniały łów! O takim trofeum nie śmiał marzyć nikt ze związku łowieckiego!

Zott żałował, że nie zabrał ze sobą psa. Ale bez niego również miał szansę dogonić stado. Zwierzyna poruszała się wolno i ostrożnie. Poza tym minie dużo czasu, zanim zdecyduje się przejść przez asfaltową drogę, która parę kilometrów wyżej w kierunku północnym otaczała górę Ipf i dzieliła las na dwie części.

W momencie, gdy przeszedł szosę i po przeciwnej stronie szukał śladów stada, tuż za jego plecami zatrzymał się podniszczony mercedes. Tylne drzwi otworzyła młoda ciemnowłosa kobieta. Bezbłędnie mówiła po niemiecku, ale nie miał wątpliwości, że jest cudzoziemką.

Chciała się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich dni Joachim nie zauważył w okolicy Ipf czegoś dziwnego. Czy nie widział wałęsających się w pobliżu ludzi, przejeżdżających tirów, rozładunku towaru, przygotowań...

„A jakże!” - pomyślał leśnik. Ostatnio nie mógł narzekać na brak towarzystwa. Grzybiarzy wyrosło więcej niż grzybów po deszczu, tak samo przybyło kłusowników. Tydzień temu przechodził tędy oddział skautów, a tuż po nim pijani wczasowicze z Kolina. Wścibscy turyści, dokładnie tacy jak ta kobieta. Tylko płoszą zwierzynę i robią zamieszanie!

- Nein! - powiedział zdecydowanym tonem. Nie widział nikogo szczególnego. Nikogo nie widział więcej niż raz. Nein, nein, nein... Żadnych tirów. Cóż by robiły w środku lasu?

Kobieta z rozczarowaniem spojrzała w kierunku wzgórza ponad ich głowami. Podziękowała i wsiadła z powrotem do samochodu. Mercedes odjechał.

Joachim wrócił do tropienia zwierzyny. Nie zwracał sobie głowy cudzoziemką ani jej sprawami. Błyskawicznie o niej zapomniał.

*

- W ostatniej *village* też nikt nie zauważył nic podejrzanego. Nikt - wymamrotał Palko znad kierownicy. - Zapomnij o Ipf, Tammy. Co jest następne?

- Ruiny obozu po spustoszonej rzymskim garnizonie. Mniej więcej dwadzieścia kilometrów na południowcy wschód.

Palko kiwnął głową.

Jak się okazało, rzymskie ruiny leżały pośrodku oddalonego od głównej drogi bukowego lasu. Znowu dla pewności pojechali do najbliższej wsi spytać miejscowych.

Tym razem Tamara wróciła do auta z błyskiem w oczach.

- Jest nadzieja. Nie było żadnych ciężarówek ani cudzoziemców, ale w zeszłym tygodniu wydarzyło się tu coś interesującego. Dwóch tutejszych robotników leśnych po pracy nie

wróciło do domu. Policja szukała ich przez trzy dni. Znalazła tylko jednego. Był zupełnie wycieńczony, a do tego postradał zmysły. Bez przerwy paplał coś o błędnych ognikach i do tej pory lekarzom z psychiatryka nie udało się wyciągnąć z niego nic konkretnego.

- Wow! - Palko uniósł brwi. - Czyżby dopisało nam szczęście? I to już za drugim razem?

- Najwyraźniej komuś przeszkadzały prace leśne na przecięciu smoczycy linii. Pojedziemy to sprawdzić! - Tamara już zacierała ręce.

*

W lesie panował półmrok. Do tego ogromne ciemne chmury coraz częściej zasłaniały słońce. W powietrzu wisiała burza, choć było jeszcze wcześniej. Pogoda nie sprzyjała spacerom, ale i tak wolałem to od siedzenia w samochodzie.

Tym razem Tamara i Palko wzięli ze sobą pistolety i wszyscy zdecydowaliśmy, że jeśli na coś lub na kogoś natrafimy, nie podejmujemy żadnych działań, dopóki nie przybędą posiłki. Udało mi się wyprosić długi bagnet. Tak dla pewności.

Szliśmy wolno i przezornie rozglądaliśmy się dokoła. Palko wypuścił również Pytę i pozwolił jej iść parę kroków przed nami. Kotka bezbłędnie prowadziła nas w kierunku magicznego miejsca.

W gąszczu trudno było wciąż trzymać się razem. W pewnym momencie gęste zarośla na dobrą chwilę oddzieliły mnie od Tamary i Palka. Gdybym nie usłyszał odgłosu łamania gałęzi pod ich nogami, pewnie bym zabłądził.

Po lewej widziałem zarośnięte resztki muru jednej ze zburzonych rzymskich budowli. Dzielila mnie od nich głęboka czarna dziura. Przez chwilę rozmyślałem, czy nie skuszę się, by podejść bliżej ruin. Jednak gdy spojrzałem w dół i z ciemności wynurzyło się moje odbicie, od razu ominąłem to miejsce szerokim łukiem.

W końcu wszyscy znaleźliśmy się na polanie. Ogarnęło mnie takie same uczucie doniosłości i szacunku jak na szczycie Balwankewu, a później we wnętrzu Nissebjergu. Od razu poznałem, że dotarliśmy na miejsce. Tu znajdowało się poszukiwane skrzyżowanie smoczycy linii.

Spróbowałem przerwycie się na astralne widzenie, co wychodziło mi już rzeczywiście łatwo i bez żadnych skutków ubocznych, jak w przypadku psychometrii. W niemym zachwycie otworzyłem usta. Dzięki medalionowi na szyi otoczenie nie zmieniło się tak wyraźnie jak rankiem w motelu, ale wszystko dookoła rozkwitło zupełnie innymi, pełnymi

blasku kolorami. Rozumiem, dlaczego koty z taką radością oglądają każdą nową rzecz, która stanie im na drodze. One w ten sposób postrzegają otaczający je świat przez całe życie.

Po chwili uświadomiłem sobie jednak, że moja aura świeci najslabiej. Przypomniałem sobie słowa inżyniera Waisa - jednookiego Żyda z koszyckiego Stowarzyszenia.

"Błada, mętna, poszarzała" - chyba jakoś tak ją określił. Zacisnąłem zęby. Gdzie jesteś Azizie? Musimy cię znaleźć, choćbyśmy mieli wyciągnąć cię spod ziemi!

*

Na polanie nie było żadnych śladów przygotowań do rytuału. Z drugiej strony do piątku wciąż zostało dużo czasu. W lesie, z wyjątkiem stukania dziecięcia, panowała zupełna cisza. W otaczającej nas głuszy komórka Tamary zabrzmiała niczym syrena alarmowa.

- Tak? - zapytała dziewczyna i zaraz przeszła na duński.

Obserwowałem ją w napięciu. Ostatnio podobne rozmowy potrafiły ją porządnie zdenerwować. Nagle zmarszczyła czoło. Po chwili zdrętwiała. Nie spodobał mi się wyraz jej twarzy.

- Drań! - wycedziła przez zęby Tamara i wsadziła telefon komórkowy do kieszeni spodni.

- Zastrany czarnoksiężnik! Znowu się na nas wypiął ten skurwiel!

- *Shit!* - podsumował Palko, bo zrozumiał, o czym mówiła. Ja mogłem tylko zapytać: „Hm?”.

- Cioteczka właśnie przekazała mi kolejną dobrą wiadomość - wyjaśniła dziewczyna. - Podobno znalazła grób celtyckiego wojownika, przy którym straszą po nocach dziwne istoty. Nagle do rozmowy wmieszał się stryj, przynosząc podobne entuzjastyczne wieści, że dla odmiany jego ekipa trafiła na jezioro z rozrabiającym wodnikiem. Już znalazło się paru topielców. Wspaniale! A nawet nie ma dziesiątej rano! Wygląda na to, że w Badenii-Wirtembergii posypały się z nieba demony! I co wy na to? - zazgrzytała zębami.

- A co to oznacza? - spytałem.

- Że Aziz już od jakiegoś czasu budzi okoliczne żywiołaki i w ten sposób maskuje swoje prawdziwe zamiary.

*

Znowu rozpoczął się cyrk z jeżdżeniem z miejsca na miejsce i zatrutowaniem życia miejscowym. Tym razem Tamara pokazywała im zdjęcia Aziza i jego współników oraz

numery rejestracyjne samochodów. Pytała o uchodźców, nawet o moje sześciokątne prefabrykaty. Ale nikt nie umiał nam nic wyjaśnić.

Dwie godziny później dziewczyna nie potrafiła już utrzymać nerwów na wodzy, dlatego parę razy musiał zastąpić ją Palko. Niestety w południowych Niemczech na niewiele zdaje się znajomość angielskiego i duńskiego. Słowackiego nawet nie próbowaliśmy.

Po południu Tamara zaczęła przesłuchiwać niektóre osoby, posługując się magią i groźbami. Po każdym postoju musieliśmy ją uspokajać. Ale zapominając o dobrym wychowaniu, znacznie zwiększyliśmy tempo podróży - wypytywanie trwało krócej. Ciągłe jednak nie trafiliśmy na ślad Aziza.

Rzucona na mnie klątwa była jak bomba zegarowa, a czas mijał. Powiniennem pewnie angażować się w poszukiwania dwa razy bardziej niż wszyscy Bernáthowie razem wzięci. A jednak ogarnęła mnie dobijająca nuda. Parę razy przyszło mi na myśl, że poczytałbym jakąś książkę, ale wolałem nic nie mówić. Tamara zabiłaby mnie szybciej niż klątwa.

W końcu wielkie burzowe chmury przeszły nad Badenią-Wirtembergią, nie przynosząc deszczu. O trzeciej po południu zatrzymaliśmy się na obiad w Ulm, w tym samym hotelu, w którym wynajął pokój Bronek. Niestety go nie było. Recepcjonistka - należąca do tutejszych Wtajemniczonych - oznajmiła, że aktualnie jest w terenie razem z Petronelą.

Tamara sięgnęła po telefon i wybrała numer.

- Gdzie jesteś?

- Na farmie Aziza - dobiegł mnie zniekształcony głos chłopaka. Dziewczyna obróciła trochę aparat, żebym również mógł słyszeć rozmowę. - Mierzę ślady po oponach.

- Melduj się u mnie co dwie godziny! Dobrze?

- Jasne. Nie chciałem cię niepotrzebnie martwić. Na razie jeszcze nic nie mam. A tak na marginesie, był już ktoś z was w Hochdorfie?

- Nie wiem. Gdzie to jest?

- Na północnym zachodzie. Mniej więcej trzy czwarte drogi z Ulm do Stuttgartu. Podobno panuje tam niezłe zamieszanie wokół jakiejś kapliczki, w której rzekomo zdarzył się cud. Wygląda na objawienie. Trąbią o tym w telewizji i w radiu. Ludzie szaleją. Normalnie psychoza tłumu.

- Ciekawe - głos Tamary zdrzął z podniecenia. - To poza naszą trasą, ale nie bój się, na pewno tam zerkniemy.

*

Po obiedzie Palko wyprosił półgodzinną przerwę. Pretekstem był przegrzany silnik, ale tak naprawdę miał już po dziurki w nosie robienia za kierowcę i chciał się zdrzemnąć przynajmniej chwilę.

Opadł na tylne siedzenie, a Tamara i ja zrobiliśmy sobie przechadzkę po starym mieście. Zachwyciła mnie gotycka wieża wznosząca się od frontu miejskiej katedry - podobno najwyższa na świecie. Obejrzałem ją tylko z zewnątrz, nie mieliśmy czasu na wspinanie się po siedmuset sześćdziesięciu ośmiu schodach. Z kolei Tamara zachwyciła się garsonką Gucciego na sklepowej wystawie, ale według mnie, z wyjątkiem ceny nie była bardziej oryginalna niż pozostałe. Tuż przed powrotem na parking przezornie wyciągnąłem dziewczynę do chińskiego bistra nieopodal. Wyżebrałem od niej pieniądze na dwa jakże amerykańskie hamburgery, które kazałem zapakować do plastikowego pudełka. Nie wiadomo, kiedy przyjdzie czas na kolację.

Kilka minut potem pędziliśmy w kierunku Hochdorfu. Broniek miał rację. To co zastaliśmy pod kaplicą stojącą na szczycie okrągłego wzgórza, przypominało sylwestrowy festyn. Stragany, stoiska, kramy, wszędzie pełno ludzi w religijnej ekstazie. Tłoczyli się ciała przy ciele - młodzi, starzy, chorzy, zdrowi, rodziny, dzieci, wycieczki, pielgrzymki. Rozbili namioty, pili, jedli, palili papierosy, tańczyli, śpiewali. Z oddali dochodziło nawet znajome *Hare Kriszna, hare, hare*. Niewiarygodne zamieszanie i chaos - lepiej niż w Lourdes.

Tamara wcisnęła mi w ręce aparat fotograficzny i od razu domyśliłem się, co nastąpi. Wmieszaliśmy się w tłum, machając nad głowami dziennikarską akredytacją. Palko został w samochodzie i wyruszył na poszukiwanie świętego Graala - czyli wolnego miejsca, gdzie mógłby zaparkować.

Legitymacja może zdziałać cuda, ale w niektórych przypadkach nawet ona nie pomoże. Po chwili zorientowaliśmy się, że kapliczka została otoczona przez ochronę. Łysym mięśniakom wyposażonym w gumowe pałki, ciemne okulary i kamizelki kuloodporne było obojętne, czy jesteśmy z mediów czy nie. I tak nigdzie nas nie chcieli wpuścić, a na każde pytanie odpowiadali: *No comments*.

Reszta oszalałych biwakowiczów na szczęście była rozmowniejsza. Włączenie dyktafonu i błysk flesza odniosły większy skutek niż magiczne sztuczki Tamary. Choć jak zwykle każdy wiedział lub widział co innego, w końcu ustaliliśmy wspólną wersję wydarzeń.

Przedwczoraj wieczorem w okolicy kapliczki bawiło się czworo (albo pięcioro) niemieckich dzieciaków. Tuż po zmroku objawił im się Archanioł Gabriel (według innych wersji sam Jezus, Metatron, ewentualnie Budda - w każdym razie ktoś się objawił). Interesujące było to, że o dziwo, wyglądem przypominał Aziza - więcej niż piętnaście razy

wspominano o „trzecim oku” wyglądającym jak dziura w czole. Przybysz z nieba uderzył łaską o fundamenty kaplicy i ku przerażeniu dzieci z kamienia zaczęła sączyć się woda (albo łyż, krew, olej lub ropa - nigdzie w okolicy nie zauważyłem jednak cystern niemieckich spółek naftowych, więc ostatnia możliwość wydała mi się bardzo nieprawdopodobna). Potem długo przemawiał i zwiastował o wiele większy cud w piątek. Ludzie spodziewali się wszystkiego - od zapanowania pokoju na świecie, przez załatanie dziury ozonowej, silniejszą pozycję euro niż dolara, obniżenie cen piwa, aż po zwycięstwo Niemiec podczas mistrzostw świata w piłce nożnej.

Najlepiej byłoby wysłuchać któregoś z tych czterech (pięciu?) łobuzów, którzy zobaczyli cud. Ale nikt nie wiedział, gdzie podzieli się chłopcy. Nasze pytanie rozpętało dyskusję o różnych konspiracjach, wniebowstąpieniu lub wręcz przeciwnie - uprowadzeniu przez Kościół, ukryciu w klasztorze, wywiezieniu samolotem do Watykanu... Kamienne twarze ochroniarzy na szczycie wzgórza najwidoczniej drażniły nie tylko nas.

W momencie gdy zakończyliśmy trzecią rundę dziennikarskiego dochodzenia, do Hochdorfu przyjechało volvo z Holendrami, którzy mieli to miejsce na swojej trasie. Tamara długo dyskutowała z nimi o całym wydarzeniu i na koniec ustalili, że oni zostaną na miejscu, a my wyruszymy w dalszą drogę.

- Wygląda to obiecująco - powiedziała dziewczyna, gdy szliśmy do samochodu. - Ale boję się zwoływać tu wszystkich i zaprzestać poszukiwań. To może być tylko przynęta, następna zmyłka Aziza. Wiadomo, że to wszystko jego sprawa. Ale nie rozumiem przyczyny. Na jego miejscu do wywołania pradawnych demonów wybrałabym miejsce, gdzie nikogo by nie było. Chociaż z drugiej strony... - zamyśliła się - czasem łatwiej zniknąć w tłumie.

Wzruszyłem ramionami. W takich sprawach nie miałem żadnego doświadczenia. W banku nigdy nie wywoływaliśmy duchów.

*

Znów wyruszyliśmy w drogę. Nie minęło pół godziny, a już czułem, że gapienie się na żółto-brązowe pola za oknem doprowadzi mnie do szału. Przestałem myśleć o celu wyprawy, zająłem się wyłącznie sobą. Wyciągnąłem hamburgera.

- Skąd to masz? - zapytał z lekkim rozdrażnieniem Palko.

- Z chińskiego bistra w Ulm - powiedziałem z pełnymi ustami. - Bez obawy, będę uważał, żeby nie zabrudzić pokrowców - zapewniłem go.

Odniosłem jednak wrażenie, że złość w jego głosie nie była spowodowana strachem o stare siedzenia, ale raczej tym, że podczas gdy ja mogę odpoczywać i objadać się zarciem, on musi znosić nieustanne dyrygowanie Tamary.

- *China food?* - zaczął się prowokacyjnie śmiać.

- No i co? - mruknąłem.

- Ależ nic. *Just...* Wiesz, co mówi się u nas w Danii? Krąży taka interesująca... *speculation...*

- Historia - pomogła mu Tamara.

- Historia - pokiwał głową Palko. - *Maybe*, historia dotycząca pewnej niewytłumaczonej zagadki.

- No?

- *Well*. W całej zachodniej Europie w każdym mieście znajdziesz mnóstwo chińskich emigrantów. Jest tak? Ale gdy odwiedzisz jakikolwiek europejski cmentarz, nie znajdziesz ani jednego grobu z chińskim nazwiskiem!

- To prawda - zgodziła się dziewczyna.

- Czy to nie dziwne? - kontynuował Palko. - Przecież oni też umierają! Gdzie wszyscy znikają?

- Hm... - zamyśliłem się z pełnymi ustami.

- Wiesz, co sobie w duchu myślimy? Na poważnie?

- Co?

- Że kończą w hamburgerach...

Zamarłem. Palko, obserwując w lusterku moją minę, wybuchnął śmiechem.

- Ha, ha, ha - przedrzeźniałem go. - Ale zabawne.

„Zaczyna nas dopadać choroba kesonowa” - pomyślałem i ignorując złośliwy żart, dalej jadłem hamburgera. Ale zaczął mi smakować jakoś dziwnie.

*

A w tym samym czasie...

Joachim Zott przeżywał ekstazę. Świeżuteńkie ślady tuż przed nim nie mogły liczyć sobie więcej niż parę minut. Z ciepłych odchodów jeszcze parowało. Najbardziej ucieszył go fakt, że trzykrotnie zwiększyła się ich liczba! Do stada dołączyły kolejne sztuki. I to o wiele większe. Coś mu jednak nie pasowało w krzyżującym się splocie tropów, ale parł naprzód.

Zwierzyna parę razy zrobiła postój. W kilku miejscach zrobiła niezły rozgardiasz w leśnej ściółce. Zapewne był skutkiem walki o przywództwo w nowo powstałym stadzie. Potem kierunek śladów troszkę się zmienił, ale zwierzęta wciąż zmierzały w stronę południowo-wschodniego wzniesienia góry Ipf.

Nagle myśliwy usłyszał głośny szelest liści. W trzęsących się nieopodal krzakach mignął niewielki cień.

To musiało być pozostające w tyle młode! Z podniecenia zaczęło mu mocniej bić serce.

Ostrożnie zrobił parę kroków. Wyostrzył zmysły. Kolejne dźwięki! Bieganina. Krótkie kwiczenie. Pewnie młode dołączyło do stada! Znajdowało się tuż przed nim! Tak, wyraźnie słyszał beczenie i... i... Ludzkie głosy? *Verdammt!*

Joachim zatrzymał się. Zmarszczył czoło.

Co prawda nie rozpoznawał języka, ale... Jeżeli w pobliżu łąką jacyś turyści i, nie daj Boże, spłoszą mu zwierzynę, to ich powystrzela bez litości!

Za każdym krokiem gęszcz stawał się rzadszy. Zott podchodził powoli do małej leśnej polanki. Jeszcze tylko parę metrów. Bezgłośnie odgarnął liście. Klęknął, przyłożył oko do celownika gotowy w każdej chwili pociągnąć za spust. Obejrzał rozpościerającą się przed nim okolicę.

W końcu zobaczył swą zdobycz.

Zdrętwiał ze strachu. Zadrżały mu ręce, a krzyż na celowniku zmienił się w rozmazaną plamę.

- *Was zum Teufel?* - szepnął.

Niespełna kilkadziesiąt metrów przed nim stała na polanie ponad pięćdziesiątka małych stworzeń, które co prawda miały rogi, kopyta i ogony, ale oprócz tego coś jeszcze - ludzkie twarze i ręce.

Zott opuścił strzelbę.

Z otwartymi ustami obserwował stojące na tylnych nogach potworki, które przyglądały mu się złymi, krwistoczerwonymi ślepiami. Wtedy uświadomił sobie, co go zaniepokoiło w tropach, za którymi podążał. W ziemi zawsze była odcisnięta tylna para racic. Gdyby śladów nie było tak wiele, wpadłby na to od razu - jego zwierzyna nie poruszała się na czworakach.

Zapanowała cisza. Zakończony ostrymi pazurami włochate ręce przez chwilę zaciskały się w napięciu.

Joachim uznał, że najlepiej, jeśli powoli się wycofa i po prostu zniknie. Spróbował zrobić krok w tył, ale stwierdził, że nogi zdrętwiały mu z przerażenia.

Nagle stado zawarzało dziesiątkami gardeł i ruszyło w jego stronę. Po chwili nabrało niewiarygodnego tempa i jak wichur gnało przez krzaki. Mnóstwo ciał przygniotło myśliwego plecami do ziemi i wyrwało mu z rąk strzelbę. Nim zdążył krzyknąć, jedno z kopyt mocno uderzyło go w czoło i pozbawiło świadomości. Dzięki temu przynajmniej nie czuł, jak rozszalali satyrowie skacząc po jego ciele, łamiąc żebra i kości. Nie słyszał złośliwych nieartykułowanych dźwięków, które przy tym wydawały. Nie minęły dwie minuty, a Joachim Zott zmienił się w krwawą sieczkę.

*

Podczas kolejnego postoju podzieliłem się z Palkiem drugim hamburgerem i zgodnie popiliśmy go dwiema puszkami zimnego carlsberga. Pozwoliliśmy, by Tamara samotnie biegała po wsi, zamęczała przypadkowych przechodniów i wyzywała ich, ile dusza zapagnie. Cieszyliśmy się, że nie musimy w tym uczestniczyć. A co najważniejsze, dotarła do nas pierwsza dobra wiadomość od wielu dni.

Na komórkę Palka zadzwoniła Daniela. Oznajmiła mu, że bmw stryja dotarło do Hochdorfu i nieoceniony Imrich Bernáth znalazł świadków, którzy widzieli, jak wczoraj po południu Aziz i jego bracia (rozpoznani na zdjęciach!) otworzyli zapieczętowaną bramę strzegącą ruin celtyckiego miasteczka - oppidum Heidengraben. Zostawili tam kilku robotników, aby rozebrali ogrodzenie i wycinając wszystkie krzaki i drzewa, oczyścili drogę dojazdową.

Odetchnęliśmy z ulgą. Koniec błakania się po Badenii-Wirtembergii! Najwyższy czas, bo przez ostatnie kilka godzin Tamara stała się naprawdę nieprzewidywalna, Palko też miał już wszystkiego dosyć. Teraz plan był prosty - pojechać do Heidengraben i tam oczekiwać, co się dalej wydarzy. Jeśli te ruiny rzeczywiście były miejscem, którego szukaliśmy, i naprawdę pojawił się tam sam Aziz, mogliśmy przypuszczać, że do piątku znów tam przybędzie. Albo przynajmniej ktoś z jego ludzi, kto doprowadzi nas do swego przywódcy.

Wszystko do siebie pasowało. Celtyckie oppidum znajdowało się w węzle smoczycich linii i poza archeologami nikt się nim nie interesował. A od kapliczki w Hochdorfie dzieliło je tylko trzydzieści kilometrów. Stryj zgodził się z Tamarą, że Aziz próbuje odwrócić uwagę od najważniejszych wydarzeń. Jednak cioteczka Jytte nie była całkowicie przekonana i zadecydowała, że połowa wyprawy dla pewności pokręci się jeszcze między fanatykami religijnymi. Sama dołączyła do holenderskich kolegów. I tak wypchany sześcioma osobami eurovan zwracałby zbytnią uwagę w pobliżu opuszczonego celtyckiego zabytku.

*

Gdy w końcu dotarliśmy do wyważonej bramy oppidium, czułem każdym nerwem, że przybyliśmy pod odpowiedni adres. Przede mną roztaczał się dobrze znany krajobraz - niskie wzgórza pokryte koniczyną. Identyczne widziałem w ostatnim śnie.

Kiedy podzieliłem się swymi spostrzeżeniami z Tamarą, omal mnie nie wycalowała ze szczęścia. Od razu ogarnęło mnie przekonanie, że tylko krok dzieli nas od złapania Aziza.

Groziłem mu w myślach, obiecując najgorsze rzeczy, jeśli nie zdoła mnie wydostać z gówna, w które wdepnąłem. Miałem wiele malowniczych pomysłów dotyczących powolnej i bolesnej śmierci. Sam nie wiedziałem, skąd we mnie tyle agresji. Czyżby zawiniły te dwa piwa?

Heidengraben stał na niewielkim pagórku między dwoma farmami. Ze wszystkich stron otaczały go miedze gęsto porośnięte drzewami. Prowadziły do niego tylko polne dróżki, a ta wiodąca do wejścia była kompletnie nieprzejezdna. Najwyraźniej od wielu lat nikt o to nie dbał.

Bmw ze stryjem, Jakobem i Danielą ukryło się za miedzą na północ od wykopalisk. My zatrzymaliśmy mercedesa w wysokich krzakach u południowego stoku, skąd mieliśmy widok na drogę dojazdową.

Palko zgłosił się na ochotnika do nocnej warty w rowie tuż przy wejściu na Heidengraben. Wyraźnie uradowało go, że będzie mógł rozprostować swoje niewiarygodnie potężne gnaty. Przeciągnął się i zajrzał do skrytki w bagażniku z takim uśmiechem na ustach, jaki mają dzieci podczas rozpakowywania świątecznych prezentów. Wyciągnął idealnie wypolerowaną skrzynię z naoliwionym zamkiem ukrywającą jedenastoipółkilową kolubrynę z niebezpiecznie długą lufą. Wtedy zrozumiałem, że może cieszy się również na coś innego.

- No co, będę sam! - warknął, widząc zgorzony wzrok Tamary. - Nie zamierzam leżeć w samym środku terytorium nieprzyjaciela z zasranym kałasznikowem!

- Polujemy na czarnoksiężnika. To nie jest druga wojna światowa - powiedziała oschle dziewczyna i wróciła do samochodu.

- Co to, na Boga, jest? - wytrzeszczyłem oczy. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem, chociaż byłem w wojsku.

- *Maschinengewehr* czterdzieści dwa. *My precious* - uśmiechnął się niczym Gollum. - Zapamiętaj Dawidzie, że nic nie przewyższy klasycznej niemieckiej technologii! Co prawda MG-42 ma już swoje lata, ale i tak nie stracił na wartości. Stuknęła mu już sześćdziesiątka, a

nadal jest produkowany. Po prostu jest *legend*. Gdy usłyszysz odgłos jakby rozdieranego materiału, który niegdyś był zmorą aliantów, zrozumiesz, że nie ma na świecie piękniejszej muzyki!

Palko nieźle się rozochocił. Od razu zaczął mówić lepiej po słowacku. Wołałem jednak, żebym nie usłyszał, jak "gra" jego karabin. Dziękuję bardzo za taką muzykę.

Tymczasem nasz komandos mrugnął do mnie, uśmiechnął się morderczo, przez jedno ramię przewiesił swoją zabawkę, a przez drugie taśmę z nabojami. Razem z Pytią poszedł na swój posterunek.

Uznałem, że na pewno kocha filmy ze Schwarzeneggerem. Można się było tego domyślić nawet po sposobie chodzenia.

- Nie zapomnij wyłączyć głosu w telefonie! - krzyknęła przez otwarte okno samochodu Tamara.

A ja rozwalilem się w poprzek na tylnym siedzeniu i obserwowałem zachód słońca. Najwyższy czas sięgnąć po medalion...

*

Wrześniowa noc spędzona w aucie to nic przyjemnego. Nie było jeszcze wpół do dziesiątej, a już przemarzłem do szpiku kości.

Włożyłem na siebie wszystko, co tylko miałem w torbie. Naciągnąłem na siebie nawet zaplamioną krwią koszulę, a i tak od czasu do czasu musiałem wyjść z samochodu, by trochę się rozgrzać. Gdy próbowałem przebić wzrokiem otaczającą nas ciemność, przez chwilę wydawało mi się, że w pobliżu ukrytego bmw widzę końcówkę palącego się cygara stryja albo blask oczu Pytii w miejscu, gdzie pod krzakiem ukrywał się Palko. Ale mogły to być tylko przywidzenia.

W końcu Tamara zaczęła mnie przekonywać, abym spróbował zasnąć. Wiedziałem, że nie miałbym z tym najmniejszych problemów - ze zmęczenia opadały mi powieki. Jednak wzniesienie z celtyckimi ruinami zdawało się ostrzegać: „Ty jeszcze nie wiesz, co to znaczy prawdziwy koszmar”. Chciałem zasnąć, ale nie chciałem obudzić się o piątej rano jeszcze bardziej wyczerpany. W końcu jednak głowa sama opadła mi bezwiednie...

*

A w tym samym czasie...

Ceny hoteli w całej Kopenhadze były horrendalne, ale Gorynycza ani trochę to nie zmartwiło, gdy przed opuszczeniem „Excelsioru” dawał niebieskookiej blondynce w recepcji czek na niezłą sumę, dorzucił jeszcze dwadzieścia euro napiwku.

Spodobał mu się czarujący uśmiech dziewczyny. No i lubił być rozrzutny.

Długa tułaczka po świecie nauczyła go, że całe ludzkie życie toczy się wokół pieniędzy. Sam był demonem, więc traktował je tylko jako dopełnienie i bardzo mało istotny element umiłający jego stworzoną do wyższych celów egzystencję. Bo w życiu demona nie liczy się gonitwa za majątkiem. Liczy się przede wszystkim zabawa. Łączenie przyjemnego z pożytecznym. Jak na przykład w jego profesji.

Gorynycz uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Zawsze o swojej pracy mówił przez duże P. Wartościowa, szlachetna, a przy tym niewymagająca. Robota, która cieszy, to przecież błogosławieństwo. Jak ma się ochotę, można wykonywać ją w wolnym czasie i nawet za darmo! Tak jak w przypadku tej *call girl* parę minut temu. Ulotka nie kłamała - w Kopenhadze są najpiękniejsze dziewczyny w całej Europie. Miał nadzieję, że tak samo intensywnie jak on przeżyła tych parę ognistych chwil...

Wyszedł z hotelu i przywołał gestem taksówkę.

„Na stare lata zaczynam mieć słabość do Dunek” - uśmiechnął się.

- Na lotnisko - poinstruował kierowcę i usiadł wygodnie na przednim siedzeniu.

„Muszę brać to, co jest - pomyślał z nostalgią. - Mało już takich niewiast, jak choćby za cara...”

*

W zagłębieniu między korzeniami starego jesionu, grubszymi niż torsy dorosłych mężczyzn i twardszymi niż wnętrza gór, błyszczała toń magicznego źródła. Trzy siedzące dookoła Norny dały mi znak, abym śmiało podszedł i ukląkł między nimi. Podziękowałem z szacunkiem i zbliżyłem się. Urd z wiszącego na szyi mieszka wyjęła kilka suszonych liści koloru miodu. Rozkruszyła je palcami, wsypała do wody i kazała, bym uważnie śledził obraz, który powoli kształtował się na lustrzanej powierzchni. Zobaczyłem swojego dziadka. Ledwo go poznałem. Z jego twarzy zniknęły głębokie zmarszczki i szare wąsy. Opuściło ją piętno paru dziesięcioleci. Była zbyt młoda, abym mógł ją pamiętać.

Zauważyłem, że na plecach niesie ciężką torbę, a jego ubranie jest znoszone i brudne. Najwidoczniej wracał z jakiejś długiej i męczącej podróży. Wyglądał na wykończonego, ale

szczęśliwego. Z szerokim uśmiechem na twarzy otworzył dobrze znaną furtkę w płocie i skierował się w stronę wciąż świecącej bielą i pachnącej żywicą drewnianej chaty. Dzisiaj jej belki szerniały i wyschły. Nikt nie powiedziałby, że kiedyś wyglądały inaczej.

Otworzyły się drzwi domu i dwóch chłopców z radosnym okrzykiem skoczyło w ramiona ojca. Czule ich wyściskał i wycalował, a po chwili zaczął niecierpliwie szukać wzrokiem żony. Zjawiała się na progu ostatnia. Jej twarz świeciła macierzyńską dumą, a w rękach trzymała zawinięte w pierzynkę niemowlę.

- Dziewczynka - powiedziała, jej policzki pokrył rumieniec.

Dziadek zbladł. Ugięły się pod nim kolana.

- O Boże! - krzyknął i z trudem zaczerpnął tchu. Potem wyciągnął zza pazuchy śliczną gałązkę z trzema różyczkami i przyjrzał się jej z niedowierzaniem. Żona ze strachem podeszła bliżej i bezmyślnie patrzyła na kwiaty, w których nie było przecież nic przerażającego.

Wtem mój dziadek bezwiednie upuścił torbę i gałązkę na ziemię. Drżącą ręką pogładził córeczkę po policzku.

- Duszyczko moja - szepnął, a po brudnej twarzy pociekły mu łzy.

W tym momencie jego żona zrozumiała...

Obraz się rozplynął. Ze strachem spojrzałem na Norny. Ich twarze pozostawały nieprzeniknione.

Siedząca naprzeciwko mnie Werdandi sięgnęła do swojego mieszka, palcami pokruszyła małe srebrzyste muszelki i rozsypała je po magicznej powierzchni źródła. Woda znów ożyła.

Tym razem ukazała obraz mojego ojca. Zgadłem, że był mniej więcej w moim wieku. Stał samotnie w długim szpitalnym korytarzu i nieprzytomnie spoglądał przez okno.

Obserwował rozszczebiotane dzieci biegające po ogrodzie, zajęte zabawą. W powietrzu czuło się jednak napięcie. Nie minęła minuta, a za plecami mojego ojca otworzyły się drzwi prowadzące na salę operacyjną. Stanął w nich sędziwy lekarz w zielonym kitlu. Ocierał pot z czoła i poprawiał nieposłuszne kosmyki siwych włosów, wystające spod krzywo założonego czepka chirurga.

- Przykro mi - potrząsnął głową i spuścił wzrok. Ojciec westchnął z rozpaczą.

- Boże - szepnął. - Miała tylko trzy lata. - To było wszystko, co zdołał wydusić przez zaciśnięte gardło.

- Przykro mi. Nie potrafiliśmy jej uratować. To było ponad ludzkie siły - powtórzył nerwowo lekarz, przestępując z nogi na nogę. Mimo że już chyba po raz pięćdziesiąty w życiu wypowiadał te trzy krótkie zdania, widać było, że wciąż sprawia mu to trudność. Do tego nie da się przyzwyczać.

Mój ojciec kiwnął głową i opadł na ławkę. Przez chwilę w zadumie przyglądał się jaskrawej podłodze pod stopami, po czym ukrył twarz w dłoniach.

- Duszyczko moja - zapłakał - duszyczko moja...

Wstrząśnięty tym, co zobaczyłem i usłyszałem, razem z nim jęknąłem z bólu. Ale surowo uniesiona ręka Skuld, trzeciej Norny, zmusiła mnie do pohamowania bólu. Musiałem przygotować się do następnej wizji.

Wytrzeszczonymi oczami obserwowałem, jak długie palce bogini losu zręcznie rozsypały złociste płatki kwiatów pokruszone w drobny mak.

Na powierzchni wody rozpoznałem własną twarz. Była zarośnięta, blada, naznaczona bólem i wyczerpaniem. Ze zgrozą stwierdziłem, że obserwuję swoje drugie ja zwisające bezwładnie chyba pół metra nad ziemią. Moje rozpostarte szeroko ręce były przybite zardzewiałymi gwoździami do ściany spowitego mrokiem, pełnego odpadków garażu.

Spierchnięte usta poruszyły się i coś wyszeptały. Odpowiedział im tylko piskliwy dźwięk, jaki wydaje ślizgające się po betonie żelazo.

Pod nogami ukrzyżowanej postaci zjawiała się sześciolatka dziewczynka z trudem ciągnąca za sobą ciężkie stalowe krzesło. Gdy postawiła je wystarczająco blisko, odbiegła na chwilę, po czym wróciła z porcelanowym, wypełnionym wodą garnuszkiem. Zręcznie wdrapała się na siedzenie, stanęła na palcach i przyłożyła naczynie do ust wyczerpanego Dawida Abela. Z szeroko otwartymi, ślicznymi oczkami radośnie obserwowała, jak powoli pije.

Nieszczęśnik do połowy opróżnił garnuszek i uśmiechnął się do dziewczynki.

- Dziękuję, duszyczko, nie mogę więcej - wydusił z siebie ledwie słyszalnym szeptem.

Mała odwzajemniła uśmiech i posłusznie zeszła na ziemię.

Nagle skrzypnęły drzwi prowadzące z garażu do domu i w półmroku ujrzałem wysokiego mężczyznę w jedwabnych szatach. Jeśli się nie mylę, był to sam Aziz Kazhegeldin.

- Chodź! - rozkazał dziewczynce i wyciągnął do niej rękę.

- Nie - stanowczo potrząsnęła główką. - Chcę zostać z tatusiem.

- Tatuś musi odpocząć. - Aziz wyczarował szeroki uśmiech. W ciemności błysnęły jego śnieżnobiałe, porcelanowe zęby. - Pójdziesz pobawić się z wujkiem.

Westchnęła i podeszła do niego ze zwieszoną głową. Pozwoliła, by złapał ją za rękę.

- Pożegnaj się z tatusiem.

- Cześć, tatku - powiedziała, wciąż wpatrując się w podłogę.

- Trzy dni. - Aziz mrugnął do ukrzyżowanego Abela swym trzecim okiem wystającym z dziury w jego czole. - Nie zapomnij.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Duszyczko - szepnęło moje drugie ja. - Nie odchodź, proszę...

Ale goście już dawno opuścili ponure wnętrze grobu.

„Trzy dni! - Uświadomiłem sobie w półśnie i zdrętwiałem. - Boże, tylko trzy dni!”

Zadrzałem, ale bardziej z zimna niż ze strachu. Zaskrzypiały zimne skórzane pokrowce mercedesa. Usiadłem ze zmrużonymi oczami i spojrzałem w dal.

Poranek witałem ze łzami w oczach.

DZIEŃ JEDENASTY

CZWARTEK 21.09

Przez całą środę sądziłem, że nic nie może być gorsze od monotonnego krążenia bez celu po Badenii-Wirtembergii. Ale siedzenie bez ruchu w samochodzie i gapienie się przez dziesięć godzin w jeden punkt przed sobą (na przykład na sosnową szyszkę) to agonia, z którą nie można porównać żadnej podróży.

Czekanie mnie zabijało. Powoli i podstępnie.

Tuż po brzasku całą okolicę przykryła mgła, a słońce ani nie ogrzewało, ani nie dawało zbyt wiele światła. Nie dość, że nie ułatwiło nam to obserwacji, to do reszty zepsuło samopoczucie. Nawet gdy już przeszło mi poruszenie wywołane snem, nędzny humor mnie nie opuścił.

A przy celtyckim oppidium nie pojawił się nikt nowy...

Tamara na dwa sposoby walczyła z nudą i stresem - albo drzemała, albo z ponurą miną studiowała swoje mapy, jak zwykle żując przy tym łańcuszek. Zapytana o coś odpowiadała półsłówkami. Więc zabijałem czas rysowaniem po zaparowanym oknie, grzebaniem w przegródce na dokumenty (choć żadnych tam nie było) i od czasu do czasu włączaniem astralnego widzenia. Ponieważ jedynym interesującym obiektem w okolicy była moja towarzyszka (szyszka zniknęła we mgle o jedenastej trzydziści) nie miałem wyboru i beczelnie się na nią gapilem. Może to zabrzmiało niesmacznie, ale było warto.

- Czy aura demonów jakoś różni się od ludzkiej? - przeszkodziłem Tamarze w obliczaniu odległości między dwiema plamami z keczupu na mapie.

- Demony nie mają aury - pokręciła głową, nie odrywając wzroku. - Już ci mówiłam, aura to astralna projekcja materialnego świata. Wizualny wskaźnik odwrotnej strony racjonalnej natury człowieka. Szukanie czegoś podobnego u demonów jest nielogiczne.

- Chyba sobie jeszcze tego nie uporządkowałem. - Zrobiłem kompletnie bezmyślną minę.

- Jeśli ci to... - podejrzliwym wzrokiem skontrolowała okolicę i gdy nie zauważyła nic godnego uwagi, kontynuowała: - Spróbuj spojrzeć na egzystencję żywołaków jak na lustrzane odbicie naszego życia. Skoro pochodzą z przeciwległej rzeczywistości, musisz szukać u nich przeciwieństwa tego, co my nazywamy aurą. Materialnej projekcji astralnego świata, mówiąc dosłownie.

- Aha. Masz na myśli materialne ciała.

- I tak, i nie. Raczej chodziło mi o specyficzne zapachy, niewidzialny dotyk lub zakłócenia praw fizyki, które wywołują. Szczegóły, o których musisz się wiele nauczyć, by je

zauważyć i rozpoznać. Samo materialne ciało to coś więcej. Żeby je posiadać, demony muszą się nieźle napracować. Chyba że je ukradną.

- Wiem, pamiętam. A w jakim stopniu materialne ciało demona jest obrazem jego prawdziwej astralnej natury?

- Z tym różnie bywa. Może być identyczne lub wręcz przeciwnie, zmienione nie do poznania za pomocą iluzji lub innych magicznych sztuczek.

Znów kiwnąłem głową.

Astralne projekcje materialnego ciała. Materialne projekcje astralnego. I ja mam to zapamiętać? Dziękuję bardzo. Już wcześniej nasza rzeczywistość wydawała mi się wystarczająco skomplikowana. Podobne sprawy tylko doprowadzają człowieka do bólu głowy.

*

O drugiej po południu zadzwonił stryj Imrich z prowokacyjnym pytaniem, czy coś już jedliśmy. Przez cały czas próbowaliśmy nie myśleć o wciąż narastającym głodzie, więc szczerze i ze złością odparliśmy:

- Nie!

Najpierw udał obrażonego naszym tonem, a potem nas zbeształ.

- Dlaczego nie dałaś mi znać? - zapytał Tamarę. - Wojna, dziecko, to także aprowizacja. Daniela zaraz coś wam przygotuje.

Okazało się, że wczoraj zdążył wyładować bmw pokaznymi zapasami. Zostałem więc posłany po jedzenie.

I w samą porę, bo już zacząłem łakomym okiem spoglądać na skórzaną tapicerkę w samochodzie.

W drodze powrotnej na sekundę zatrzymałem się obok Palka i wręczyłem mu papierową torbę. Za to gdy wróciłem do mercedesa, Tamara warknęła z pogardą:

- Pewnie same warzywa i zioła. - Podejrzliwie wzięła do ręki kanapkę. - Nienawidzę tej tak zwanej zdrowej kuchni Daniela.

- Nie przepadasz za swoją siostrą - powiedziałem z delikatnym wyrzutem po połknięciu kilku pokaznych kęsów.

Dziewczyna wruszyła ramionami, ale też zaczęła jeść.

- Dlaczego? - Starłem się zadać to pytanie obojętnym tonem. - Ma inne poglądy na temat współżycia między ludźmi i istotami astralnymi. Ale może faktycznie nie wszystkie

demony zasłużyły, by strzelić im w łeb? Nie, żebym się na tym znał, ale przecież Daniela nie wywołuje demonów z piekła rodem. Z tego, co zrozumiałem, stara się żyć w zgodzie z tymi, które tego chcą.

- Proszę cię! - Tamara ze złością machnęła ręką. - Nie interesuje mnie, co robi moja siostrzyczka. To wasza sprawa, co myślicie o demonach. Daniela... Daniela jest po prostu taka jak wszyscy. Pogodziła się z losem. Schowała głowę w piasek. Zapomniała o własnych korzeniach, stała się posłusznym pupilkiem cioteczki.

- Więc o to się rozchodzi! - wymamrotałem pod nosem i kiwnąłem głową. - Nie przyszło ci do głowy, że może zbyt wiele od niej wymagasz? Dwie waleczne wojowniczkę w rodzinie?... To chyba byłaby przesada.

- Naprawdę sądzisz, że jestem nie wiadomo jak silna? - zaśmiała się z goryczą dziewczyna. - Wielkie dzięki, ale się mylisz. To prawda, że mam swój cel, ale żeby zaraz silną osobowość? Może na pozór tak to wygląda, ale to kłamstwo. Zdziwisz się, mobilizuje mnie to samo, co ciebie. Rozpacz, Dawidzie! - Na chwilę zamilkła. - Może... może dlatego tak trudno mi rozmawiać o tym z kimś innym. - Jej głos powoli łagodniał. - Boję się, że nikt by nie zrozumiał. Rozpacz, Dawidzie. Coś, czego Daniela nigdy nie doświadczyła. Zazdroszczę jej...

- Rozpacz? - Zrobiłem prześmiewczą minę. - To mi w ogóle do ciebie nie pasuje...

Ale moje słowa nie brzmiały już tak pewnie. Jej twarz była zbyt szczerą. Coś, co do tej pory pozostawało w ukryciu, wydostało się na zewnątrz. Widziałem to w jej oczach.

- Coś ci powiem - szepnęła dziwnym tonem. - Ja też miewam senne koszmary. Nie prześladują mnie co noc i nie są tak psychodeliczne jak twoje. Ale za to gnębią mnie od wielu lat. Właściwie jedna scena. Zawsze gdy kładę się do łóżka, naprawdę szczerze pragnę, by tym razem mnie nie nawiedziła. Chcesz wiedzieć, co przedstawia? Powiem ci, Dawidzie. Mam dziewięć lat, stoję bosa na podłodze i ciągnę ojca za rękę, żeby się obudził. Po chwili otwiera oczy, ale patrzy w sufit i nie reaguje. Powoli wychodzi słońce, a ja widzę, że ojciec ma głęboką ranę w piersi, a jego piżama i pościel są we krwi. W jego krwi. Potem zakrywam twarz i krzyczę... I tak w kółko...

- Ty... ty go znalazłaś? - Jej zwierzenia kompletnie mnie zaskoczyły. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Tak - kiwnęła głową Tamara. - Do dziś mnie gnębi, dlaczego padło właśnie na mnie? Dlaczego nie na Daniellę? Dlaczego nasze życie nie mogło potoczyć się inaczej? Na przykład na odwrót...

Wmurowało mnie w siedzenie.

Nie udawała. W jej słowach czułem rozpacz. Rozpacz z powodu złośliwego losu, który rozdał jej trefne karty i kazał rozpocząć grę.

Na własnej skórze doświadczyłem podobnej zdrady.

*

Mniej więcej godzinę po naszym lekkostrawnym obiedzie mgła nieco się przerzedziła. Tamara właśnie skończyła trzecią rundę wydzwaniania do innych członków wyprawy, ale z podobnym skutkiem. Wszyscy ugrzęźli w martwym punkcie i w napięciu czekali na kolejny ruch przeciwnika. Dawno rozplynęła się optymistyczna atmosfera, która ogarnęła nas wczoraj wieczorem, gdy pełni entuzjazmu przybyliśmy do Heidengraben. Odniosłem wrażenie, że coś przeoczyliśmy, coś bezpowrotnie nam umknęło...

Dwadzieścia metrów od mercedesa przez polną dróżkę przebiegła Pytia. Na chwilę zniknęła w przeciwległej gęstwinie. Jej obecność zdradziło stado ptaków, które zaraz oderwało się od ziemi. Zauważyłem, że gdy kotka opuściła kłujące krzaki, trzymała w pysku małe bezwładne ciało.

„Nie każdy jest zdany na wegetariańskie kanapki Danieli” - pomyślałem, obserwując Pytię.

- Czy to rozsądne, żeby zostawiać ją z Palkiem? - zapytałem głośno. - Jeśli twój kuzyn otworzy ogień z tej swojej zabaweczki, z pewnością trafi ją szlag. Takiego hałasu wystraszyłby się nawet wytresowany pies myśliwski.

- Gdy przygotowujesz się na spotkanie z żywiołakami lub magią, dobrze, jeśli masz przy sobie kota. Są czujniejsze niż my.

- No to co? Palko sam sobie nie poradzi? Pamiętam, jak mówiłaś, że rozpoznawanie podobnych rzeczy nie stanowi dla Wtajemniczonych żadnego problemu.

- Palko nie należy do Wtajemniczonych.

- Naprawdę? - To była zaskakująca nowina. - Bernata i niewtajemniczony? Nie spodziewałbym się tego.

- Ale tak jest. Nie, żeby Palko jakoś się przed tym bronił albo nie chciał zostać Wtajemniczonym. Wręcz przeciwnie. Od dzieciństwa uczono go tak samo gorliwie jak pozostałych. Jednak... Jednak coś się nie powiodło. Palko ma wrodzoną blokadę. Nigdy nie ujawniła się u niego wrażliwość na świat astralny. Tak jakby przez pomyłkę nie odziedziczył odpowiednich genów. Nie wiadomo dlaczego. Ale podobne rzeczy się zdarzają, Palko nie jest wyjątkiem. Z niektórych ludzi po prostu nie da się zrobić Wtajemniczonych.

- Zerowa predyspozycja - z głębin mego umysłu wynurzył się termin, który prawdopodobnie kiedyś słyszałem na kanale Discovery.

- Tu raczej nie chodzi tak wprost o genetykę. W każdym razie pod względem psychicznym i fizycznym Palko jest zupełnie normalny. W szkole osiągał dobre wyniki, a w sporcie wręcz imponujące. Mimo to Imricha rozczarował jego brak zdolności magicznych. Moim zdaniem, troszkę go potem zaniedbywał. Przynajmniej w porównaniu z Jakobem, któremu poświęcał mnóstwo uwagi.

- Przykre - zachmurzyłem się.

- Przykre i niesprawiedliwe. Choćby dlatego, że Palko naprawdę się starał. Z całego serca pragnął być taki jak reszta rodziny. Gdy zrozumiał, że ta droga jest przed nim zamknięta, nie poddał się i próbował wyrównać braki, rozwijając inne zdolności. Już w liceum zdobył dwa złote medale w triathlonie. Zaliczył chyba wszystkie szkoły specjalizujące się w sztukach walki. Ale to wciąż nie Wtajemniczenie i w oczach Imricha zawsze był tym drugim synem. Potem, może z przekory lub rozczarowania, podczas rodzinnych kłótni często trzymał moją stronę. Przez to został kolejnym outsiderem w naszej kochanej rodzinie. Jeszcze wcześniej niż ja opuścił Thisted. Wstąpił do duńskiego wojska, potem w ramach jakiegoś specjalnego programu jako oficer NATO wyjechał do Stanów i spędził tam kilka lat.

- Niezłe osiągnięcie jak na jego wiek. Ciągłe mieszka w Ameryce?

- Nie. Ponad rok temu definitywnie wrócił do Danii. Mieszka tam i pracuje, stanął na własne nogi. Ma mieszkanie w Lrhus, a jak wszystko dobrze się ułoży, to może niedługo będzie żonaty.

„Wszyscy mamy swoje problemy - pokiwałem głową. - Tylko nie każdemu zostały tylko trzy dni. A właściwie niecałe trzy...”

*

Dokładnie za dziesięć czwarta zadzwonił stojący w uchwycie na tablicy rozdzielczej telefon Tamary.

- Mam całkiem pocieszającą wiadomość - odezwał się w słuchawce głos stryja.

„Kazhegeldin nie przysłał nam SMS-a?” - pomyślałem z sarkazmem.

- Jest tam Abel?

Tak mnie zaskoczyło to pytanie, że zdrętwiałem i zeszywniałem jak kołek.

- Jest. Słyszysz cię - odparła równie zdziwiona Tamara.

- Jest tam pan, panie Abel? - zapytał Imrich, jakby nie dowierzał.

- Tak - przełknąłem ślinę.

- Właśnie dzwoniła do mnie pani Paulina. Parę minut temu ludzie ze Stowarzyszenia prawdopodobnie złapali w Koszycach tajemniczego współnika Aziza.

Złapali... Wspólnika...

Stryj zrobił pauzę, żeby dać nam czas na przetrawienie jego słów. Nie wierzyłem własnym uszom i dla pewności jeszcze raz powtórzyłem w myślach całe zdanie. To niemożliwe! Oni... Oni znaleźli sojusznika Kazhegeldina!

- Kto to jest?! - zawołała z entuzjazmem Tamara. Z zapartym tchem i kurczowo zaciśniętymi pięściami pochyliła się do przodu.

- Na razie to nieistotne - odpowiedział surowo Imrich.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Jak to nieistotne?! A tak w ogóle dlaczego Paulina dzwoniła akurat do ciebie? Co się, do diabła...

- Właśnie go przesłuchują - przerwał jej stryj podniesionym głosem. - Jeszcze nic nie jest pewne. Będę was informować na bieżąco. Panie Abel?

- Tak?

- Trzymam kciuki!

- Dzięki, panie Bernáth.

Pipnięcie oznaczało koniec rozmowy. Wytrzeszczonymi oczami gapiłem się na Tamarę, a ona na mnie. W mojej głowie aż roilo się od pytań, ale w tym momencie nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Mimo to Tamara wiedziała, o co mi chodzi.

- Nie wiem, co znaczą te tajemnice - powiedziała - ale sądzę, że przy najbliższej okazji możemy się napić szampana. Trzymam kciuki, Dawidzie! - pocieszająco ścisnęła mi rękę.

Krzyknąłem z radości i podskoczyłem na siedzeniu.

Nagle z bolesnym uśmiechem złapałem się za głowę. Palko nie będzie zachwycony, gdy zobaczy na dachu auta świeżutkie wyrzuczenie.

*

Cały świat od razu stał się bardziej przyjazny i kolorowy. I to nawet bez astralnego sposobu widzenia.

Żałowałem tylko, że nie dane mi było uczestniczyć w przesłuchaniu w Koszycach. Oczywiście, tylko dla mściwej rozrywki. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że praktyki Wtajemniczonych ze Stowarzyszenia są skuteczne i że nie potrzebują mojej pomocy. Na

własnej skórze przeżyłem sesję terapeutyczną pani Pauliny. Na tej podstawie łatwo mogłem sobie wyobrazić, co oni potrafią człowiekowi zrobić, kiedy nie są w dobrym humorze.

Jeśli ten złapany coś wie, z pewnością przemówi.

W odróżnieniu od Tamary w ogóle nie interesowało mnie, kim jest wspólnik Aziza. Mniej więcej od tygodnia w moich myślach figurował jako bezimienny typowy koszycki cham o czeczeńskich korzeniach. Nigdy bym nie przypuszczał, że to ktoś, kogo znam.

„Dzwoń! Dzwoń! - zaklinałem komórkę Tamary. - Dzwoń! Chcę wiedzieć więcej! Więcej...”

- No zadzwoń, cholera! - warknąłem na głos.

Tamara zatkała mi ręką usta. Chwyciła mnie za kołnierz i ściągnęła na podłogę.

Zdrętwiałem i spojrzałem na nią pytająco.

Coś się wydarzyło. Dała mi znak, abym milczał i spod przymrużonych powiek przez szparkę między wycieraczkami, obserwowała drogę.

Silnik... Na pewno słyszałem silnik!

Po prawej stronie wynurzyły się z mgły dwa samochodowe światła. Po zboczu pięła się zielona furgonetka - stary unimog z licznymi plamami rdzy na masce.

Tamara błyskawicznie wyciągnęła kawałek papieru i spisała numer rejestracyjny. Po chwili trzęsący się tył samochodu zniknął za zakrętem, a my mogliśmy znów usiąść. Z teczki wyciągnęliśmy zdjęcia pojazdów z farmy Aziza i szybko porównaliśmy je z małą ciężarówką, która właśnie nas minęła.

Udało się! Była na jednym ze zdjęć - taki sam kolor, marka, numery...

*

Z naszego stanowiska nie było widać samych ruin celtyckiej osady. Jediną informację o tym, co się dzieje, przysłał nam SMS-em Palko:

1 DRIVER. 2 TRAGARZY. AZIZ NIE. WYKŁADAJĄ SKRZYNIE.

Dowództwo natychmiast przejął stryj Imrich. Kazał wszystkim pozostać w ukryciu i obserwować teren. Po piętnastu minutach furgonetka zawróciła i odjechała z Heidengraben. Również tym razem dostawcy nie zauważyli naszego mercedesa.

Po chwili za unimogiem ruszyło bmw. Stryj dał nam znać, że mamy jechać za nim. Tamara kiwnęła głową.

Na Palka nie musieliśmy długo czekać. Przybiegł po niecałych dwóch minutach. Pierwsza wskoczyła do samochodu kotka, a on razem ze swoim MG-42 usadowił się obok.

- Widzieliście tych facetów? - rzucił.
- Pobieźnie.
- Pytia mało nie wyskoczyła z siebie! Musiał być między nimi przynajmniej jeden żywiolak! Szkoda, że nie mogłem sobie postrzelać.
- Co jest w skrzyniach? - ostudziła go Tamara.
- Nic szczególnego. Świece, pochodnie, kociołki. Czuję również kadzidło. Takie tam rytualne świecidełka. Czego się spodziewałaś?
- Właśnie tego - powiedziała i tak mocno wcisnęła gaz, że wszystkich odrzuciło do tyłu.

*

Powoli zaczynało mi brakować rajdowego stylu jazdy Tamary. Na polnych drogach dziewczyna radziła sobie wcale nie gorzej niż wcześniej na koszyckich skrzyżowaniach. Chwilami mercedes jękliwie protestował, warczał ze złością, ale na szczęście przez większość czasu cierpliwie współpracował. Wszyscy gorliwie zapięliśmy pasy.

Furgonetkę straciliśmy z oczu już dawno, ale dzięki telefonom do Imricha nie musieliśmy błądzić. Stryj powiedział, że już jedzie do nas eurovan, a Holendrzy rozdzielili się: dwóch zostało pod kaplicą, a dwóch pozostałych wyruszyło do Heidengraben. Akcja nabierała przyspieszenia.

W końcu złapaliśmy bmw. Tamara zwolniła. Zielona furgonetka była dobrze widoczna nawet w otaczającej nas mgle. Trzymaliśmy się kilkanaście metrów za samochodem stryja, nie podjeżdżając zbyt blisko do śledzonej ciężarówki. Co jakiś czas zmienialiśmy pozycję, żeby żadne z naszych aut nie było zbyt długo widoczne w lusterkach współników Aziza. Po piętnastu minutach do naszej gry dołączył eurovan.

Wciąż kierowaliśmy się na południe. Przejechaliśmy przez wiadukt, przecięliśmy autostradę wiodącą do Augsburga, minęliśmy Ulm, Senden i farmę Aziza. Po kolejnych dwudziestu kilometrach skręciliśmy na zachód w kierunku Freudenstadt.

Po bokach drogi powoli ubywało pól i farm. Krajobraz przestał być tak monotony i stopniowo przybywało pagórków. Za Freudenstadt wjechaliśmy do górzystego Schwarzwald, w którym wciąż było sporo lasów, a urwiska i potężne skały wydawały mi się idealnym miejscem dla czarnoksiężników. Przynajmniej dla tych z tandetnych filmów. Droga stała się węższa, bardziej kręta, często unosila się i opadała.

Wciąż studiujący mapę Palko (dla odmiany zwykłą, drogową) po pewnym czasie uprzedził nas, że zbliżamy się do granicy francuskiej. Przez chwilę dopadła nas obawa, że

znów pędzimy za fałszywą przynętą. Tuż za miasteczkiem Hornberg (nie wiem, czy to zbieg okoliczności, ale zauważyłem, że nazwa każdej dziury na południu Niemiec liczącej około pięciu tysięcy obywateli zaczyna się na H) furgonetka zwolniła. Po chwili skręciła w prawo i turkocząc, wspinała się po wybrukowanej drodze prowadzącej do dobrze utrzymanego zameczku na niedalekim wzniesieniu.

Tamara zatrzymała wóz na poboczu tuż przed zakrętem. Ukryliśmy się za wielką tablicą z upstrzoną ornamentami strzałką i napisem: HOTEL „SCHLOSS” HORNBERG. Pozostałe samochody zostały w tyle. Widzieliśmy, jak unimog wjechał na sam szczyt i zatrzymał się na niewielkim parkingu tuż przy szeroko otwartej bramie prowadzącej do średniowiecznej posiadłości.

Gdyby w oczy nie kłuła mnie tablica z niemieckim napisem, spokojnie mógłbym pomyśleć, że jesteśmy niedaleko Koszyc, pod Krasną Horką.

Palko wyciągnął lornetkę i szczegółowo informował nas o sytuacji na wzgórzu. Oczywiście nasza radość znów była przedwczesna. Z samochodu wyszedł tylko jeden z dostawców i na chwilę zniknął w bramie hotelu. Szybko wrócił, wsiadł do auta, po czym furgonetka z powrotem ruszyła w dół wzgórza. Postój nie trwał nawet trzech minut. Unimog dał pierwszeństwo pędzącej z zawrotną prędkością mazdzie i kontynuował swą podróż na południe.

Od razu ruszyło za nim bmw i eurovan, ale Tamara stała w miejscu. Nerwowo stukala palcami w kierownicę i w zadumie spoglądała w stronę zameczku.

- Czego tam szukał? - mamrotała pod nosem, - Co tam robił?

- Może poszedł za potrzebą... Albo zadzwonić - podałem dwa niezobowiązujące przykłady. Skrzywiła się i pokręciła głową.

- Hm - skomentował sytuację Palko. Gdy przejechał palcami po nieogolonym policzku, napiętą ciszę przecięło głośnie skrzypnięcie.

Tamara wybrała numer Bronka w swoim telefonie.

- Słucham? - po dwóch sygnałach odezwał się jego głos.

- Gdzie jesteś?! - krzyknęła dziewczyna bez żadnych wstępów.

- W Ulm. Właśnie wracam z...

- Hotel „Schloss” koło Hornberg w Schwarzwaldzie - przerwała mu Tamara. - Dowiedz się o nim wszystkiego!

- Na Boga, gdzież, w piekle? Jeszcze raz, jak się nazywa?

- Schwarzwald, Hornberg.

- Jasne, już notuję...

- Co notujesz? Od razu szukaj!

- Jestem w windzie - powiedział z rozdrażnieniem Broniek - a komputer na górze w pokoju. Musisz poczekać.

- Zadzwoń!

- Zadzwonię!

Efektownym stuknięciem zakończyła rozmowę.

- I co robimy? - zapytałem.

- Jak to co?! Nie ma czasu. Idziemy się rozejrzeć! Nie czekając na kolejne komentarze, odpaliła samochód i podskakujący mercedes ruszył pod górę.

*

Zamek był typową dawną twierdzą z kilkoma budynkami najróżniejszej wielkości, otaczającymi dziedziniec. Wiele z nich miało po zewnętrznej stronie grube kamienne ściany. W późniejszych czasach przebudowano nie tylko dachy, ale głównie front kompleksu, w którym znajdowała się teraz brama ozdobiona artystycznym okuciem. Była otwarta na oścież.

Recepcja hotelu została umiejscowiona tuż za nią w podziemiu, za nowoczesnymi szklanymi drzwiami po lewej stronie. W pomieszczeniu pełnym ręcznie rzeźbionych zegarów z kukułką przywitała nas przysadzista recepcjonistka ze złotymi okularami na nosie, ubrana w ciemnozielony żakiet. Właściwie to przywitała tylko Tamarę i mnie. Palko został na zewnątrz pod pozorem zapalenia papierosa. W środku takie rakotwórcze rozrywki były oczywiście zabronione.

Tamara poprosiła po niemiecku o dwa pokoje na jedną noc.

- Przykro mi - recepcjonistka wzruszyła ramionami - ale mamy w hotelu konferencję naukową. Wszystkie miejsca są zajęte. Naprawdę bardzo nam przykro. Proszę spróbować gdzie indziej. Jeśli potrzebują państwo rady, z przyjemnością...

Plan A nie wypalił, ale musieliśmy dać Palkowi więcej czasu. Tamara z ochotą przyjęła pomoc recepcjonistki i zaczęły razem oglądać mapę wiszącą na ścianie. Również udawałem, że zainteresowałem mnie Schwarzwald i co chwila zadawałem jakieś pytanie moim koślawym niemieckim. Jednocześnie jednym okiem obserwowałem, jak wiedzie się naszemu kopacemu detektywowi. Zdażył kilka razy obejść dziedziniec i pewnie zajrzeć do paru okien. Teraz znów widziałem go za szklanymi drzwiami. Zgasił już papierosa, wszedł do holu i z prawdziwym zainteresowaniem fachowca pochylał się nad armatą z okresu napoleońskiego.

Prawdopodobnie z rozczarowaniem przyjął fakt, że broń ma zalaną lufę i jest przycementowana do podpórki.

Dyskretnie pociągnąłem Tamarę za rękaw. Zanim wylewna Niemka zdążyła nas zanutzić na śmierć, opuściliśmy recepcję. Palko już machał do nas z entuzjazmem, żeby zrobić mu zdjęcie z armatą. Przeszliśmy przez szklane drzwi. Gdy Tamara, wzdychając, wyciągnęła aparat, zauważyliśmy, że Palko daje nam znak, abyśmy ukradkiem spojrzeli na dziedziniec.

Z kąta, w którym staliśmy, można było jednym krótkim spojrzeniem zlustrować dziedziniec z parkingiem dla pracowników i zakwaterowanych gości.

Stało tam wiele samochodów. Ale wypolerowany Rolls-Royce Phantom 1961 wyróżniał się między nimi jak muzealny dwupłatowiec wśród eskadry myśliwców F-16.

Tamara nacisnęła spust olympusa. Uśmiechnęliśmy się do siebie zwycięsko i pod czujnym spojrzeniem recepcjonistki opuściliśmy hol. Trudno nam było udawać, że nic się nie stało.

Zaraz za bramą Tamara sięgnęła po telefon. Bmw i eurovan ruszyły w powrotną drogę.

*

Wykorzystując okazję, Palko kazał sfotografować się przed wejściem, z główną fasadą z wieloma herbami, tablicą informacyjną, menu restauracji, a nawet przy stylizowanym kamieniu milowym na parkingu. Potem udawał, że silnik nie chce odpalić i przez kilka minut załamywał ręce nad otwartą maską samochodu. Co chwilę rozlegały się pikantne niemieckie przekleństwa.

To wystarczyło.

Samochody z resztą Bernáthów gnały już w górę zbocza. Zatrzymały się tuż za mercedesem. Wskoczył z nich uzbrojony oddział w pełnej gotowości. Zauważyłem, że tym razem nawet Daniela i Kristen założyły kuloodporne kamizelki i pasy z pistoletami. Wciąż brakowało tylko Holendrów.

Ja również postanowiłem wziąć udział w akcji. Sam nie wiem, czy bardziej z euforii, czy po prostu nie chciałem wyjść na tchórza przed kobietami. Ale Tamara od razu mnie zgasiła. Pierwszym argumentem był palec skierowany w stronę zachodzącego słońca. Fakt, już wkrótce mogłem stracić nad sobą kontrolę. Jako drugi argument wykorzystwała swój telefon komórkowy, który gwałtownie wsadziła mi do ręki. W ten sposób zostałem tymczasowym kierownikiem centrali operacyjnej.

- Wyciągnij z bagażnika puszkę piwa, za chwilę będę z powrotem! - rozkazał mi z uśmiechem Palko. Wyciągnął spod tylnego siedzenia MG-42. Stał w pozie Schwarzeneggera z plakatu do filmu „Predator” i konspiracyjnie do mnie mrugnął. - Będę spragniony, *you ugly motherfucker!*

Odpowiedziałem mu równie filmowym, tradycyjnym gestem. Wysuniętym środkowym palcem.

Tymczasem wszyscy jak na komendę ruszyli w stronę bramy Zdrętwiałem ze strachu, kiedy ktoś nagle zapukał w otwarte do połowy okno mercedesa. Zdrętwiałem na chwilę, zanim rozpoznałem Imricha Bernátha.

- Abel, muszę zadać panu pytanie - powiedział bez ogródek. - Zna pan Alana Alezara?

- Tak, myślę, że tak - kiwnąłem głową na myśl o harleyowcu z Señi. - Spotkałem go.

- Paulina twierdzi, że właśnie on jest współnikiem Kazhegeldina. Złapali go na gorącym uczynku. Wskazuje na to kilka pośrednich dowodów, ale jeszcze się nie przyznał. Co pan o tym sądzi?

- Nie wiem - odpowiedziałem szczerze. Nie spodziewałem się takiej informacji.

- Dobrze. W każdym razie proszę nic nie mówić Tamarze. Dopóki nie będziemy mieć pewności, nie musi o tym wiedzieć. Paulina zaznaczyła, że podobne odkrycie mogłoby ją, hm... zdenerwować.

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem.

- Będziemy w kontakcie. - Wskazał na telefon Tamary i szybko się odwrócił. Potem spokojnym krokiem udał się ku bramie zamku. Towarzyszył mu stukot okutej laski. Nic nie robiąc sobie z poprzedniego incydentu, znów nie miał kuloodpornej kamizelki ani żadnej broni. Uświadomiłem sobie, że przy jego zdolnościach tylko by mu przeszkadzały.

*

Gdy nagle z hukiem otworzyły się szklane drzwi i do małej recepcji wskoczyło jedenastu uzbrojonych po zęby ludzi, pracownica hoteluomal nie dostała pierwszego w życiu zawału. Słuchawka bezwiednie wypadła jej z ręki, a zdenerwowany głos stałego klienta zagłuszyło głośnie uderzenie.

To czyjaś silna ręka mocno uderzyła w blat kontuaru. Przed oczami recepcjonistki znalazło się zdjęcie ze znajomą jej twarzą.

- My na konferencję - powiedziała gruba kobieta niegrzecznie żującą gumę. - Numer sali poproszę, *lieber Frau*. Jeden z naukowców już nie może się nas doczekać.

*

Ledwo plecy stryja zniknęły w oddali, zadzwonił telefon. Błyskawicznie przyłożyłem go do ucha.

- Słucham - wyjąkałem i wstrzymałem oddech, oczekując głosu pani Pauliny albo kogokolwiek ze Stowarzyszenia.

- Mam to - odezwał się Broniek i nagle umilkł. - Eee... Kto mówi?

- Dawid.

- Dawid? Dawid! Gdzie jest Tamara?

- Teraz nie może podejść. Co znalazłeś? - ponagliłem go, żeby zbyt długo nie blokować linii. Właśnie w tej chwili ktoś w Koszycach mógł wybierać ten numer...

- No... Ten wasz hotel ma całkiem przystępne strony internetowe. Miło przeglądać. Cytuję: „Malownicza średniowieczna twierdza w samym sercu Schwarzwaldu. Wzniesiona około 1220 roku, prawdopodobnie przez zakon Templariuszy. Trzy razy spłonęła, parę razy była przebudowana... bla, bla, bla... Aktualnie zamknięty z powodu rekonstrukcji". Nic ciekawego. Pierdy dla turystów. Ale! Przeglądałem rejestr handlowy i słuchaj: właścicielem hotelu jest spółka Klassische Beherbergung AG. Czterdzieści dziewięć procent akcji znajduje się w rękach pracowników - kopa Hansów, Jurgenów i innych Niemiaszków, ale resztę udziałów posiada jeden człowiek. Mówi ci coś nazwisko Bursch, Fridrich Bursch?

- No pewnie, do diabła! - Przypomniało mi się zdjęcie sponsora Aziza ubranego jak esesman.

- He, he, strzał w dziesiątkę, Dawidzie! Jesteście już na miejscu?

- Jasne. Śledziliśmy furgonetkę, która przyjechała do Heidengraben, żeby wyładować jakieś skrzynie. Zaprowadziła nas prosto do zameczku, gdzie na dziedzińcu stoi rolls-royce Kazhegeldina. Wszyscy właśnie weszli do środka. Powiem ci, że szykuje się niezła siekanina.

- No pięknie! Ja tu wypruwam sobie żyły, a wy już go prawie macie! Na przyszłość odezwijcie się wcześniej. Informuj mnie, dobrze?

- Oczywiście. Narka - skończyłem rozmowę i spojrzałem w kierunku zamku. Na razie nic się nie działo.

Uśmiechnąłem się złośliwie na myśl o minie Aziza, ale nagle ogarnęło mnie dziwne przecucie.

Coś tu nie pasowało.

Przed chwilą wiedziałem co, ale szybko mi to umknęło. Coś niepokojącego.

*

Dwa kroki w lewo, jeden w prawo.

Mimo że uzbrojone komando starało się poruszać jak najciszej, drewniane schody głośno skrzypiały pod stopami. Ale tylko one, poza tym żadnego alarmu, żadnej nerwowej bieganiny...

Tylko spokojnie. Jeszcze troje drzwi...

*

„Zamknięty z powodu rekonstrukcji - zawirowały mi w głowie słowa Bronka. - Zamknięty...”

Przecież to był absurd! Otwarta na oścież brama, czynna recepcja, żadnego zakazu wstępu, żadnych robotników albo konserwatorów.

W takim razie skąd się wzięła ta notka na stronie?

Zaraz zadzwoniłem do Bronka.

- Co mówiłeś o zamknięciu?! - wrzasnąłem, ledwie odebrał. To było bardzo w stylu Tamary.

- Przeczytałem ci, że hotel jest zamknięty - odpowiedział ze spokojem. - Z powodu rekonstrukcji. Wszędzie jest tak napisane. Zarówno w biurach turystycznych, jak i w agencjach informacyjnych. *Geschlossen* od 1 września do 31 grudnia. Otwierają dopiero po Nowym Roku.

- Dziwne.

- Co w tym dziwnego? Kazhegeldin chce mieć pewność, że nie będą mu tam przyłazić turyści. Chce mieć ciszę i spokój. Co ci nie pasuje?

- Wszystko dobrze sprawdziłeś? Nie ma gdzieś w Niemczech innego hotelu „Schloss”?

- Wszystko się zgadza: Schwarzwald, Hornberg...

- Wiesz, problem w tym, że tu, kurde, wszystko normalnie działa! Recepcja, kuchnia, nawet są goście! Wszystko!

- Hmm... - zaczął Bronka, ale rozłączyłem się, zanim cokolwiek zdążył powiedzieć. Pełen narastającego niepokoju wyszedłem z auta.

W zamku wciąż panowała cisza. Specyficzna, mrożąca krew w żyłach cisza. Jeszcze raz rozejrzałem się dokładnie. Na trawniku niedaleko bramy zobaczyłem przewróconą tablicę. Podeszedłem bliżej. Podniosłem ją i przeczytałem napis: GESCHLOSSEN 01.09 - 31.12.

A więc hotel był zamknięty. Dlaczego więc Aziz nagle zmienił taktykę? Dlaczego?

Jeżeli rzeczywiście hotel należał do Burscha, to całkiem możliwe, że zamiast jednego apartamentu Aziz zajął cały zamek. Może trafiliśmy na jego tajną bazę... W takim razie dlaczego zostawił na oścież otwartą bramę i pozwolił, by jego rolls-royce sterczał na widoku?

Nagle mnie olśniło...

Właśnie po to!

Nie biegłem tak szybko od wielu lat. Chyba pobiłem rekord.

*

- To pułapka! - krzychałem, wymachując rękami w biegu. - To pułapka!

Jak strzała przeleciałem przez bramę i skierowałem się na dziedziniec, licząc, że stąd będzie mnie wszędzie słychać.

- *Traaaaap! It's a trap!* - Przypomniałem sobie, że nie wszyscy nasi duńscy koledzy rozumieją słowacki. - *Das ist... ist... Das ist Scheisse!* - dla pewności zaimprovizowałem również po niemiecku i tym sposobem wyczerpałem swoją znajomość języków (oczywiście z wyjątkiem rosyjskiego).

Od krzyku zaschło mi w gardle i nie mogłem złapać tchu. Pułapka...

Miałem nadzieję, że nie pojawiłem się za późno.

Nagle z lewej strony dobiegł mnie ogłuszający wybuch. Z pokoju na pierwszym piętrze wyleciała szyba i dziedziniec zasypała szklana lawina. W oknie pojawiły się płomienie i gęsty, drażniący dym. Instynktownie zasłoniłem twarz. Na szczęście nie oberwałem odłamkami szkła ani masywnej drewnianej framugi.

„Za późno! Cholera!”

Po chwili z zadymionych miejsc doszły do mnie liczne odgłosy strzałów i czyjeś krzyki.

„Więc przynajmniej paru naszych wciąż żyje. Dzięki Bogu!”

Co teraz? Uświadomiłem sobie, że stojąc na środku dziedzińca, jestem idealnym celem. Nerwowo rozejrzałem się dookoła.

Trzask za plecami ostrzegł mnie, że właśnie ktoś zamknął bramę i prędko wchodzi po schodach. Wciąż nie umiałem zdecydować, dokąd biec. W wychodzącym na dziedziniec oknie pojawiło się trzech mężczyzn. A właściwie nie do końca mężczyzn... Jednak widok

rogów sterczących im z czoł ani w połowie nie wystraszył mnie tak jak broń, którą trzymali w rękach. Czarne lufy rewolwerów bez wahania zwróciły się w moją stronę.

I po problemie. Już nie musiałem rozmyślać, dokąd uciec.

Niejeden skoczek olimpijski mógłby pozazdrościć mi siły, z jaką rzuciłem się w kierunku najbliższych drzwi. Sekundę po tym usłyszałem: „prask! prask! prask!” Dwie kule odbiły się od futryny, jedna zaryła w drzwi. Właśnie dopadłem klamki i rozpaczliwie nią potrząsałem.

„Zamknięte, kurwa!”

Znów potrójne „prask”. Ze ściany tuż nad moją głową odpadły kawałki tynku. Zasypał mnie drażniący pył. Kichnąłem głośno i wykonując podpatrzony w filmach przewrót, rzuciłem się do ucieczki.

„Między samochody, bo zostanie ze mnie miazga!”

Usłyszałem tupot ciężkich butów. Żywiołaki rozbiegły się we wszystkie strony. Klnąc na samego siebie, że w ogóle wylazłem z auta, na czworakach zanurkowałem między podwozia, opony i zderzaki.

„Dobrze ci tak! Ty idioto!”

Nagle rozległo się „trt-trt-trt-trt-trt” i z toyoty, którą właśnie minąłem, wystrzeliły petardy.

- Dodupydodupydodupydodupy! - warczałem.

Najwyraźniej któryś demon zastosował coś bardziej efektywnego niż klasyczna kulka w łeb. Nie miałem złudzeń - jeśli przeżyję, to będzie cud.

Z nisko pochyloną głową kluczyłem między samochodami. Starąłem się nie zwracać uwagi na huk rozrywanej blachy i rozbijanego szkła. Właściciele tych wozów będą wściekli, żadne ubezpieczenie nie pokrywa szkód na skutek zamachu terrorystycznego... Byłem już na końcu parkingu. Przede mną trzy długie metry pustej przestrzeni, dopiero dalej za nią ściany budynku.

„I dupa blada! A gdyby tak?...”

Przyjrzałem się otwartemu do połowy okienku, które prowadziło do wnętrza piwnicy. Trzymało się tylko na dwóch niewielkich haczykach.

Skoczyłem.

Jeszcze raz usłyszałem: „trt-trt-trt-trt-trt”.

Zacisnąłem zęby. Skuliłem się i całym ciałem napałem na okienko. Zaskrzypiały śruby przytrzymujące haczyki i po kilku niewiarygodnie długich chwilach ociągania wpuściły mnie do środka.

Wpadłem prosto w objęcia zbawiennej ciemności.

*

Tamara kucnęła przy murze na klatce schodowej.

W rękach kurczowo ścisnęła broń i starała się wykaszleć wdychany popiół.

To niemożliwe, żeby tak się dać nabrać! Ze złości, zmęczenia i z powodu dymu łzawiły jej oczy. Tak się nabrać...!

Przed oczami dziewczyny przeleciały urywki wydarzeń z ostatnich dwóch minut. Wszędzie było pełno ognia i krzyki.

Pamiętała, że gdy Jakob z Kayem właśnie szykowali się, by sforsować drzwi do apartamentu Kazhegeldina, nagle na dziedzińcu ktoś zaczął wrzeszczeć. Nie wszyscy rozpoznali głos Dawida, ale Tamara była pewna, że to on.

„Dlaczego nie siedzi w aucie? - ta myśl pierwsza przemknęła jej przez głowę. - Dlaczego, na Boga, ten głupek robi tyle hałasu?!”

Jej krewni na chwilę stanęli jak wryci. I to prawdopodobnie uratowało im życie.

W pokoju, do którego mieli się dostać, zamiast Aziza czekało na nich kilka kilogramów trotylu. Albo czegoś jeszcze gorszego. Wybuch był tak głośny, że nie tylko wszystkich ogłuszył. Wręcz czuła, jak zachlupotał jej mózg.

Najpierw wyleciały drzwi. Rozprysły się na kawałki jak lody, które przypadkiem wpadły do wentylatora. Po chwili zadrżała podłoga. Kilka ścian runęło niczym kostki domina. Dziewczyna myślała już, że cały zamek, choć przetrwał osiemset lat i dwie wojny światowe, zaraz się rozpadnie, grzebiąc ich wszystkich pod gruzami.

Każdy uciekał na złamanie karku i krył się w każdym możliwym kącie. Gdy tylko opadł najgęstszy pył, usłyszeli pierwszy strzał. Dla Tamary było oczywiste, że cała zabawa jeszcze się nie skończyła. Skoro jej krewni strzelali, to widocznie było do kogo.

„Aziz, idziemy po ciebie! - zacisnęła mocniej palce na broni. Tak, Kazhegeldin złapał ich w pułapkę, ale żyją, przynajmniej większość na pewno żyje. - Kto jest teraz w największym niebezpieczeństwie?”

W jej głowie znów rozległ się głos Dawida. Zdrętwiała. Z wahaniem spojrzała w dół schodów. Rodzina poradzi sobie i bez jej pomocy. Ale on? Obiecała, że wydostanie go z tarapatów, w których znalazł się z jej powodu. Ale jeśli jakiś sługus Aziza odstrzeli mu głowę?

- Do diabła! - głośno zaklęła i ruszyła z powrotem w kierunku wyjścia.

Aziz musiał jeszcze poczekać!

*

Błądziłem po zamkowej suterenie, później trafiłem na parter. Obrałem prostą strategię - jak tylko usłyszysz strzały, natychmiast zmień kierunek! Próbowałem dostać się w pobliże recepcji i bramy. Po tym, co wydarzyło się na dziedzińcu, nie miałem najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z uzbrojonymi potworami. Sam ścisnąłem tylko trzonek łopaty, który wpadł mi w ręce w piwnicy. I tak było to lepsze niż nic.

Poruszanie się utrudniały mi zamknięte przejścia i ślepe zaułki. Błądziłem w ciemności, ale prawdę powiedziawszy - ciemność mi nie przeszkadzała. Im większy mrok, tym lepiej się czułem. Przy okazji odkryłem kolejną zaletę astralnego widzenia: to było równie dobre jak noktowizor.

Kolejny odgłos strzału! Odruchowo przywarłem do posadzki i spojrzałem na strop. Strzelano piętro wyżej. Więc na razie to mnie nie dotyczyło. Ale...

Odezwała się inna broń i tym razem jej odgłos coś mi przypominał. Brzmiał jak... hm... dokładnie jak dźwięk rozrywanego materiału. Palko i jego MG-42!

Spojrzałem na sufit. Pomóc mi przeżyć mógł tylko cud i ten cud właśnie strzelał piętro wyżej. Zawodowy żołnierz, z nim miałem spore szanse na przeżycie.

Pobiegłem w kierunku najbliższych schodów, błyskawicznie dotarłem na piętro, a potem ostrożnie ruszyłem w kierunku, z którego rozlegała się dzika strzelanina. Jedno pomieszczenie, drugie... Domyślałem się, że jeszcze dwoje drzwi i będę na miejscu. Jednak gdy otworzyłem pierwsze, zamarłem.

W zamkowym korytarzu stało sześciu śmierdzących paromiesięcznym kompostem mężczyzn. Wszyscy byli odwróceny do mnie plecami i celowali w przeciwną stronę drzwi.

Ale tylko przez chwilę.

W momencie gdy zaskrzypiały nienaoliwione zawiasy, ich głowy błyskawicznie odwróciły się w moją stronę. Nie tylko zresztą głowy, lufy także. Powietrze zgęstniało. Rzeczywistość nagle zwolniła.

„Nie zdążę! Nie zdążę!”

Podłoga wydawała się tak niewiarygodnie daleko...

W chwili, gdy palce demonów powoli dosięgały spustów, nagle ktoś z hukiem otworzył przeciwną stronę drzwi i zaczął kosić bez wyjątku wszystko, co tylko znajdowało się na korytarzu.

Dookoła rozległ się znajomy odgłos rozrywanego materiału.

*

Decyzja, aby odnaleźć Dawida, to był nagły impuls. Dopiero później Tamara zaczęła rozmyślać, dlaczego zdecydowała się na ten krok.

Ogarnęła ją potrzeba niesienia pomocy? Długo tłumione instynkty macierzyńskie? Nie, chciała zachować godność. Ale czy rzeczywiście chciała tylko dotrzymać danego słowa? Słyszała fałsz we własnych myślach.

Wyobraziła sobie Dawida leżącego w kałuży krwi z szeroko rozpostartymi rękami i ten przerażający obraz pomógł jej znaleźć prawdziwą odpowiedź. Brakowałoby go jej...

Ale właściwie dlaczego? Sama nie wiedziała.

Dawid był jak coś, co odruchowo wrzucasz do torby, długo przy sobie nosisz i choć nigdy nie używasz, to coś zrasta się z tobą. Nie można tego odtrącić, tak jak nie da się wyrzucić miłego, ale męczącego kotka, którego ktoś sprezentował na urodziny.

W tej chwili strata byłaby o wiele bardziej bolesna niż zawód z powodu zmarnowanej szansy na zemstę. Wiedziała, że jeżeli nie uratuje Dawida, to kto, do licha, będzie robić za jej spowiednika?!

Na następnym zakręcie zaskoczyły ją dwa demony. Pogrążyła się w zadumie. Myśli są podobno szybsze od światła, ale przestawienie ich na inne tory nie jest taką prostą sprawą. Z drugiej strony ćwiczenie czyni mistrza.

„Prask! Prask!” - Obydwa demony przez chwilę zastanawiały się, jak to możliwe, że nim zdążyły wycelować, ktoś zrobił im w głowach o jedną dziurę więcej. Potem rąbnęły na posadzkę.

*

- *Fuck!* Skończyła mi się amunicja!

Ostrożnie oderwałem głowę od progu, na którym leżałem, i spojrzałem na swego wybawcę. Stał zachmurzony nad sześcioma trupami i właśnie zarzucał na grzbiet tymczasowo nieużyteczny MG-42. Zauważyłem, że w kurtce ma dwie dziury po kulach, które zatrzymała kuloodporna kamizelka. Musiały się od czegoś odbić - po bezpośrednim postrzale nie byłoby mu tak łatwo stać prosto na nogach. Wypalone otwory i plamy po pianie z gaśnicy tworzyły na jego spodniach oryginalny wzór moro.

- Palko? - odetchnąłem z ulgą.

- Co tu robisz? - Podeszedł do mnie i podał mi rękę, żebym mógł się podnieść.
- Przyszedłem was ostrzec.
- Dzięki, już nie trzeba - powiedział szorstko. Z pasa pod pachą wyciągnął kałasznikowa z odchylaną kolbą i sprawdził, czy jest naładowany.
- Widzę - kiwnąłem głową. Cały się trząsałem.
- *Fuck!* Prawie nas mieli! Skopię im tyłki! - Palko zaczął wygrażać pięścią. - A co z terenem w tym kierunku? - Wojowniczo kiwnął brodą w stronę korytarza, z którego przyszedłem.
- Wolne.
- Hm. Więc zawracamy. - Szybko obrócił się na pięcie.
Zaczerpnąłem powietrza, mocno ścisnąłem drewniany trzon łopaty i ruszyłem tuż za nim.

*

Nie wiem, czy aktualnym celem Palka było znalezienie Aziza, czy kogoś z naszych ludzi, ale szliśmy prosto przed siebie. Kuzyn Tamary oczyszczał drogę niewielkimi porcjami ołowiu i prowadził nas mniej więcej w kierunku bramy. Przechodziliśmy przez budynki stojące naprzeciwko pomieszczeń dla gości i pokoju, w którym została umieszczona bomba.

Tylko raz musiałem użyć swojej broni, gdy z tyłu wyskoczył na nas jeden śmierdziel. Ale z wyjątkiem tego incydentu to był niemal spacer.

Do czasu, gdy nie znaleźliśmy się w sali balowej.

Pomieszczenie zajmowało całą szerokość budynku. Tylko przy ścianach stały nieliczne meble, poza tym było całkiem puste. Szliśmy właśnie przez parkiet w kierunku przeciwległego wyjścia i staraliśmy się robić jak najmniej hałasu. Nagle coś zaskrzypiało za drzwiami - jakby ktoś przesuwiał po podłodze ciężki przedmiot. Głośno opadł metalowy bezpiecznik. Na szczęście Palko miał doskonały refleks!

Nim w zamku obrotowego karabinu iglica dotknęła spłonki, zdążył odepchnąć mnie na lewą stronę, a sam odskoczył w prawo. Kucnął za starożytnym kredensem.

A potem rozpętało się piekło.

Patrząc na dziury pojawiające się w rozrywanych pociskami drzwiach, miałem wrażenie, że ktoś wyrzuca przez nie piłeczki pingpongowe. Cholera, mnóstwo pingpongowych piłeczek!

Skulony w lewym rogu sali balowej zatkałem uszy. Palko, z krótkimi przerwami na zmianę amunicji, odpowiadał ogniem zza kredensu. Po chwili z drzwi zostały tylko drzazgi, a

my znaleźliśmy się w potrzasku. Ja nie mogłem dotrzeć do Palka, a on do mnie. Wycofanie się też nie wchodziło w grę. Komandos nieustannie przeklinał, zerkając to na zablokowane wyjście, to przez okno na dziedziniec. Telefonu nawet nie dotknął. Zresztą i ja wątpiłem, czy ktokolwiek z Bernáthów miał ustawiony na tyle głośny dzwonek, żeby zagłuszył strzelaninę i ciągle detonacje. A poza tym kto by miał czas odbierać teraz komórkę?

- *Shit!* - krzyknął Palko już chyba po raz pięćdziesiąty. W jego głosie oprócz gniewu dało się słyszeć nutę zaskoczenia. - Aziz!

Nie mogłem dostać się na jego połowę, a z mojego rogu nie widziałem dziedzińca. Zaryzykowałem więc i na chwilę wszedłem na stojące najbliżej krzesło. Akurat w momencie, gdy z parkingu odjeżdżał wypełniony grupką ludzi w ciemnych płaszczach rolls-royce. Lewą stronę maski miał totalnie zniszczoną. A w środku rzeczywiście siedział ktoś z kocią bródką i czymś ciemnym na czole, bardzo możliwe, że z blizną po trepanacji czaszki. Po chwili samochód zniknął mi z oczu. Słyszałem tylko, jak trąbi na stojące przy bramie demony, żeby mu otworzyły.

Palko bez zastanowienia kopnął w okiennice, schował kałasznikowa i wyskoczył z piętra prosto na dziedziniec. Ze zdziwienia opadła mi szczęka.

Demony blokujące z wielkim kaemem drzwi też musiały usłyszeć trzask otwieranych okiennic i na wszelki wypadek zasypały salę balową kolejną porcją ołowiu. Szybko zeskoczyłem z krzesła.

- Dosyć tego! - wrzasnąłem i za przykładem Palka podszedłem do jednego z okien po mojej stronie. Wychyliłem się i obejrzałem zbocze zamkowego wzgórza.

Z dołu nie wydawało się tak strome. Już miałem chęć zrezygnować, ale czy to taka różnica skrócić kark albo zostać rozerwanym serią pocisków? Pomyślałem, że jeśli wejdę na parapet, zawisnę na rękach po zewnętrznej stronie, a potem ostrożnie zeskoczę, to może nawet wyląduję na całkiem poziomym skrawku ziemi tuż pod murem. Potem najwyżej zjadę na tyłku.

Pospiesznie wdrapałem się na okno, kucnąłem, a potem zawisłem, trzymając się kurczowo palcami brzegu parapetu. Nie miałem odwrotu - podciągnąć się z powrotem chyba nie dałbym rady.

„Policzę do dziesięciu? Tak, do dziesięciu” - przytaknąłem sam sobie i zamknąłem oczy.

- Jeden, dwa, trzy, cztery...

*

Tamara już chyba po raz trzeci wybiegła na dziedziniec. I tuż za drzwiami prowadzącymi do restauracji zderzyła się z kimś, kto przed chwilą zeskoczył na bruk z piętra i dopiero odzyskiwał równowagę. Odruchowo wycelowali w siebie nawzajem, ale dziewczyna zaraz poznała Palka. Opuścili broń.

- Aziz! - warknął komandos.

- Dawid!

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Tamara nie zrozumiała, o co chodzi kuzynowi.

- Widziałeś Dawida? - powtórzyła.

- Widziałem.

- Żyje?

- Żyje. Aziz właśnie opuścił zamek!

- Musimy... - zaczęła dziewczyna, nim dotarło do niej, co powiedział Palko.

- Jedziemy! Rusz się! Potrzebuję kierowcy! - chwycił ją za ramię i zaczął ciągnąć w stronę bramy.

- Ale... - Tamara niechętnie wlokła się za nim, lecz kuzyn nie zwracał na to uwagi.

Z piętra znów rozległ się odgłos rozbitego szkła, a z okna wyrzała lufa obrotowego karabinu.

- Właśnie oczyściłem mu drogę ucieczki! - krzyknął Palko i aż się wzdrygnął. - Jeśli do tej pory przeżył, przeżyje do końca. Wierz mi. Nie obawiaj się, na pewno znajdzie go ktoś z naszych!

Desperacko ciągnął za sobą kuzynkę, co chwilę spoglądając na kaem.

- Szybko!!!

Tamara w końcu się poddała.

Gdy nagle rozległa się seria, byli już ukryci w bramie.

*

- ...trzydzieści trzy, trzydzieści cztery, trzydzieści pięć... - liczyłem, a jakiś głos wciąż powtarzał mi w głowie, że już dawno doszedłem do dziesięciu. - Wiem - wycodziłem w końcu przez zęby. Spojrzałem w dół, mocno zacisnąłem ręce na parapecie.

„W ten sposób nie dam rady - uznałem. - Nie chcę przecież popełnić samobójstwa! Musi być przecież jakaś inna droga”.

Podparłem się nogami o fasadę z popękany tynkiem i zacząłem z powrotem wlaźć do środka.

Jednak coś było nie w porządku.

Nagle odniosłem wrażenie, że nade mną zawisła wielka chmura i wszystko dookoła spowił półmrok. Po chwili w mojej głowie pojawiły się chaotyczne dźwięki. Serce zaczęło mi bić ze zdwojoną siłą.

„Zmierzch! Teraz?! Akurat teraz... Niiieee!”

Błyskawicznie sięgnąłem prawą ręką po medalion. Cóż mogłem na to poradzić - to był odruch.

I błąd! Straszny błąd!

Być może jakiś kaskader filmowy potrafi przez trzydzieści-czterdzieści sekund zwisać z parapetu, trzymając się go tylko jedną ręką. Ja nie wytrzymałem nawet trzech.

*

Zaraz po tym, jak rolls-royce Aziza minął bramę, dwa rogate demony zaczęły ją zamykać. Trzeci najpierw nimi dyrygował, po czym obrócił się, by osłaniać im plecy swoim uzi. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest idealnym celem dla dwojga ludzi...

Kałasznikowy Tamary i Palka plunęły krótkimi seriami, a demon wykonał piękny taneczny piruet. Jego towarzysze zorientowali się, że coś jest nie tak, dopiero czując ciepłe, lepkie krople na szyjach. Złapali za swoje rewolwery Smith&Wesson.

Dwójka ludzi odczekała, aż żywiołaki spojrzą im w oczy.

Strzelili demonom prosto między rogi. Nie patrząc nawet na abstrakcyjne kompozycje z krwi i mózgow, precyzyjnie się przez może półmetrową szparę między skrzydłami niedomkniętej bramy. Po chwili wskoczyli do mercedesa.

Tamara wystartowała i z piskiem opon przecięła trawnik. Samochód wypadł na wybrukowaną drogę prowadzącą do szosy. Siedzący na przednim siedzeniu Palko otworzył okno. Wysunął przez nie swoją broń i w podskakującym celowniku próbował uchwycić skręcającego pod wzgórzem rolls-royce'a.

Gdy odzyskałem przytomność, dookoła panowała ciemność. Leżałem na wznak w gęstych zaroślach, które gdzieś w połowie wzgórza zahamowały mój upadek. Miałem wrażenie, że zaraz eksploduje mi głowa, na całym ciele czułem mnóstwo zadrapań i siniaków. Jednak niczego chyba sobie nie złamałem - stanąłem na nogi, mogłem iść. Może zasłabłem tylko na chwilę?

Właśnie, zasłabłem! Zmierzając w stronę szosy pod wzgórzem, uświadomiłem sobie nową okoliczność. Gdy tracę przytomność, nie dopadają mnie żadne psychometryczne wizje

ani nie leje się krew - przynajmniej z mojego nosa. Gdybym wiedział o tym wcześniej... Uśmiechnąłem się i dalej pobiegłem truchtem.

Na drodze usłyszałem silnik samochodu.

*

- *Hilfe! Polizei! Polizei!* - wyskoczyłem, machając rękami w stronę świateł nadjeżdżającego auta.

Sędziwa para siedzących w peugeotcie emerytów z przerażeniem wytrzeszczyła oczy. Całkiem siwy dziadek błyskawicznie nacisnął na hamulec. Zapiszczały opony, a maska samochodu zatrzymała się tuż przed moimi kolanami.

Naprawdę byłem zdecydowany jak najszybciej zadzwonić po policję. Wiedziałem, że Bernáthowie nie będą mi za to wdzięczni, ale przecież potrzebowali pomocy.

Otworzyłem drzwi po stronie kierowcy i na migi starałem się wytłumaczyć, że właśnie zostałem napadnięty, okradziony i że jak najszybciej muszę się dostać na posterunek policji. Staruszek zrobił dosyć oziębłą minę, ale jego towarzyszka uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Otworzyła tylne drzwi i łamaną angielszczyzną zapewniła że na pewno mi pomogą.

Z wdzięcznością wgramoliłem się na siedzenie i ponagliłem kierowcę, by dodał gazu. I tak też zrobił.

*

Dziadek musiał być w młodości chyba jakimś rajdowcem, bo tego, co po chwili zaczął wyczyniać z peugeotem, na pewno nie nauczył się z telewizji. Silnik huczał na wysokich obrotach, ale po strzelaniu w zamku brzmiało to dla mnie jak cicha muzyka.

- Jak daleko... - nachyliłem się w stronę emerytów. Nie dokończyłem pytania. Tani odświeżacz powietrza początkowo osłabił mi węch, ale teraz wyraźnie czułem słaby odorek przypominający baterie alkaliczne. Otworzyłem szeroko oczy. Staruszka mogła z mojej miny wyczytać, że myślę tylko o jednym - jak najszybciej wyskoczyć z samochodu.

- Spokojnie. - Położyła swoją małą, pomarszczoną rączkę na mój roztrzęsiony nadgarstek. - Wszystko w porządku. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Jesteśmy... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - aniołami.

- Aniołami - powtórzyłem. Widocznie nie była pewna, jak zareagowałbym na hasło „żywiolak powietrza”.

- Nasi towarzysze już idą twoim współnikom z pomocą - dodała.

Powoli kiwnąłem głową i rozluźniłem zdrętwiałe mięśnie. Zaczynałem się porządnie bać.

- Nie jesteś magiem, prawda? - spytała.

- Nie. - Spróbowałem się uśmiechnąć. - Jestem naznaczony.

Ulżyło mi. Moje serce biło już wolniej i równiej. A więc dobre siły jednak w końcu podadzą człowiekowi pomocną dłoń...

- Naznaczony śmiertelnik. - Spojrzała na mnie z litością. - Domyślaliśmy się.

Nagle dziadek uniósł prawy łokieć i wałnął mnie prosto w czoło. Przekonałem się na własnej skórze, że żywiołaki mają o wiele więcej siły niż ludzie. Jakby prosto w łeb wałnął mnie pędzący pociąg...

Bezwładnie opadłem na siedzenie. Miliony gwiazdek zatańczyły przed moimi oczami.

*

Wąskie i kręte drogi Schwarzwaldy były jakby stworzone do kręcenia reklam z szybkimi i niebezpiecznymi pościgami w supernowoczesnych samochodach. Tamara, która właśnie gnała za srebrzystym rolls-royceem, w tej chwili nie czuła podobnego entuzjazmu. Nie dlatego, że mercedes, którym kierowała, nie miał sponsora i nie był supernowoczesny. Po prostu wiedziała, że gdyby coś jej nie wyszło, to nie dostanie kolejnej szansy na powtórzenie ujęcia. Przez cały czas gapiała się w przednią szybę i była przygotowana, by w każdej chwili lewą nogą nacisnąć na hamulec.

Aziz wiedział, co robi, wybierając tę trasę. Jego kierowca o wiele lepiej znał okolicę, a poza tym na bardziej ruchliwej drodze mieliby już na karku policję. Pędzący sto czterdzieści kilometrów na godzinę rolls-royce i wyciągający mniej więcej tyle samo mercedes, do tego strzały... Może w Boliwii nikt nie zwróciłby na to uwagi, ale mieszkańcy południowych Niemiec od czasu wojny odzwyczaili się od podobnych atrakcji. A Kazhegeldin nie miał ochoty na walkę z policją, rodzina Bernáthów w zupełności mu wystarczała.

Palko opróżnił następny magazynek. Wsunął się z powrotem do samochodu i zaklął ze złością.

- *Fuck! Fuck! Fuck!* Nie ma nawet trzech metrów prostej drogi! Za cholerę nie trafię!

Ze smutkiem rzucił okiem na martwy MG-42. Naładował kałasznikowa i znów wychylił się przez okno.

*

W odzyskiwaniu przytomności pomogło mi chluśnięcie zimną wodą z brudnego garnuszka.

Gdy otworzyłem oczy, aż się skuliłem od nieznośnego bólu głowy i cicho jęknąłem. Marzyłem, aby pożreć całe opakowanie apapu. Krótki przystanek na pogotowiu też nie byłby złym pomysłem. Chciałem dotknąć guza na czole, ale nie mogłem. Przywiązano mnie do krzesła grubą taśmą klejącą - każdą kończynę do innej z czterech metalowych nóżek.

Spojrzałem wokół. Wszystko rozmazywało mi się przed oczami, ale w półmroku rozpoznałem zawalony śmieciem garaż z wczorajszego snu.

„Przynajmniej nie zostałem ukrzyżowany - pomyślałem - ale noc jeszcze długa”.

Naprzeciwko mnie stała niska, chuda jak szczapa staruszka o pomarszczonej skórze z przebarwieniami. Na głowę włożyła blond perukę, a makijaż miała jak jakaś szesnastolatka wracająca z dyskoteki o wpół do czwartej rano. Jej towarzysz, krępy dziadek o szerokich ramionach i zimnych niebieskich oczach miętosił w palcach wyjętą z ust protezę. Z nagich dziąseł staruszka sterczały uchwyty sztucznej szczęki i cztery ostre kły.

Ponownie się wzdrynąłem. Ich niedołęzny wygląd był doskonałym kamuflażem. Żywiołaki zdradzały tylko sprężyste ruchy. I mój guz, który puchnął nad lewym łukiem brwiowym.

Spróbowałem przestawić się na astralny sposób widzenia, ale kolejna fala bólu głowy niemal rozsadziła mi czaszkę. Zdążyłem tylko stwierdzić, że ciała tej dwójki nie różnią się wiele od materialnych. Jeśli oczywiście nie liczyć skrzydeł.

- Niezłe z was aniołki! - syknąłem.

- Wiesz, że jesteśmy aniołami! - zachmurzyła się urażona staruszka. - Tylko że... upadłymi. - Uśmiechnęła się złośliwie i przybrała pogardliwą pozę dziwki, którą przed szemranym hotelem zaczepia natrętny klient bez gotówki.

Poczerwieniałem ze złości. Spróbowałem się uwolnić, ale tylko rozkołysałem krzesło.

„Jak to było? Co mówiła Tamara? Najpierw trzeba zniszczyć ich materialne, potem astralne ciało... - przypomniałem sobie. - Tylko ciekawe jak?!”

Bezwładnie powróciłem do poprzedniej pozycji. Mój umysł znów balansował na granicy świadomości.

- Co z nim? - Dziadek obleśnie się oblizał. - Jestem głodny!

- A ja mam ochotę na dwa szybkie numerki - mruknęła oślizgła harpia.

- Podzielimy się. Jak zawsze: ja krew, ty seks.

Staruszka zrobiła minę znawcy i przecząco pokręciła głową.

- Spójrz na niego. Jest ledwie żywy. Wątpię, czy wystarczy many dla nas obojga.
- Więc jak będzie? Rzucimy monetą?
- Zobaczymy. - Wzruszyła ramionami. - Najpierw sprawdźmy, co to za jeden.

Przez cały czas rozmawiali po rosyjsku. W jakim języku mówili do mnie w samochodzie? Nie potrafiłem sobie przypomnieć. Teraz zaskoczyło mnie, że spierają się przy mnie tak otwarcie. Mój akcent był przecież dowodem, że nie pochodzę z Niemiec. Czyżby nie wiedzieli, że w państwach byłego bloku komunistycznego wszyscy przez parę dziesięcioleci gorliwie uczyli się rosyjskiego?

Z rozmowy wywnioskowałem, że pracują dla Kazhegeldina. Nie przez przypadek znaleźli się w Schwarzwaldzie. Dostali rozkaz, by tam i z powrotem kursować po szosie i likwidować wszystkich obcych magów. W moim przypadku problem polegał na tym, że nie byłem ani Wtajemniczonym, ani przypadkowym przechodniem, tylko kimś dokładnie pomiędzy.

Czekali, aż dojdę do siebie. A ja mogłem sobie ułożyć odpowiedzi na najbardziej prawdopodobne pytania i wymyślić logiczne kłamstwa. Wreszcie zaczęli mnie wypytywać - po angielsku. I to był ich drugi błąd! Znając ten język tak sobie - co było słyhać - mogłem bez wzbudzania podejrzeń długo się namyślać nad kolejnymi zdaniami.

- Jestem podwójnym agentem - wypaliłem i uważnie obserwowałem ich reakcję. - Należę do was. Moim zadaniem było przeniknięcie do Bernáthów. Mój pseudonim Sindbad - przypomniałem sobie awanturnika z „Księgi tysiąca i jednej nocy”. Mohamed wydał mi się zbyt oklepany. - Pracuję dla łącznika Aziza al-Azifa w Koszycach. Znaście Aziza, prawda?

- Tak. - Krwiożerczy dziadunio wyszczerzył zęby. - Skąd jesteś?

- Z Koszyc, ze Słowacji - powtórzyłem.

- Naprawdę? - zapytał pełen wątpliwości. - Kto w takim razie jest łącznikiem Aziza w Koszycach?

Chyba myślał, że jest nie wiadomo jak cwany.

- Alan - odparłem szybko. - Alan Baltazar! „Alezar, ty debilu!” - po chwili skarciłem się w duchu.

Boże, nawet nie potrafiłem zapamiętać nazwiska osoby, przez którą spadła na mnie śmiertelna klątwa! Ale już nie mogę się poprawić.

Dziadek wyraźnie nie był przekonany.

- Nie wierzę mu! - przeszedł na rosyjski.

- Po co zadajesz mu pytania, na które nie znasz odpowiedzi? - podjudziła go starucha.

- Wiesz coś o jakimś łączniku w Europie Wschodniej?

Omów nie poprawiłem demona, że nie we Wschodniej, ale w Środkowej. To wielka różnica! A za chwilę pewnie pomyli Słowację ze Słowenią i zapyta, czy w moim kraju nie toczy się jakaś wojna, kretyn jeden!

- Nie - odparła spokojnie jego towarzysza. - Wiem, że gdzieś w tych okolicach al-Azif przez jakiś czas działał, ale to wszystko. A więc jesteś podwójnym agentem... - Sama zabrała się za przesłuchiwanie. Nachyliła się do mnie, ukazując swój płaski dekolt. - A co z twoją aurą? Naznaczeniem? Wygląda na to, że w końcu cię zdemaskowali, Bondzie!

- Gówno prawda! - warknąłem od razu. Co prawda nie byłem Seanem Connerym, ale pamiętałem cokolwiek z filmów o agencji 007. - Chodziło o kamuflaż. Bez niego bym nie infiltrował. Na początku Bernáthowie chcieli mnie wyleczyć.

- Więc dlaczego tego nie zrobili?

- Nie udało się. To była część planu. Musiałem jak najdłużej ich zatrzymywać. Po co inaczej wlekliby mnie aż tutaj?

- Kto wie...

- Słuchajcie, mam tego serdecznie dosyć! - Tym razem stąpałem po naprawdę cienkim lodzie, ale wierzyłem w to, co robię. W końcu co miałem do stracenia? - Muszę jak najszybciej spotkać się z Azizem i przekazać mu wszystkie zdobyte informacje! A do tego muszę pozbyć się klątwy! Bez jego pomocy w tym przypadku jestem bezsilny. Bądźcie tak łaskawi - wypaliłem z miną, jaką od czasu do czasu robił mój szef w banku, kiedy był zdenerwowany - sprawdźcie sobie to, co powiedziałem, i w końcu mnie, kurwa, puście!

Przypatrywali mi się spode łba. Założyli ręce na piersiach i najwyraźniej oboje intensywnie myśleli, co robić.

- Nie mamy jak tego sprawdzić - powiedziała w końcu starszka. - Al-Azif opuścił Schwarzwald parę minut przed tym, jak nas zatrzymałeś. Nie wiemy, dokąd pojechał i nie możemy się z nim skontaktować. Nigdy nie zostawia namiarów. Gdy nas potrzebuje, sam się odzywa. Jakoś ci, synku, nie wierzę, ale na razie nie będziemy ryzykować. Jutro o świcie dostaniemy wiadomość od szefa. Wielki rytuał nie może odbyć się bez nas! - zarechotała, po czym dodała groźnie: - Ale zapamiętaj sobie, jeśli choćby jedno twoje słowo nie będzie prawdziwe, żywcem obedrzemy cię ze skóry!

Ze wszystkich sił starałem się zachować zimną krew i nie dać po sobie poznać, że żołądek podchodzi mi do gardła.

- Dobranoc! - Obydwoje odwrócili się jak na komendę. Dziadek zgasił światło. Wyszli przez drzwi, które zapewne łączyły garaż z domem, i dokładnie je za sobą zamknęli.

*

Tuż za ostrym zakrętem przed rolls-royce'em pojawił się dalekobieżny autobus. Ponieważ jechał dosyć wolno, kierowca Aziza bez wahania zaczął go wyprzedzać. Tamara poszła za jego przykładem. Nagle oślepiły ich światła jadącej z przeciwka ciężarówki. Rolls-royce'owi udało się prześlizgnąć, ale mercedesowi nie pomógłby nawet dopalacz rakietowy. Tamara nacisnęła na hamulec i w ostatniej chwili wycofała się za autobus. Tir tylko śmignął, a z oddali doleciało do nich nerwowe trąbienie.

- Kretyn! - rzucił Palko.

Dziewczyna ponownie spróbowała wyprzedzić ociężały autobus. Ale kierowca tej kolubryny, zamiast zwolnić, jakby umyślnie zwiększył prędkość. Ignorując jadącego obok szarego mercedesa, nie dość, że zajął całą drogę, to jeszcze zamierzał zrobić szeroki łuk.

„I niech mi ktoś powie, że wielkie auto to nie substytut penisa!” - warknęła w myślach Tamara. Zaczęła histerycznie trąbić, a Palko walić kolbą kałasznikowa w karoserię spychającego ich na bok autobusu. Już od paru sekund lewymi kołami dotykali pobocza. Hałas obudził kilku podróżnych. Zgromadzili się przy oknach, odpychając dzieci, które zabawiały się robieniem min do śmiesznego, bezradnego auta.

Dopiero gdy Palko oddał parę strzałów ostrzegawczych nad dachem autobusu, jego kierowca zrozumiał, że źle ocenił swoje siły. Skierował pojazd na skraj jezdni i zaczął gwałtownie hamować. Prawe błotniki autobusu wpadły na metalową barierkę na skraju jezdni. Przez chwilę dało się słyszeć ogłuszający zgrzyt. Poleciały iskry.

Mercedes śmignął, zostawiając w tyle wrzeszczących w panice ludzi oraz nerwowe wystukiwanie numeru 112 chyba na wszystkich komórkach. Tylne światła rolls-royce'a właśnie zniknęły za lewym zakrętem na skrzyżowaniu jakieś pół kilometra dalej.

*

„Dlaczego, ty debilu, nie wróciłeś w poniedziałek do Koszyc, skoro była okazja? - pytał mnie wciąż upierdliwy, cyniczny głos w mojej głowie. - Dzisiaj ludzie ze Stowarzyszenia złapali współnika Kazhegeldina i może właśnie w tej chwili wyciągnęli z niego, jaką rzucił na ciebie klątwę. A ty gdzie tymczasem jesteś? Utkwiłeś w jakimś garażu i Bóg jeden wie, w jakiej części zachodniej Europy Trzęsiesz się z zimna, obserwujesz astralne ciała much wolno latające nad kupą jakichś resztek pod przeciwległą ścianą. Może to ludzkie zwłoki? No, krzyżyk na drogę! Bez przesady!”

Jeszcze tego mi brakowało, żeby udawać bohatera! Jamesa Bonda! Zyskałem czas do rana - dobrze, ale co potem?

Nie miałem pojęcia. Jeśli, jak twierdziła staruszka, Azizowi rzeczywiście udało się uciec, w takim razie najprawdopodobniej spotkamy się jutro rano. I wszystkie moje kłamstwa wyjdą na jaw. Jeśli dzięki bohaterskiemu skokowi Palka przez okno Bernáthowie w końcu złapali Aziza, to audyencja odpada, ale kłamstwa też przestaną mieć sens. Nie wierzyłem, że Tamara mnie odnajdzie, zanim ewentualne nowiny dotrą do moich oprawców.

Tak czy owak miałem przesrane! Co na moim miejscu zrobiłby MacGyver?

Rozejrzałem się dookoła. W tylnym rogu garażu stał piec z rurą sterzącą w kierunku sufitu i rozklekotany stół kiwający się na przedniej lewej nodze. Poza tym nie widziałem nic oprócz szmat, papierosów, kartonów, niedopałków i gnijących resztek owoców. Może pod nimi...

„Na początek wystarczy, jeśli się uwolnisz” - powiedziałem sobie.

Ale jak tego dokonać bez zdolności Houdiniego albo sztuczek Copperfielda? Znów zacząłem ze złością poruszać nogami. Łatwo było im uciekać nawet z więzienia Alcatraz, jeśli mieli wszystko z góry przygotowane - iluzjoniści, ot co! Byłem ciekaw, co by zrobili na moim miejscu.

Nagle zdołałem podnieść prawe kolano o całe trzy centymetry. Taśma wciąż mocno trzymała, ale rozciągnąłem ją na tyle, że mogłem przesunąć ją po nodze krzesła. Skoro dało się do góry, to równie dobrze pójdzie i na dół!

Przez chwilę główkowałem, jak to wykorzystać. Potem zobaczyłem sposób. Nie uwierzcie, sam bym sobie nie uwierzył, ale naprawdę go zobaczyłem - nagle przed półprzymkniętymi oczami pojawiła mi się instrukcja jak wstać z tego przeklętego krzesła.

Najpierw należało przesunąć je do najbliższej ściany. To nic trudnego. Da się zrobić nawet na betonie. Ale spróbujcie wykonać to ukradkiem i po cichu! Zatrzymywałem się po każdym pięciu centymetrach i nasłuchiwałem z zapartym tchem. Ale stare demony pewnie siedziały przed ryczącym telewizorem i nie zwracały uwagi na podejrzane hałasy.

Kolejne punkty instrukcji nakazywały odwrócenie krzesła tyłem do ściany z zachowaniem około czterdziestocentymetrowego odstepu i ostrożne przechylenie go do tyłu. Opuściłem głowę, oparcie stuknęło o mur. Nie straciłem równowagi. Znów mi się udało!

Przez chwilę nasłuchiwałem. W MTV leciał akurat najnowszy hip-hopowy hicior. Poza tym panowała cisza.

Wspaniale! Przesunąłem tyłek sam brzeg krzesła i powoli, uważając, by nie rąbnąć na posadzkę, zacząłem przesunąć w dół prawą nogę, przy której poluzowała się taśma.

„Jesteś artystą!" - pochwaliło mnie moje drugie ja, gdy koniec metalowej nogi krzesła w końcu wyslizgnął się spoza taśmy klejącej. Teraz, mając wolną jedną stopę, poluzowałem więzy po drugiej stronie.

Przyszła kolej na ręce. Wstałem, dźwigając krzesło na plecach.

W tym wypadku musiałem podjąć inne działania. Taśma była przeciągnięta również przez poprzeczne wsporniki pod siedzeniem i nie dało się jej łatwo ściągnąć. Ale to również wziąłem pod uwagę. Przeszedłem na ukos przez garaż. Chwyciłem w zęby uszko garnuszka, który nie tak dawno pomógł mi odzyskać przytomność. Ukląknęłam na ziemi. Położyłem naczynie na najbliższej śmierdzącej szmacie, dokładnie go w nią zawinałem, po czym wstałem i wziąłem garnuszek pod obcas. Porcelana wydała stłumiony dźwięk.

Zamarłem w bezruchu i znów nasłuchiwałem w napięciu. Wszystko było jednak OK. Dzięki Bogu!

Nosem odwinąłem szmatkę, a z kupki okruchów wybrałem ustami najostrzejszy kawałek.

Potem położyłem się na boku. Przybrałem pozycję, za którą pochwaliliby mnie niejedna samica węża, i zabrałem się za rozcinanie taśmy na prawej ręce.

Trwało to w nieskończoność. W tej chwili oddałbym wszystko za filmowy montaż: bohater jeszcze w kajdanach - bohater już bez kajdan... Rozdarłem sobie kącik ust i skórę na dłoni. Ale i tym razem mi się udało! Miałem wolną prawą rękę, więc wydostanie lewej nie było już problemem.

Cicho postawiłem metalowe krzesło na posadzce i podszedłem do drzwi z grubej blachy. Najwyraźniej nikt nie otwierał ich od wielu lat. Zamek był zardzewiały, zawiasy też. Ale garaż już dawno nie widział samochodu, więc nie było się czemu dziwić.

Chwilę leżałem na podłodze i przez szparę nad progiem wyglądałem na zewnątrz. Niestety tu skończyło się moje szczęście. Drzwi do garażu blokowała przewrócona betoniarka albo jakiś przewrócony kocioł. Z rozczarowaniem wstałem i rozejrzałem się dokoła.

Jak to w garażu - żadnego okna, tylko wąski lufcik półtora metra nad posadzką. Ledwie przepchnąłbym przez niego nogę. Pozostała mi więc ostatnia możliwość. Ta najbardziej niebezpieczna - wyjść drzwiami prowadzącymi do domu, a potem, licząc na szczęście, pędzić przed siebie na złamanie karku.

Westchnąłem i zabrałem się za przeszukiwanie śmieci. Miałem nadzieję, że wymacam jakiś kawałek drutu, który mógłby posłużyć jako wytrych. Znalazłem. I to nawet kilka.

Ukląknęłam i zacząłem ostrożnie grzebać w zamku. Teoretycznie każdy wie, jak to się robi, zwłaszcza że to był najprostszy z możliwych zamków - taki na długi klucz. Jednak robiłem to pierwszy raz w życiu. Nadaremnie wyginałem drut na różne sposoby - zamek nie ustępował.

„A może na siłę? Z kopa?” - pomyślałem. Byłem wystarczająco wściekły, aby rozwalić nawet grubszą dechę. Tyle że nie miałyby to najmniejszego sensu. Hałas przywołałby obydwie demony i w najlepszym przypadku wróciłbym na krzesło. W gorszym i bardziej prawdopodobnym - wymyśliłyby coś bardziej perfidnego.

Kompletnie rozczarowany zwałem się na podłogę po lewej stronie drzwi. Oparłem plecy o zimną ścianę.

„Zastanów się! - mówiłem sobie, gapiąc się w ciemność. - Chodzi o twoją skórę!”

Zacząłem układać w głowie nowy plan.

Jedynym asem, który chowałem w rękawie, mogło być zaskoczenie. Zaraz po tym, gdy rano otworzą się drzwi, zyskałbym dwie, może trzy sekundy, zanim oprawcy zauważą, że się uwolniłem. Małe prawdopodobieństwo, że zdołałbym uciec. Ale zawsze jakieś...

„Gdybym przynajmniej nie miał pustych rąk!” - zazgrzytałem zębami. Niestety, mój bagnet leżał pod przednim siedzeniem w mercedesie, a trzonek od łopaty na posadzce sali balowej w zamku. Poza tym czym byłaby taka broń przeciwko demonom, które jednym palcem potrafią pokonać ważącego pół tony wołu? Zabawkami dla dzieci. Nie, na tych dwoje potrzebowałbym czegoś innego. Wątpiłem jednak, czy coś takiego znajdę pod stertą śmieci w garażu.

„A może...”

Nagle ułożył mi się w głowie nowy plan. Prawdopodobieństwo, że się uda, było jeszcze mniejsze niż skok między zaskoczone demony i sprint przed siebie. Ale przynajmniej nie był to pomysł z tych jednorazowych typu „wóz albo przewóz”!

Z niewielką iskierką nadziei w oczach zrzuciłem z siebie moją skórzaną kurtkę i rozpostarłem ją na posadzce. Kawałkiem porcelany wyciąłem dziurę w poszewce. Potem na czworakach podbiegłem do starodawnego pieca, otwarłem żeliwne drzwiczki i po kilku chwilach grzebania w wyschniętym popiele znalazłem to, czego potrzebowałem.

*

Tamara zawzięcie naciskała na pedał gazu i z wyrazem twarzy buldoga patrzyła prosto przed siebie. Nie interesowało jej nic oprócz ściganego rolls-roycea. Jeszcze nigdy nie działała w tak doskonałej symbiozie z pojazdem, jak w tej chwili z mercedesem Palka. Tył samochodu Aziza wciąż zbliżał się i powiększał. Powoli rozpoznawała najdrobniejsze szczegóły liter i liczb na tablicy rejestracyjnej, wszystkie wgłębienia w karoserii, każdą plamę...

Nagle razem z uszczelką wyleciało tylne okno phantoma i złowieszczo zaskrzypiało pod kołami prześladowców. Tamara po mistrzowsku odzyskała równowagę pojazdu i podniosła wzrok ponad bagażnik rolls-royce'a. W miejscu okna zabłysło parę luf karabinów maszynowych. Masko samochodu Palko zadźwięczała od rykoszetów, które dziewczyna poczuła niemal jak na własnej skórze. W mercedesie zgasły oba światła, a z chłodnicy z sykiem zaczęła wydobywać się gęsta para.

Palko migiem zmienił swój cel z opon na strzelających. Celował w cienie ukryte za karabinami. Udało mu się. Kanonada ucichła zaraz po tym, jak się zaczęła.

Jednak po stracie światła Tamara miała przed sobą tylko nieprzenikniętą ciemność rozświetloną dwoma czerwonymi punktami światła rolls-royce'a. Przerzuciła się na astralne widzenie akurat w momencie, gdy omal nie wjechała w zdradliwą dziurę na drodze. Ale każdy systematycznie jeżdżący po Słowacji opanował podobne triki instynktownie, nawet jeśli nie miał najmniejszych magicznych zdolności. Dlatego, choć widzenie astralne nie pozwala na szybką rejestrację ruchu i kiepsko się sprawdza podczas jazdy, Tamara po chwili znów była tuż za ściganym wozem.

Nagle wszystko zaczęło się idealnie układać. Nawet droga stała się prosta. Gdzieś spoza wzgórza dojrzała reflektory traktora, które oświetliły szosę i wnętrze samochodu Aziza. Palko widział potylicę kierowcy dostatecznie długo, aby mógł spokojnie wystrzelić...

Jednak zaraz potem przed maską mercedesa rozległ się głośny wybuch. Tamara straciła kontrolę nad kierownicą. Samochód kręcił się na wszystkie strony jak oszalały, po czym zjechał na prawe pobocze. Dziewczyna energicznie nacisnęła hamulec, a dla pewności zaciągnęła również ręczny. Wóz dwa razy obrócił się dookoła własnej osi i z trzaskiem skończył w rowie po przeciwnej stronie drogi. Silnik dwa razy zawarczał, a potem definitywnie skończył swój żywot.

Tamara wyszła z tego bez jednego draśnięcia. Palko, który nie zapiął pasów, stracił broń i trochę się potłukł, ale nic poza tym mu nie było. Obydwoje wykopali przednie drzwi, wyskoczyli na trawę, stanęli przed mercedesem... Już chcieli wypatrywać, w którą stronę odjeżdża rolls-royce, ale on był niecałe sto metrów dalej. Jego tył sterczał spod przewróconej przyczepy traktora. Przerażony farmer właśnie z przerażeniem spoglądał na zdewastowany antyk.

Tamara rzuciła kuzynowi swój karabin, a sama wyciągnęła starą dobrą cezetę. Obydwoje podbiegli do zmasakrowanego phantoma. Piętnaście sekund...

Z rolls-royce'a właśnie wygramolił się roztrzęsiony mężczyzna ze zmierzwioną kozią bródką i bezsilnie upadł między rozsypane szkło. Swoich prześladowców zauważył dopiero wtedy, gdy spust ich broni brzęknął mu nad uchem. Zadygotał ze strachu.

- Nie strzelać! - zawołał po angielsku, wymachując rękami nad głową. - Proszę nie zabijać! Nie być ten, którego wy szukać! Ja dostać pieniądze za... za to przedstawienie!

- Kurde, nie wymyślaj! Bądź mężczyzną, tchórze! - krzyknęła Tamara.

- Naprawdę! Wy mi wierzyć! Nazywać się Halim, ja przysięgać! Nie być ten, którego wy szukać!!!

Ze strachu zaczął się jąkać, a łzy strumieniami ciekły mu po twarzy. Tamara kucnęła, chwyciła płaczącego za włosy i szybko odwróciła jego twarz w swoją stronę. Potem splunęła na palec i potarła nim spocone czoło mężczyzny. Z czarnego śladu po trepanacji czaszki została tylko rozmazana smuga.

- *Shit!* - Palko powoli opuścił broń lufą do ziemi. Przez chwilę panowała cisza.

Potem dziewczyna zawyła jak wilk. Szybkim uderzeniem kolby pozbawiła Halima przytomności, brutalnie złapała go za kołnierz, wstała i cofnęła się parę kroków. Gdy udało jej się wrzucić do rowu bezwładne ciało fałszywego Aziza, odwróciła się w stronę phantoma i ze złością wystrzelała całą amunicję w jego bak z paliwem.

Odgłos wybuchu uciszył krzyk protestującego traktorzysty, a eksplozja na kilka sekund oświetliła malowniczy krajobraz Schwarzwald. Jeszcze długo potem wszędzie było czuć odór benzyny.

*

Stoję przed bogato zdobionym lustrem weneckim, które kupił mój ojciec od jakiegoś skompromitowanego lorda, i z niepokojem oglądam dwie czerwone kropki widniejące na mojej szyi.

Wczoraj wieczorem założyłem się z przyjaciółmi, że spędzę noc na cmentarzu Hampstead Hill. Niegdyś spokojne, często odwiedzane przez turystów miasteczko na wzgórzu ostatnimi czasy stało się budzącym obawy i przeklinanym miejscem. Mrozące krew w żyłach opowieści o duchach powtarzane przez ulicznych obdartusów oplotły je niczym odstrasząca pajęczyna i zniszczyły jego dobre imię. Postanowiłem udowodnić moim przyjaciółom, że to czyste brednie. Pochodzę przecież z miasta i najlepiej wiem, jakie jest naprawdę!

Była piękna, bezchmurna noc, a do tego pełnia księżyca. Wziąłem ze sobą podręcznik do algebry, żeby nie zasnąć na ławce jak jakiś bezdomny pijak. Wybrałem niezacienione drzewami miejsce z widokiem na morze i pogrążyłem się w lekturze.

Cmentarz zamyka się na noc, ale nawet wówczas nie jest zupełnie pusty. Ciche kroki dochodzące z alejki nieopodal na początku trochę mnie wystraszyły, ale gdy z ciemności wynurzyła się sylwetka szczupłej dziewczyny otulonej w szary płaszczyk, odetchnąłem z ulgą.

Była blada, a wątłe rączki skrzyżowała na piersiach. Bez wątpienia nie mogła spać, a rozpacz zatruwała jej życie. W srebrzystym świetle księżyca sprawiała wrażenie zmęczonej i chorej, ale jej urok przebijał nawet przez welon smutku.

Zaproponowałem, żeby się przysiadła.

Ostrożnie podeszła bliżej, a jej idealnie wykrojone usta rozjaśnił lekki uśmiech. Delikatnie odsłoniła przy tym perłowe, białe, ostre ząbki. Nieśmiało usiadła obok.

Przedstawiła się jako Lucy.

Potrząsnąłem głową, odpędzając Sen.

„Nie wolno mi zasnąć! Nie wolno!”

Zmęczenie chciało powalić mnie na łopatki, ale ja musiałem być czujny. Siedziałem skulony pod drzwiami i wsłuchiwałem się w otaczającą mnie ciszę, która zapanowała zaraz po tym, jak około wpół do trzeciej demony wyłączyły kablówkę. Czekałem, aż nadejdzie świt...

Pierwszy obraz:

Las na zboczu wzgórza, przy drodze polanka. Dookoła pełno zaparkowanych samochodów. Wszędzie panuje hałas i wrzawa. Słońce znajduje się wysoko na horyzoncie. Może jest druga po południu, nie później.

Patrzę na własne ręce i poznaję, że to ręce wroga.

Przede mną leży nieruchome martwe ciało.

Cięcie.

Drugi obraz:

Obskurny piętrowy dom na skraju miasta. Ciemne poddasze. Wszędzie bałagan. Za oknem mrok. Dziewiąta wieczorem - minęły dokładnie dwie godziny po zmierzchu. Panuje głęboka cisza. Tylko spoza drzwi dochodzi odgłos jadącej do góry windy.

„Jestem ofiarą” - stwierdziłem z przecuciem zbliżającego się końca.

Nagły ból w klatce piersiowej. Strach. Zamęt. Gorąc. Chłód. Ostatnie tchnienie.

Jestem nieruchomym ciałem leżącym na dywanie.

Cięcie.

Pierwszy obraz. Morderstwo. Cięcie.

Drugi obraz. Śmierć. Cięcie.

Morderstwo. Cięcie.

Śmierć. Cięcie.

Morderstwo.

Śmierć.

Dosyć!

Podniosłem się ostatkiem sił. Rozruszałem ręce, kark, znów usiadłem i zacząłem rozcierać zdętwiałe łydki. Chociaż czułem, że krew zaczęła aktywnie krążyć w moich żyłach, głowa i powieki z każdą następną sekundą stawały się coraz cięższe. Wiedziałem, że nie utrzymam ich ani minuty dłużej.

„Wytrzymaj, cholera! Do świtu zostało tylko parę godzin!”

Spróbowałem zająć głowę czymś konkretnym. Zacząłem rozmyślać o tym, jak odnajdę Bernáthów, gdy tylko uda mi się stąd uciec:

„Pójdę na policję czy będę działać na własną rękę? Zamek w Hornberg czy od razu do Heidengraben? Co jest bliżej...”

Wchodzę po stromych, wąskich schodach. W ręce trzymam starodawną latarnię i szukam wieży prowadzącej do długiej i spokojnej przyszłości. Mijam kolejne rozdroża i znów wybieram drogę, którą już szedłem.

Na każdym piętrze wisi czarodziejski obraz.

Chwila wyboru.

Spotkanie z Tamarą w restauracji w Koszycach. Kłamać czy nie kłamać? Karteczka z numerem telefonu Tamary leżąca na szpitalnej kołdrze. Zwierzyć się czy nie zwierzyć? Kolacja w kuchni Tamary. Nalegać czy nie nalegać? Bagaż na taśmie w hali lotniska w Kopenhadze. Ukraść czy nie ukraść? Stacja kolejowa. Wieczorne połączenie czy ranne? Taras Świątyni w Nissebjergu. Ryzykować czy nie ryzykować? Własna twarz w lustrze w łazience posiadłości w Thisted. I brzemienność w skutki decyzja...

Za każdym razem dwie możliwości.

Ale nigdzie nie ma instrukcji, która wskazywałaby właściwą drogę - odkryła to, co kryje się na końcu schodów.

Życie czy śmierć?

Za moimi plecami klóci się dwóch doradców.

Jeden jest biało-czarny, a drugi czarno-biały. Pierwszy zły, ale pełen dobroci, drugi dobry, ale pełen złości. Mądry głupiec Ying i głupi mędrzec Yang. Są do kitu.

A przede mną nowy, nieznany obraz...

Łokieć ześlizgnął mi się z kolana. Głowa opadła na ramię i znów uświadomiłem sobie, że na chwilę zasnąłem.

Potarłem dłońmi zimne policzki, potem oczy. Ziwnąłem ze zmęczenia.

Nagle w nosie poczułem odór zużytych baterii.

Odwrociłem się. Ledwo zdążyłem oderwać wzrok od podłogi, cicho stojąca z boku starucha żelaznym uściskiem omal nie zmiażdżyła mi karku. Zwaliała mnie na podłogę i wykręciła rękę. Znieruchomiałem. Lewa dłoń bezsilnie zaczęła się ślizgać po betonie.

Nagle drzwi prowadzące do garażu błyskawicznie się otworzyły.

- Kurwa, Hiob twoja mać! Przecież się umówiliśmy!

- Przyszłam go skontrolować. - Klęcząca na moich plecach staruszka spojrzała na dziadka. - Uwolnił się! Patrz!

- O, wierzę ci! Ty dziwko! Wiedziałem, że będziesz chciała mnie oszukać!

- Rzeczywiście, nie mogłam się spiknąć z większym debilem! - Przewróciła oczami. - Ślepy jesteś?! Nie widzisz, że omal nam nie uciekł? A kto go wiązał, he? Czyżbym to była ja? Dobrze, że wpadłam na to, żeby zajrzeć tu przed świtem!

Dziadek zamilknął i spode łba spojrzał na krzesło w drugim końcu garażu.

- Co miałeś zamiar zrobić, ptaszynko? - warknęła mi prosto do ucha demonica i mocniej wykręciła rękę.

- Nic. Było mi ciasno! - odpowiedziałem, tłumiąc jęk.

- Aż tak ciasno?! - Napierała coraz mocniej. - Wiesz co, agent? Nie podoba mi się twój ton. Nie podoba mi się twoja arogancja. Nie podoba mi się ani jedno twoje słowo. Z każdą minutą utwierdzam się w przekonaniu, że pieprzysz jak zasrany bolszewik na przesłuchaniu. Nie mogę się doczekać, jakie bzdury będziesz paplać przed al-Azifem! Naprawdę nie mogę się doczekać! A potem... Potem się z tobą policzymy.

DZIEŃ DWUNASTY

PIĄTEK 22.09

Oba żywiołaki oczywiście nie dały mi śniadania, ale i ja nie stałem się częścią ich jadłospisu. Wpakowały mnie do peugeota i wyruszyliśmy na miejsce rytuału Aziza.

Tym razem nie zostałem sam na tylnym siedzeniu. Nieufna staruszka postanowiła mnie przypilnować. I niech ją cholera! Lepiła się do mnie jak dżem. Lewą nogę przerzuciła przez moje lewe kolano, a prawą ręką podparła się o siedzenie zaledwie dwa milimetry od mojego krocza. Na początku mogłem stopniowo się odsuwać. Niestety peugeot nie był duży - wkrótce, próbując zasłonić się sklejonymi znajomą taśmą rękami, siedziałem tuż przy drzwiach z twarzą rozpląszczoną na oknie. Musiałem wyglądać jak glonojad wiszący na szybie akwarium.

Położenie słońca pomogło mi odgadnąć, że kierujemy się z powrotem na północ, a nazwy wsi wyraźnie dawały do zrozumienia, że wciąż jesteśmy w Niemczech. Mimo że na tablicach informacyjnych znów pojawił się Ulm, nie wiedziałem, gdzie jestem. Musieliśmy jechać z innej strony. Choć chwilami okolica wydawała mi się znajoma, nie umiałem określić naszego położenia. Jakiś czas sądziłem, że zbliżamy się do celtyckich ruin w Heidengraben. Swój błąd zrozumiałem dopiero wtedy, gdy zanurzyliśmy się w gęstym lesie, przez który przejeżdżaliśmy z Tamara i Palkiem w środę rano. Kiedy przed sobą zobaczyłem zbcze wzgórza w kształcie ściętego stożka i w dwóch trzecich porośnięte drzewami, rozpoznałem górę Ipf.

A więc jednak tu zacznie się armagedon Aziza...

Łysy czubek kopca sterczał na tle pochmurnego nieba niczym wyschnięty krater wulkanu. Z dołu wyglądał na beznadziejny i opuszczony.

Przynajmniej na razie.

*

Nagle dziadek nadepnął na hamulec i szybko zwolnił. Ze zdziwieniem spojrzałem na drogę, którą zagroziła policyjna zaporą. W sercu poczułem przypływ radości! Wyszczrzyłem zęby i wojowniczo podkurczyłem kolana pod brodę gotowy ze wszystkich sił krzyknąć i walczyć. Byłem pewien, że starucha spróbuje wepchnąć mnie między siedzenia, aby nikt mnie nie zobaczył. Ku mojemu zdziwieniu oślizgła demonica zostawiła mnie w

spokoju i zrećnie zajęła miejsce obok kierowcy. Przez chwilę grzebała w przegródce, potem zaczęła wdzięczyć się do lusterka. Nawet nie próbowała pertraktować.

Jeden z policjantów kazał nam zjechać na pobocze, zatrzymać się i sekundę poczekać. Dziadek tylko wzruszył ramionami. Stróże prawa właśnie udostępniali przeciwny pas szosy jadącej na sygnale ciężarówce. Gdy nas mijają, zauważyłem, że kierowca ma szklany wzrok i tępo patrzy na drogę.

Po demonach wciąż nie było widać żadnych oznak niepokoju.

Gdy policjant pochylił się nad oknem po stronie dziadka, chciałem zawołać o pomoc, ale głos ugrzął mi w gardle. Zrozumiałem, że nie ma się po co wysilać. Spod czapki mężczyzny sterczały zzieleniałe kosmyki rozmierzwionych włosów. Spoglądał na nas wylupiastymi oczami bez wyrazu i pozbawionymi powiek. Śmierdział jak najobrzydliwsze bagno w amazońskiej puszczy.

Wymienił parę zdań z moimi prześladowcami w jakimś niezrozumiałym dla mnie, pradawnym języku. Potem zasalutował i puścił ich dalej. Dziadunio kiwnął głową, po czym dodał gazu.

Nikt nie zwracał uwagi na związanego człowieka gnijącego na tylnym siedzeniu. Prawdopodobnie znaczyłem dla nich tyle samo, co reklamówka z żarciem albo żywa konserwa.

Spuściłem głowę. Opadły mi kolana. Zgasła we mnie ostatnia iskierka nadziei.

*

Objechaliśmy górę Ipf od zachodu, po czym stanęliśmy na poboczu u jej północnego podnóża. Co prawda naprzeciwko rozciągało się szerokie pasmo wyrąbanego lasu, aktualnie służące jako parking, ale strzegące tego miejsca potwory z bagien - tym razem bez mundurów - nie chciały nas wpuścić.

Parking wypełniały ciężarówki Aziza, które pamiętałem z fotografii Tamary, oraz furgonetki i tiry wynajęte od różnych firm transportowych. Właśnie grupy zabiedzonych mężczyzn o śniadych twarzach pod dozorem żywiolaków wyciągały z nich ciężkie skrzynie i pudła. Domyśliłem się, że prawdopodobnie są to zaginionieni uchodźcy. Wyglądało na to, że wszyscy żyli. Ale jeden Allah wie jak długo...

Kierowcy z firm przewozowych ze strachem odwracali wzrok i nerwowo przestępowali z nogi na nogę. Pewnie wielu z nich po cichu przeklinało swoich szefów. Nie mogło ująć ich uwagę, że zanim ktokolwiek z ich kolegów został wypuszczony, musiał poddać się dziwnej

procedurze. Każdy kierowca rozładowanego wozu wchodził do znajdującej się nieopodal cyrkowej budy, a gdy ją opuszczał, nic nie mówił, zaś jego oczy nabierały szklanego rybiego wyrazu. Domyślali się, że powodem nie mogła być nadzwyczaj wysoka premia...

Przeszliśmy na przełaj przez parking, kierując się w stronę drogi prowadzącej na szczyt wzgórza. Nie była szczególnie stroma, ale wspinaczka zajęła nam dobrych dziesięć minut. Dotarliśmy na granicę lasu. Przed nami rozciągał się szeroki widok na okolicę, a moje astralnie rozbudzone zmysły po raz pierwszy zasygnalizowały obecność magicznego węzła.

Porośnięty trawą szczyt Ipfi wyglądał jak spłaszczony czubek piramidy. Tworzyły go trzy ziemne tarasy. Dwa niższe od spodu rozszerzały się i zaokrąglały w kierunku wschodnim, co sprawiało wrażenie, że najwyższy, okrągły taras wyrastał z nich jak kwiat spośród pary liści. Jego idealny kształt podkreślał niski wał - pozostałość po prehistorycznej osadzie albo świątyni. Teraz wyglądał jak krater wygasłego wulkanu.

Na najniższym tarasie w pocie czoła pracowali imigranci. Kopali, wiercili, przekładali, wbijali, stawiali, a w tym, co powoli wznosili, rozpoznałem zwykłą zagrodę dla bydła. Na pierwszy rzut oka było wiadomo, że będzie ich tu wielkie stado. Nie miałem jednak pojęcia, gdzie Aziz zamierza pomieścić cały ten ekwipunek, który rozładowywano na dole.

Na środkowym tarasie stały trzy ciężarowe unimogi pilnowane przez uzbrojonych strażników. Gdy podeszliśmy, wycelowali nam w głowy. Nie zapytali o nic, ale ich lufy cały czas nas śledziły. Masywne skrzynie na pakach tych wozów musiały zawierać coś naprawdę cennego, zastanawiałem się tylko co. Ale nawet włączając astralne widzenie, nie potrafiłem przeniknąć wzrokiem przez grube deski. Dopiero po chwili z jednej skrzyni rozległ się cichy dziecięcy płacz szybko stłumiony matczyną ręką.

Wszystko było już dla mnie jasne - żony i dzieci niewolników Aziza! Doskonali zakładnicy w przypadku rewolty. Zmarszczyłem brwi. Rzuciłem pod adresem strażników parę pikantnych przekleństw. Niechcący zaryłem przy tym nogą w ziemię, zatoczyłem się i upadłem na prawe kolano. Staruszka i dziadek, najwyraźniej zdenerwowani kamiennymi wyrazami twarzy i groźną bronią współplemieńców, ze złością popchnęli mnie do przodu.

W misie krateru na samym szczycie wzgórza trwały przygotowania do ceremonii. Po zachodniej stronie znajdowało się kilka namiotów. Wciąż rozstawiano następne. Tuż za nimi warczał włączony agregat. Na skraju wału z jednej strony stała znajoma zielona furgonetka, a z drugiej przeklęty Rolls-Royce Phantom 1961.

A więc Aziz uciekł...

Spojrzałem spode łba na samochód. Czy mnie wzrok nie mylił?! W karoserii nie było ani jednej dziurki, nawet najmniejszego zadrapania. Żaden serwis na świecie nie dokonałby tego

podczas jednej nocy! Niemożliwe! Nawet za pomocą magii. A więc było tylko jedno wytłumaczenie: Aziz miał dwa rolls-royce'y!

Nie musiałem zgadywać, którego sam używał...

*

Szczęście na dobre mnie opuściło. Westchnąłem i odwróciłem wzrok w kierunku głównej areny megalomańskiego cyrku Aziza. W okręgu stało sześć słupów z halogenami, którymi nie pogardziłyby stadiony pierwszoligowych klubów piłkarskich. Obok znajdowało się dwanaście przeznaczonych dla bydła szubienic z masywnymi żelaznymi hakami i wielkimi kadziami na świeżą krew. Dwadzieścia cztery okrągłe uchwyty na pochodnie pomalowano w rytualne znaki. Na samym środku grupka uchodźców za pomocą unimogów z dźwigami kończyła budowę ołtarza, wysokiego podium oraz ogromnej kukły ofiarnej.

Ze zdziwieniem patrzyłem na wznoszoną powoli postać drewnianego posągu. Pracowały nad nim trzy grupy robotników. Jedna podnosiła znajome sześciokątne prefabrykaty, druga przymocowywała je do przegubów stojącego już szkieletu, a trzecia wypełniała puste miejsca słomą.

Więc do tego było potrzebne to żelastwo! Spojrzałem na leżące niedaleko palety załadowane kanistrami z benzyną. Już wiedziałem, do czego mają posłużyć. Oblał mnie zimny pot.

Od razu przypomniałem sobie fragmenty wykładów Tamary, którymi od samego początku systematycznie mnie gnębiła. Uświadomiłem sobie, że dziś jest wigilia Gabonu - ostatniego dnia równowagi. Idealny czas, by wywoływać astralne istoty. Że stoję na świętym miejscu - tuż przed bramą prowadzącą do świata astralnego. Że ów świat tworzy magiczna przestrzeń, w której oprócz innych żywiołaków śpią groźne i potężne demony. Zdałem sobie sprawę, że właśnie patrzę na pogański posąg, choć trochę zmodernizowany. Na rzeźbę, która przypominała o krwawej ofierze dziękczynnej za pomoc udzieloną celtyckim druidom cofającym się przed wojskami Cezara.

W moich myślach zobaczyłem jednak nie tylko historyczne obrazki - przewidziałem także całkiem niedaleką przyszłość. Wyobraziłem sobie, jak z trzech ciężarówek, które minęliśmy przed chwilą, wychodzą zabiedzeni więźniowie. Oślepieni światłem dziennym, którego nie wiadomo jak długo nie widzieli, ze strachem mrużą oczy i potulnie jak baranki, ze zwieszonymi głowami ustawiają się w kolejce, by podążyć w kierunku obleczonej słomą kukły.

W tym samym momencie przypomniałem sobie o moim imienniku, samozwańczym guru Davidzie Koreshu, i o członkach jego sekty, którzy woleli spłonąć żywcem niż poddać się FBI. Uświadomiłem sobie, że w porównaniu z Kazhegeldinem to był całkiem miły facet. Ofiary, które wybrał Aziz, w przeciwieństwie do ludzi Koresha nie miały wypranych mózgów. To byli zwykli ludzie, bezbronni uchodźcy, którzy dziś po zmroku pójdą na rzeź nie z własnej woli, ale ze strachu przed nabitą bronią. I w przeciwieństwie do uczestników święta równonocny jesiennej, nie będą cieszyć się z winobrania ani tańczyć wokół ognia. Oni będą się piekli...

*

Wnętrze głównego namiotu przypominało kuchnię polową cara Piotra Wielkiego - srebrne samowary, rzeźbione rozkładane stoliki i krzesła, kilka odblaskowych wachlarzy i gobelinów dla ozdoby. Aziz Kazhegeldin odziany w szaty bojara idealnie komponował się z otoczeniem. Fridrich Bursch swój ulubiony mundur esesmana wymienił na uniform niemieckiego oficera z czasów pierwszej wojny światowej. Najosobliwiej wyglądało jednak czterech członków osobistej straży Kazhegeldina. Stali w rogach namiotu odziani tylko w przepaski biodrowe i wyłożone drogimi kamieniami pasy z zakrzywionymi szablami. Skromne ubranie odsłoniło ich błyszczącą ciemnoniebieską skórę i nie ograniczało ruchu skrzydeł.

- Przyszliście za wcześnie! Czego chcecie?! - krzyknął zdenerwowany Aziz do pary starych demonów.

Mnie zaszczycił tylko przelotnym spojrzeniem. Całą swoją uwagę skupiał na wypełnionej przejrzalymi owocami misie, nad którą latały ostatnie w tym roku muchy. Za każdym razem, gdy jabłka przyciągnęły zbyt wiele owadów, pstrykał palcami. Muchy zdychały, by zaraz po prostu wyparować.

Kazhegeldin wybierał z miski najbardziej zgniłe i najśłodsze owoce. Gołymi rękami wyciskał z nich do starodawnego żelaznego kielicha sok i mieszał go z bezbarwnym alkoholem. Chyba czystym spirytusem - zapach czuć było już od wejścia.

Dziadek z nieudawaną pokorą zaczął wyjaśniać dlaczego razem ze staruchą przybyli przed czasem. Nieustannie wskazywał palcem w moim kierunku, nazywając mnie problematycznym więźniem.

- Wyprowadźcie go! - jeszcze bardziej zachmurzył się Aziz, wycierając ręce w serwetkę. Po chwili sięgnął po pełny kielich.

„A więc nie potraktował mnie jak tamtych much" - pomyślałem, gdy starucha wywlekała mnie na zewnątrz. Tymczasem dziadek kontynuował swoją opowieść. I chociaż woskowane płótno namiotu tłumiło jego głos, dziki śmiech Aziza dał mi jasno do zrozumienia, jak zostały przyjęte moje kłamstwa, które przedłużyły mi życie.

O niecałe trzysta godzin i czterdzieści minut...

*

Wyraźnie rozbawiony Aziz wyszedł przed namiot i nonszalancko popijając ze swego kielicha, stanął tuż przede mną.

- Kim jesteś? - zagrmiał po słowacku i dokładnie mi się przyjrzał.

Odwróciłem wzrok. Cóż miałem powiedzieć? Nie przyszło mi do głowy żadne wiarygodne kłamstwo. A wyznanie prawdy oznaczałoby śmierć.

Najwyraźniej moja reakcja nie zaskoczyła Aziza. Uśmiechnął się, pstryknął na swojego szofera, który właśnie polerował przednią maskę rolls-royce'a i dyskretnie wskazał głową na moje nogi. Ubrany w wyprasowany uniform kierowca momentalnie przerwał pracę i niczym posłuszne domowe zwierzątko podbiegł do swego pana. W jego oczach błyszczały iskierki urodzonego mordercy, a palce poruszały się niecierpliwie, jakby wygrywały fortepianowe symfonie. Nie był żywiołakiem, tylko zwykłym człowiekiem. A jednak gdyby ktoś mi powiedział, że w swoje dziesiąte urodziny zarząnął, ugotował i zjadł całą swoją rodzinę, nie wyłączając babci, z miejsca bym mu uwierzył.

Przez chwilę szofer mierzył mnie wzrokiem. Potem zaczął obwąchiwać. Wreszcie chwycił mnie za kurtkę, rzucił na ziemię, przekręcił na brzuch, klęknął na moich udach tuż nad kolanami, chwycił za lewą kostkę i zaczął powoli podciągać ją do mojego tyłka. Ponad dwadzieścia lat temu doświadczyłem już podobnej męki. Nie pamiętałem, jaki towarzyszył jej ból, ale mogłem przysiąc, że z wiekiem nabierał mocy. Niestety kości i ścięgna dorosłego nie są już tak elastyczne jak u dziecka. Człowiek nie czuje samego rozciągania stawów w kolanie. Nadrywanie podtrzymujących je więzadeł można porównać tylko do usuwania zęba przez dentystę-praktykanta.

Zdecydowałem, że nie będę krzyczeć, ale łzy ciekły mi strumieniami. Z bólu aż gryzłem trawę, jednak z wyjątkiem paru jęków nie wydałem żadnego dźwięku. Przecież nie mogłem dać plamy zaraz na początku!

Zastanawiałem się, ile potrafię znieść. Parę złamanych palców u nogi? Kilka wyłamanych paznokci? Naderwanie uszu?

Tortury szybko znudziły Aziza. Pewnie myślał, że jak tylko szofer zada mi odrobinę bólu, to od razu zacznę sypać. Ponieważ tak się nie stało, odwołał kierowcę jednym ruchem ręki, a sam zastosował o wiele szybszą i skuteczniejszą metodę przesłuchania.

Nie, żebym nie wierzył w hipnozę. Zawsze jednak wydawało mi się, że pogrążenie w niej człowieka wymaga długich przygotowań i odpowiedniego nastroju. Myślałem, że jeśli ktoś ma naprawdę silną osobowość, to nie sposób go zahipnotyzować wbrew jego woli.

Myliłem się. Albo nie byłem wystarczająco silny, albo czarodzieje mają na to swoje sposoby.

„Nie wpuścisz go do swojej głowy! - powtarzałem sobie. - Nie powiesz mu ani słowa! Masz dość silną wolę, aby nie dać się zmanipulować! Jesteś przecież...”

Ale gównno!

Wszystko wypaplałem. Nawet sprawy, o których wydawało mi się, że nie wiem.

*

- A więc to ty jesteś tym żalonym fiutkiem, który parę razy pokrzyżował mi plany! Zastrany urzędnik bankowy! Dawid Abel! Kto by pomyślał?! - Mówił po słowacku, abym mógł go zrozumieć. Za każdym razem, gdy rozpoczynał kolejne zdanie, ze złością wymierzał mi cios w głowę albo kopał w zranione kolano. - Ja tu rozmyślam, planuję, podejmuję decyzje, dobrze, że jeszcze od tego nie zwariowałem! Staram się z każdej strony zabezpieczyć przebieg Wielkiego Rytuału i co z tego?! Każę zlikwidować tę natrętą pizdę Tamarę Bernáthową i co się dzieje? Ten fiut bohatercko ratuje jej życie! Jedynego równego sobie nieprzyjaciela, Imricha Bernátha, odcinam od głównego kanału informacji i co następuje?! Ten fiut odkrywa, jak tego dokonałem i naprowadza na ślad całą tę skurwiałą rodzinę! Jeszcze ich jednoczy! Zwykły urzędnik bankowy! Przebiegły lis! Myślisz, że bardzo mnie wkurzyłeś, gnido? - Uśmiechnął się lodowato. - Może tylko na chwilę. Ale bardzo szybko uświadomiłem sobie, że wyświadczyłeś mi przysługę, ty marny fiutku! Gdy Bernáthowie połączyli siły i ruszyli do Niemiec, nadarzyła się idealna okazja, żeby załatwić ich wszystkich naraz. Wyśledzenie ich nie sprawiło mi żadnego problemu. Ani puszczenie fałszywym tropem. W momencie, gdy przekroczyli granicę Badenii-Wirtembergii, dobrowolnie wzięli udział w grze, którą dla nich przygotowałem. Posuwali się posłusznie jak pionki w chińczyku i doszli do wielkiego finału!

To nie była najlepsza wiadomość. Ale - wstyd się do tego przyznać - pokrętna pochwała o pokrzyżowaniu planów Aziza dodała mi otuchy. Okoliczności łagodzące?

- Poświęciliśmy naszą ulubioną rezydencję w hotelu „Schloss”! - kontynuował Aziz. - Wszystko szło jak po maśle. Wierzyłem, że ofiara będzie tego warta. Rzeczywiście mało brakowało... W chwili gdy jeden piekielnie drogi, ale bardzo skuteczny ładunek wybuchowy miał rozerwać na strzępy wszystkich zasranych Bernáthów, kto się pojawił? Znow ten niedorobiony fiut! Kurwa, a przecież podwójnie się zabezpieczyłem!

Nie zrozumiałem, o co mu chodziło w ostatnim zdaniu. Było jednak jasne, że Kazhegeldin przez cały czas wodził nas za nos. Rozgardiasz wokół magicznych miejsc, furgonetka w celtyckim oppidium Heidengraben, śmiertelna pułapka w sercu Schwarzwald...

- Co zrobimy z tym przybłądą? - Czarnoksiężnik po raz ostatni uderzył mnie w głowę. - Nie czeka go szybka śmierć, nie dopuszczę do tego. Na pewno nie! Gnida! Na kukłę z nim! - rozkazał po niemiecku.

Szofer mocno chwycił mnie za ramiona i odwrócił w stronę miejsca rytuału.

- Panie - odezwała się nieśmiało starucha, gdy zrozumiała, co Aziz chce ze mną zrobić - proszę spojrzeć na jego aurę. Nie będzie z niego dobrej ofiary... Gdybyś zechciał, panie, powierzyć nam jego los, z pewnością nie będziesz żałował. Zapewniam, że wymyślimy wolniejszą i bardziej bolesną śmierć!

Wzdrygnąłem się.

Aziz w zadumie pogładził kozią bródkę.

- Tsecc... - syknął. - Cholera, jego aura... Prawie zapomniałem, że ten fiut został przeklęty. I nawet nie spytałem Sidoniusa, jaką klątwę wymyślił dla Bernáthowej. A sam zaczynam być ciekaw...

Naprędce przesunął koniuszki palców od czubka mojej głowy aż do kolan.

- Hmmmmmm, interesujące - pokiwał głową. - Chciałbym to zobaczyć, naprawdę. Dobra, zmiana planów! Nie ma powodu, by nie poczekać z zabiciem tego gada do jutrzejszego zmierzchu. Jego samoistna destrukcja będzie przyjemnym zakończeniem rytuału. A gdyby przypadkiem klątwa nie okazała się śmiertelna... - wyszczerzył zęby - wciąż pozostaje nam wiele możliwości, jak pozbawić go życia. Odprowadź go! - władczym gestem rozkazał szoferowi.

- Dokąd? - zapytał nieśmiało oddany sługa. Kazhegeldin zamyślił się.

- Tsecc... - pokręcił głową. - Zapomnieliśmy o tego typu więźniach. No... Na razie zamknij go w samochodzie, potem zobaczymy. Nie zamierzam marnować przez niego czasu!

- Moglibyśmy... - zaproponowała starucha, ale karcące spojrzenie Aziza uciszyło ją.

- Marsz do namiotu dla waszej kasty! - Ze złością wskazał w bok. - Do zmierzchu nie pokazujcie mi się na oczy!

Dziadek i starucha posłusznie opuścili głowy. Oczekali, aż Aziz zniknie w swojej polowej rezydencji. Potem wyprostowali się i obserwowali spode łba, jak szofer sadza mnie na tylnym siedzeniu rolls-royce'a i dokładnie zamyka drzwi.

Nie mogłem się oprzeć, by wyczarować złośliwy uśmiech.

*

„Ciągle żyję! Ciągle żyję!” - powtarzałem sobie w duchu. Myślę, że gdyby w tej chwili ktoś poczęstował mnie alkoholem, byłbym gotów opić ten sukces.

Radość z faktu, że przeżyłem spotkanie z czarnoksiężnikiem, trwała jednak tylko jakieś dziesięć minut. Potem zrozumiałem, że choć zyskałem kilka następnych godzin, na końcu tej drogi czeka na mnie okrutna śmierć.

Wdepnąłem w bagno. Wczoraj byłem o krok od wyzwolenia. A dzisiaj...

Gdybym chociaż mógł zawiadomić Bernáthów!

Jeden Pan Bóg wie, gdzie oni są. Czekają w Heidengraben na kolejną zieloną furgonetkę? I tak się nie doczekają. Tam żadna już nie przyjedzie. Przez chwilę rozmyślałem, czy wciąż żyją. Strzelanina w zamku nie wyglądała beznadziejnie, ale uwaga Aziza o podwójnym zabezpieczeniu nieustannie wierciła mi dziurę w głowie. Bardzo chciałem, aby pozostali przy życiu.

*

Gdy o wpół do drugiej z północno-zachodniego zbocza doszły do mnie odgłosy strzelaniny, błyskawicznie przylepiłem się do okna samochodu. Miałem nadzieję, że zobaczę coś spoza wału na szczycie góry.

Po niecałych dwóch minutach od pierwszego wystrzału w wąskiej przesiece, która odkrywała kawałek dojazdowej drogi, pojawiło się pięć pędzących samochodów. Srebrne bmw, jasnoczerwony eurovan, białe volvo, zjeżdżony szary mercedes w oplakany stan i czarny ford z nalepką z wypożyczalni...

Przybyli Bernáthowie!

Sądząc po tym, jak rozprawili się z grupą uzbrojonych wodników pilnujących zapory, musieli być w pełni sił. Ucieszyłem się jak wtedy, gdy dwa lata temu na moje konto przelano przez pomyłkę podwójną premię i nikt się nie zorientował.

Znów dobiegły mnie odgłosy strzelaniny. Z pewnością krewni Tamary właśnie przybyli na parking dla ciężarówek!

Rozejrzałem się dookoła z uśmiechem, obserwując, jakie zamieszanie wywołał nieoczekiwany atak wśród świty Kazhegeldina. Ludzie i żywiołaki powybiegali z namiotów tak samo zdezorientowani. Fridrich Bursch, bracia Aziza - Bandar i Fahd, paru członków odnowionej „Gwiazdy Wschodu” w rozwianych obrzędowych szatach, służba i prawie dwa tuziny przeróżnych demonów. Z lękiem rozglądali się dookoła, nie wiedząc, czy powinni wziąć przykład z robotników, którzy już dawno porzucili wszystkie narzędzia i jak jeden mąż padli na ziemię.

Jedyną osobą, która nie straciła głowy, był Aziz. Z pewnością przygotował się i na taką sytuację. Otoczony osobistą strażą stał teraz tuż przed wejściem do głównego namiotu. Wykrzykiwał rozkazy, jednak słudzy tylko biegali chaotycznie, co najwyżej przekazując polecenia przywódcy komuś innemu.

Przywrócenie dyscypliny udało się dopiero braciom Aziza. Kopniakami zgonili wszystkich w jedno miejsce i racząc ich szczodrymi przekleństwami, zapędzili do zielonej furgonetki. Przed jej tylnymi drzwiami już formowała się kręta kolejka. Kierowca otworzył samochód i zaczął rozdawać broń.

Aziz z przerażająco spokojnym uśmiechem na twarzy wszedł na podium przed niedokończonym ołtarzem i rozpoczął rytuał. Zapewne nie ten wielki, o którym mi mówił, ale sądząc po jego oczach - równie groźny.

W powietrzu coś zamigotało. Zagrzmiało kilka słów i usłyszałem głośnie uderzenie gongu gdzieś wysoko ponad wzgórzem. Przez chwilę panowała cisza, a potem w odpowiedzi na wezwanie odezwały się skrzeczące głosy i wycie istot ciemności, które już od kilku dni ściągały do okolicznych lasów. Nadszedł czas, by wykonać rozkaz pana i ruszyć do ataku. Sądząc po coraz ostrzejszej strzelaninie na dole, mogłem się domyślać, że wśród drzew czekały na ten znak setki, a może tysiące żywiołaków.

Po raz pierwszy do słowa doszedł MG-42. Nie minęło dziesięć sekund, a zawtórował mu obrotowy karabin, który wczoraj prawdopodobnie wpadł w ręce Bernáthów. Ciekawe, kto go teraz trzymał...

Chaos na wzgórzu sprawił, że już od pewnego czasu nikt się mną nie interesował. Wiedziałem, że nie będzie lepszej okazji do ucieczki. Na szczęście rolls-royce nie miał centralnego zamka, tylko klasyczne - na klucz od zewnątrz i bolec od wewnątrz. Chociaż prawie zmasakrowałem sobie szczękę, udało mi się go wyciągnąć. Jeśli ktoś uwięzi was kiedyś w samochodzie, zapamiętajcie - lepszy jest klasyk niż nowoczesna wypasiona bryka.

Ostrożnie wyszedłem na zewnątrz i kucając, przesunąłem się za tylny błotnik. Podłożyłem taśmę klejącą pod jego ostry koniec i po kilku mocnych szarpnięciach zdołałem ją rozerwać. Sycząc z bólu, odkleiłem resztki, zgmiotłem w kulkę i wyrzuciłem. Depilacja to nic przyjemnego!

Drzwi furgonetki były otwarte. Kolejka po broń wyraźnie się zmniejszyła, a demony i ludzie zajmowali pozycje na północnym skraju tarasu.

Tymczasem u podnóża góry Ipf pojawiła się cała masa wrzeszczących potworów. Na szczęście uzbrojeni tylko w chwytaki i noże myśliwskie nie stanowili poważnego problemu dla używającego ostrej amunicji komanda Bernáthów. Gorzej z tymi na tarasie! Z rewolwerów, pistoletów, kałasznikowów, skorpionów i uzi podziurawiliby moich wybawców jak sito. I to w najlepszym wypadku. Nie mogłem do tego dopuścić!

„Nadeszła twoja chwila prawdy - pomyślałem w duchu. - Najwyższy czas na coś się przydać!”

„A przynajmniej spróbować...” - cynicznie dodało moje drugie ja.

Zdecydowanym ruchem zdjąłem kurtkę i rozpostarłem ją na ziemi. Zacerpnałem powietrza, po czym odkryłem rozerwaną podszewkę.

*

Czarny trójkąt z wpisanym okręgiem i znakiem Oriona pośrodku na szorstkiej skórzanej powierzchni wyglądał raczej nieforemnie. Niestety, obojętnie jak człowiek by się nie starał, rysunek wykonany po ciemku, węglem, do tego z pamięci, raczej nie ma szans zawisnąć w dobrej galerii. W dodatku ja ten wzór widziałem tylko we śnie - pięć dni temu, podczas ataku psychometrycznego. Siedem gwiazd ustawionych w kształcie klepsydry teraz, w świetle dziennym, przypominało wszystko, tylko nie gwiazdy. Ale podobno w magii najbardziej liczy się intencja!

Pośliniłem palce. Ostrożnie przesunąłem nimi po znaku i trzy razy na głos wymówiłem magiczną formułę:

- Clatu verata nictu!

I naraz przypomniałem sobie coś jeszcze - przecież znałem to zaklęcie, i to nie tylko z mojego snu. Podobne albo takie samo słyszałem... w telewizji! Padło w jakiejś parodii horroru, której tytułu nie mogłem sobie przypomnieć. Jakaś armia, coś z ciemnością...

Przeraziłem się, że nawet wizje mnie oszukały. A jednak powietrze lekko zadrżało, choć mogła to być tylko autosugestia lub przypadkowy delikatny wietrzyk. Ostrożnie wychyliłem

głowę zza samochodu i rozejrzałem się po tarasie. Maszerujące leśną drogą jednostki nagle się zatrzymały.

Rozproszyła się kolejka stojąca przed furgonetką.

Wszystkie demony jak na komendę zaczęły się turlać po ziemi i zwijać w bolesnych skurczach. Niektóre próbowały uciekać w panice, ale zaraz porzuciły broń i jęczały przerażone. Ich lęk udzielił się także ludziom z „Gwiazdy Wschodu”.

- Yes, yes, yes! - zawołałem, widząc, jak otaczające Aziza ciemnoniebieskie ifrity w popłochu unoszą się w powietrze i znikają między chmurami.

Uśmiech na ustach czarnoksiężnika zamarł. Kazhegeldin najwyraźniej poczuł cudze zakłęcie. Zachmurzył się i pstryknął palcami. Jego żywiołaki natychmiast przestały wić się z bólu.

Przerażony spojrzałem na mój magiczny znak. Zabłysnął, a dookoła ponownie zawirowało powietrze. Demony, na chwilę uwolnione zakłęciem Aziza, z powrotem opadły na ziemię.

Następne pstryknięcie.

Następny błysk.

Czarnoksiężnik zrozumiał, że nie tędy droga. Rozpostarł ręce i z zamkniętymi oczami szukał źródła czarów, które wypędzały jego służbę z magicznego miejsca. Spojrzał na szturmujących Ipfa Bernáthów - pewien, że to ich robota. Przez chwilę daremnie sondował przestrzeń pod wzgórzem. Nie wątpiłem jednak, że w końcu odkryje prawdę.

- Tak więc zaczynamy - wydałem sobie rozkaz i dla zachęty poklepałem się po udzie.

Założyłem kurtkę i usiadłem za kierownicą rolls-royce'a. Zwolniłem ręczny hamulec, po czym szybko wróciłem za tylny błotnik. Wystarczyło mi szybkie spojrzenie na Aziza, by stwierdzić, że właśnie obraca się w moją stronę.

- Nie pójdzie ci ze mną tak łatwo - wycodziłem przez zęby i z całej siły pchnąłem samochód całym swoim ciężarem. Rolls-royce zaczął wolno toczyć się w dół ku podium. Po kilku metrach nabrał już szybkości i taranował wszystko, co stało mu na drodze.

Kazhegeldin zbyt późno to zauważył. Mógł tylko odskoczyć - na sekundę przed tym, gdy luksusowy angielski pojazd walnął przednią maską w podium. Przesunął je o dobrych dziesięć metrów, w przepięknym stylu przewrócił już prawie gotową kukłę, a potem ugrzązał pod stertą zwalonych desek. Doprowadzony do ostateczności czarnoksiężnik jak błyskawica ominął świeże pobojuwisko i wściekłym wzrokiem szukał intruza. Kiedy utkwiał spojrzenie na skraju wału, gdzie jeszcze przed chwilą stał rolls-royce, ja, nie zważając na ból w kolanie, na złamanie karku gnałem między namiotami, nieustannie zmieniając kierunek.

Wierzcie mi, że w biegu człowiek nad niczym się nie zastanawia. Zwłaszcza gdy depcze mu po piętach współczesny Sauron, bo właśnie złamaliście mu trzonek od młotka, którym wykuł Pierścienie Władzy. Jak najdalej, jak najszybciej - to wszystko, co przychodzi wam wówczas do głowy.

Ale sukces zależy od przypadku. Tuż przy agregacie mającym zasilać halogeny zderzyłem się ze staruchą.

*

Silne uderzenie odrzuciło mnie w tył, prosto na ścianę jednego z namiotów. Konstrukcja nie wytrzymała i brezent oplatał mnie jak sieć. Gdy po kilku sekundach w końcu zdołałem uwolnić ręce i głowę, zauważyłem, że demoniczna starucha na czworakach pełźnie w moją stronę. Warczała jak wściekły pies, z ust toczyła się jej piana, z oczu ciekła krew, ale pragnienie, by skrócić mi kark, było silniejsze od czaru odpychającego żywiołaki.

Wystarczyło jednak, że dotknęła mojej kurtki z magicznym znakiem. Nie spodziewałem się, że on nadal działa i przez ułamek sekundy staliśmy obok siebie tak samo zdziwieni. Oboje patrzyliśmy na dłoń staruchy - nagle pozbawioną palców, z których zostały dymiące, cuchnące spalenizną kikuty. Potem rzuciła się do szaleńczej ucieczki w kierunku wału. Kiedy jej ciało z wrzaskiem przeleciało na drugą stronę, zrzuciłem z siebie resztki płótna i spojrzałem w kierunku ołtarza.

Aziz z zakłopotaniem rozglądał się dookoła. Biegał tam i z powrotem i to unosił ręce w górę, by wypowiedzieć jakieś zaklęcie, to bezradnie je opuszczał. Niestety, powoli zbliżał się w moją stronę. Musiałem uciekać.

Nie przebiegłem nawet trzydziestu metrów, gdy w jednym z namiotów pojawiła się półmetrowa dziura ze spalonymi brzegami. Tuż obok mojej głowy! Błyskawica? Niebo nie zwiastowało burzy... Nade mną rozległ się dziki śmiech Aziza, a przez dziurę w namiocie dostrzegłem skrzynię rozdzielczą podłączoną do agregatu. Znowu wybuchła tysiącem iskiei.

- Kurwa! - warknąłem.

Ruszyłem w drugą stronę. Jeśli rzeczywiście mnie namierzył, skończyła się zabawa w ciuciubabkę.

Wybiegłem pomiędzy namiotów na pustą przestrzeń. Rozejrzałem się. Nigdzie nie było czarnoksiężnika, ale za to przywitały mnie szeroko otwarte objęcia jego szofera. Jakimś cudem udało mi się go wyminąć. Przyspieszyłem. Byłem już prawie na niższym tarasie, gdy usłyszałem za sobą ciężkie, szybkie kroki. Szofer!

Już widziałem przed sobą leśną dróżkę, ale ból w lewym kolanie z naciągniętymi ścięgnami był coraz większy. Za chwilę noga odmówiła mi posłuszeństwa i zamiast biec, kuśtykałem tylko, jęcząc z bólu. Gdzieś z tyłu rozległ się wściekły śmiech Aziza.

Usłyszałem głośny trzask.

Ze strachem schowałem głowę między ramiona i padłem na kolana. Wrzasnąłem. Teraz ból był już nie do wytrzymania.

Poczułem ręce szofera na plecach. Pchnął mnie, przewrócił na ziemię, ale jego potężne ciało, zamiast upaść na mnie, tylko śmignęło w powietrzu. Ciężko upadł na brzegu tarasu i leżał w bezruchu. Brakowało mu połowy głowy, a z włosów unosił się śmierdzący dym.

Odwróciłem głowę. Zobaczyłem Aziza, który biegł w moją stronę, rycząc jak zranione zwierzę.

Zrzuciłem z siebie kurtkę i zostawiłem ją na trawie. Miałem nadzieję, że zajmie się niszczeniem magicznego znaku, a ja zyskam kilka chwil. Ześlizgnąłem się na niższy taras i boleśnie utykając, pobiegłem w kierunku najgęstszych zarośli.

Uznałem, że resztę Bernáthowie będą musieli załatwić już sami.

*

Sapiąc niczym koń, pędziłem w dół wzgórza. Przeskakiwałem połamane gałęzie, chwyciłem pnie drzew i odbijałem się od nich, omijałem doły. Myślałem tylko o tym, żeby pulsujące z bólu kolano wytrzymało, zanim dotrę na parking. Za plecami znów usłyszałem wściekłe warczenie Kazhegeldina, a magiczne błyskawice co chwilę podpalały opadłe liście. Coraz bliżej. Tuż obok. Z każdą chwilą moja przewaga malała.

Zbiegłem już prawie z połowy zbocza, gdy po prawej stronie, w miejscu, dokąd prowadziła leśna dróżka, rozległy się krzyki i odgłosy walki. Bernáthowie właśnie szturmowali górny taras - mineliśmy się! A ja z moim kolaniem nie miałem szans ich dogonić. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko kontynuować ucieczkę. Dla pewności zmieniłem trochę kierunek, zbliżając się do leśnej drogi. Może krewni Tamary rozdzielili się na więcej grup. Może ktoś został...

Mniej więcej trzydzieści metrów przede mną między drzewami zabłysło coś blaszanego.

„Samochody! Bmw, eurovan i mercedes!" - zgadłem po kolorze karoserii. Stały przed kupą połamanych pni, którymi ktoś zatarasował drogę. Wszystkie drzwi i bagażniki były otwarte na oścież. Pojazdy wyglądały na opuszczone.

Byłem więc sam. Do dupy!

Do samochodów dobiegłem w niecałe dziesięć sekund. Ześlizgnąłem się po niewielkiej skarpie i głośno dysząc, wpadłem na przednią szybę eurovanu.

„Mercedes! Gdzie jest mercedes i jego bagażnik? Szybko!”

- Stój! - zawołał ktoś z lewej strony.

Kątem oka zobaczyłem Danielę z pistoletem w ręce. Przez chwilę celowała w moim kierunku, ale teraz szybko odwróciła lufę w stronę pędzącego za mną cienia.

Za późno!

Aziz jednym ruchem ręki brutalnie odepchnął ją z drogi. Broń wystrzeliła w powietrze. Dziewczyna przekościłkowała nad spróchniałym pniem, uderzyła głową w drzewo i bezwładnie osunęła się na rosnący dookoła mech.

Aksamitny dywanik zalała świeża krew.

„Boże!” - W przyпіlywie złości podbiegłem do bagażnika mercedesa i jednym szarpnięciem wyrwałem jego fałszywe dno.

Skrytka była jednak pusta.

Aziz wyskoczył na drogę. Podeszwy jego okutych butów zaryły się w błocie niecałe trzy metry ode mnie.

To koniec. Staliśmy naprzeciwko siebie. Czarnoksiężnik i urzędnik bankowy.

Zadygotały mi ręce. Po omacku zacząłem grzebać w otwartym bagażniku. Gdybym znalazł chociaż pętlę od podnośnika, jakiś lewar albo śrubokręt!

Czarnoksiężnik zbliżył się o krok...

Palcami wymacałem coś małego. Było blaszane i zimne.

Kazhegeldin podniósł do góry ręce i skierował je w moją stronę.

- Aaaaaa! - wrzasnąłem, krzykiem dodając sobie siły. Nie zastanawiając się nawet, co trzymam w dłoni, rzuciłem tym w Aziza.

Na chwilę czas zwolnił. Mały srebrny walec koziółkował w powietrzu. Potem trafił Aziza prosto w czoło. Jego wytrzeszczone oczy niemal wyszły z orbit, głowa odskoczyła w tył, czarnoksiężnik zatoczył się i cofnął. Przez chwilę ze zdziwieniem kołysał się na piętach, po czym upadł na ziemię.

Oparłem rękę o błotnik, bo kolano już całkiem odmówiło mi posłuszeństwa. Patrzyłem tępo na nieruchome ciało Aziza, na jego pokrwawioną twarz i... i puszkę piwa Carlsberg leżącą obok.

Trwało to całą wieczność. Nie potrafiłem dojść do siebie. Nie rozumiałem, co się właściwie...

- Dawid! - nagle zza stosu przewróconych pni usłyszałem głos Tamary. To wyrwało mnie z odrętwienia.

Dziewczyna już była przy czarnoksiężniku i celowała z cezety w jego głowę. Po chwili kucnęła obok i ostrożnie przyłożyła palec do tętnicy na szyi Kazhegeldina.

Powoli dokuśtykałem do niej.

- Nie żyje - powiedziała.

Nie mogłem w to uwierzyć. Zabiłem Aziza! Ja!!! Własnymi rękami pozbawiłem go życia. Trafiłem tego drania prosto w czoło. W samą dziurę po trepanacji. W najdelikatniejsze miejsce na czole. Puską carlsberga...

Szkoda, że nie miałem siły, by się roześmiać.

A więc nadszedł koniec. Koniec...

- Daniela! Szybko, Daniela! - przypomniałem sobie o zakrwawionych blond lokach dziewczyny, która przed chwilą próbowała mi pomóc. Ze strachem wskazałem drzewo, pod którym leżała.

Tamara błyskawicznie odgarnęła niskie gałęzie krzaków i z pełnym grozy okrzykiem uklękła obok siostry. Zdjęła kurtkę, rozpostarła na ziemi, ostrożnie ułożyła nieruchome ciało Daniela. Przytknęła ucho do jej piersi.

- Co z nią? - wyjąkałem.

Nie doczekałem się odpowiedzi. Tamara zamknęła oczy i drżącymi rękami kreśliła nad ciałem siostry magiczne znaki.

- Co...?

- Regenerujący napój cioteczki - przerwała mi. - Szybko!

Wiedziałem, że jest źle. Nie wiem, jak to zrobiłem, ale jednak dobiegłem do eurovana. Na szczęście termos z chińskim lekarstwem znajdował się na swoim miejscu. Złapałem go, obróciłem się na pięcie i po chwili już byłem z powrotem. Sam wlałem odrobinę płynu między pobladłe wargi Daniela.

Tamara kontynuowała uzdrawiający rytuał.

Kucnąłem obok i przez następne dziesięć minut rozpaczliwie obgryzałem paznokcie. Dzięki Bogu, nie było za późno, by ją uratować. A może właśnie było... Całą siłą woli próbowałem odepchnąć czarne myśli, ale one wracały.

Gdy Daniela w końcu poruszyła się, odetchnąłem z ulgą. Tamara skończyła rytuał. Oparła czoło o ramię siostry i delikatnie ją objęła. Gdy podniosła głowę, zauważyłem, że w jej oku kręci się łza. Po chwili pogładziła włosy Daniela i pocałowała ją w policzek. Wreszcie zaczerpnęła powietrza i wstała, odwracając od nas wzrok.

*

Już dobrą chwilę z górnego tarasu dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów, ale Bernáthowie kontrolowali już sytuację.

Przed kwadransem cioteczka i stryj zajęli się Danielą. Przenieśli ranną do eurovana i czekali, aż odzyska przytomność.

Imrich niósł jakąś starą zniszczoną książkę, trzymając ją tak mocno, jakby mogła sama umknąć mu z rąk. Domyśliłem się, że znalazł Księgę Inwokacji, i uświadomiłem sobie, że już ją widziałem. Rano leżała na stoliku w namiocie Aziza obok misy z owocami. No, ale jemu i tak nie była już potrzebna...

Ze zwieszoną głową siedziałem oparty o oponę mercedesa i czekałem na Tamarę, która na chwilę gdzieś zniknęła.

- Już po nim - stwierdziła po powrocie, gdy kompletnie wyczerpana usiadła na poźółkłej trawie obok mnie. - Pewnie zdajesz sobie sprawę, że teraz wszystko jeszcze bardziej się skomplikowało, Dawidzie? Chcieliśmy go przesłuchać, pamiętasz? Głównie z powodu twojej klątwy.

W milczeniu kiwnąłem głową. Nie musiała mi o tym przypominać.

- Głowa do góry! - Delikatnie klepnęła mnie w kolano. - Wiem, że nic innego nie mogłeś zrobić. Ale i tak - uśmiechnęła się - muszę cię pochwalić za niezły cios. Sama bym sobie lepiej nie poradziła z tym gnojem! Jesteś bohaterem dnia.

- To był przypadek - szepnąłem bez odrobiny radości w głosie i wciąż gapilem się przed siebie.

Tamara westchnęła.

- Moglibyśmy spróbować z nekromancją - kontynuowała z poważną miną - nawet jeśli... Z tego, co wiem, od wieków nikt z mojej rodziny nie próbował budzić zmarłych. Nie wiem, czy Imrich by się na to zdecydował. Może ja... Nie wiem. Muszę to przemyśleć.

- Nie trzeba - potrząsnąłem głową. - To zbyteczne. Aziz nie wie... Nic nie wiedział.

- Naprawdę? - zapytała z rozczarowaniem. - To niedobrze.

- Niedobrze? Alan nic nie powiedział?... - zająknąłem się. Przypomniałem sobie, że zakazano mi wspominać przy Tamarze imię Alezara.

Dziewczyna odwróciła wzrok i westchnęła.

- Alan nie jest sojusznikiem Aziza - powiedziała z przykrością. - Przesłuchanie skończyło się wczoraj o północy. To był fałszywy trop.

- Och, Boże! - jęknąłem. Zwiesiłem głowę i pograżyłem się w totalnej depresji.

- Ten zdrajca zrobił parę niewybaczalnych rzeczy, ale nie jest współnikiem. Niestety.

Milczałem.

- Jeszcze mamy czas, Dawidzie. Ludzie Pauliny ciągle szukają. Jeśli moglibyśmy im jakoś pomóc...

„Tak, mamy czas” - uśmiechnąłem się z goryczą. Do sobotniego zmierzchu zostało niecałe trzydzieści godzin, a my znów tkwiliśmy w punkcie wyjścia. Może świat był uratowany, ale nic nie wskazywało na to, że pozbędę się kłątwy.

- Pomóc? Jak? - zapytałem z rezygnacją w głosie.

- Rozmawiałeś z Azizem?

- Przez chwilę...

- Przypomnij sobie, czy Kazhegeldin albo ktoś z jego ludzi nie powiedział czegoś, co by nam pomogło?

- Nie - odparłem apatycznie. - Powiedział, że sam jest ciekaw, co też przygotował dla ciebie jego współnik. Nie miał zielonego pojęcia o rodzaju kłątwy.

- Nie wspominał jego imienia?

- Jego imienia?

- Imienia współnika.

- Imienia! - podniosłem głowę. Ze wszystkich sił wyteżyłem umysł. Wspominał? A może nie...? - Tak, wspominał!

- No więc...

- Nazwał go, hm... - Ach, ta moja pamięć do imion! Chwyciłem się za głowę i długo rozmyślałem. - Sino... Sido... Sindon...? Nie! Sidonom? Nie.

Jak to było? Jak? Nie umiałem sobie przypomnieć. Cały dygotałem.

- Sidonius! - zawołałem wreszcie z uśmiechem bardziej promiennym niż wybuch bomby atomowej.

- Jesteś pewien? - spytała zaskoczona Tamara, a w jej oczach pojawiło się zdziwienie.

- Tak, jestem!

- Sidonius... - westchnęła. - Takie imię dostał na bierzmowaniu Zdenek.

- Zdenek? - zrobiłem niepewną minę.

- Ten chłopak ze Stowarzyszenia. Okulary w złotych oprawkach, garnitur...

- Ten, co nie wymawia „r”?

- Tak - przytaknęła Tamara. - Chodź, idziemy!

Nie musiała tego dodawać. Już dawno byłem na nogach.

*

- Zdenek! Nie mogę w to uwierzyć! - powtarzała w kółko Tamara. Siedzieliśmy w mercedesie i pędziliśmy na złamanie karku w stronę Stuttgartu. - Jeśli to prawda, to ma się na co cieszyć. Zaczynam rozumieć, dlaczego wspólnik Aziza tak dobrze znał nasze zwyczaje i bez trudu zdobył Księgę Inwokacji. Człowiek z najwyższego grona Stowarzyszenia! To okropne! Niedługo sama przestanę rozumieć ten świat. Z dwojga ludzi, za których wczoraj dałabym sobie głowę uciąć, w ciągu jednego dnia wykluwają się parszywe hieny! Dlaczego?!

- Nie jedziesz czasem za szybko? - Wytrzeszczonymi oczami gapiłem się na jadące z przeciwka samochody, które z piskiem opon ustępowały nam z drogi. Z niepokojem wsłuchiwałem się w jęk silnika. - Zbieżność z imieniem Zdenka może być przypadkowa. Jakim cudem coś takiego udało ci się zapamiętać? Ja nie przypominam sobie własnego imienia z bierzmowania.

- Bo dla ciebie to tylko dźwięk. Słowo i tyle. Ale dla Wtajemniczonego, a właściwie każdego, kto ma do czynienia z magią, imiona są bardzo ważne. To trzecia właściwość rzeczy, ludzi i demonów. Imiona rezonują z obydwoma światami i aktywnie wpływają na losy swoich nosicieli. Są jakby adresem niezbędnym do kontaktu ze wszystkim, co jest żywe lub martwe. Są jakby motorem działania.

„Znów wykład!” - westchnąłem w duchu. No, ale skoro nie przeszkadzało jej to w prowadzeniu samochodu...

- Dla Wtajemniczonego poznanie i zapamiętanie jak największej liczby imion jest równie ważne jak umiejętność odczytywania aury. Żeby jednak odpowiednio używać imion, trzeba najpierw poznać ich znaczenie i pochodzenie. Na szczęście to nie jest zbyt skomplikowane. Wiele pochodzi z łaciny, greki i hebrajskiego. Imię Zdenek ma łacińskie korzenie. Oznacza człowieka z fenickiego miasta Sidon. Sidonius.

- A moje imię?

- Dawid... - Tamara zastanawiała się przez chwilę. - Dawid jest klasycznym bohaterem biblijnym. Po hebrajsku to znaczy umiłowany.

- Naprawdę? - uśmiechnąłem się. Miałem nadzieję, że nie stroi sobie ze mnie żartów. - A co z Tamarą?

- W sanskrycie oznacza przyprawy, a po hebrajsku palmę daktylową. - Wyczarowała piękny uśmiech. - Wybierz, co ci się bardziej podoba. Ale nie wymyślaj żadnych głupich

ksywek, dobrze? Tak na marginesie, Tamarę znajdziesz również w Biblii. Takie imię nosiła córka Dawida.

- Hm. Mam nadzieję, że to nie oznacza pokrewieństwa.

- A właśnie, że tak! - głośno roześmiała się dziewczyna, po czym sięgnęła po komórkę.

Dzwoniła do swojego nowego informatora, a potem na lotnisko w Stuttgarcie. Kazała zarezerwować dwa bilety na najbliższy lot do Koszyc. Tym razem z przesiadką w Wiedniu.

- Dlaczego odsunęłaś Bronka? - zapytałem, gdy wystukiwała kolejny numer.

- Broniek i Petronela są na górze Ipfi - odpowiedziała szorstko. - Potrzebowaliśmy każdego, kto był pod ręką.

Przypomniałem sobie o fordzie z wypożyczalni i kiwnąłem głową ze zrozumieniem. Uważnie słuchałem, jak Tamara szczegółowo informuje stryja o nowym odkryciu i że o szesnastej dziesięć odlatujemy ze Stuttgartu.

Rozmowę z Pauliną zostawiła sobie na koniec. Trwała niewiarygodnie krótko. Chyba cztery sekundy.

Spojrzałem zdziwiony na dziewczynę, a ona z wściekłą miną pokazała mi martwy telefon z całkiem ciemnym wyświetlaczem.

- Bateria padła...

W bezsilnej złości zacząłem walić głową w tablicę rozdzielczą. Pech! Szczęśliwy rzut puszką najwyraźniej wyczerpał cały mój przydział szczęścia.

*

Gdyby nie czary i zdolności Tamary w manipulowaniu ludźmi, tym razem na pewno nie wpuszczono by mnie do samolotu. Wyglądałem trzy razy gorzej niż ostatnio. Miałem brudne włosy i twarz, na czole guz wielkości pięści, siniaki i odarcia po upadku z okna zdołały moje wszystkie kończyny, a spodnie ociekały brudem. Na dodatek przepadł mój paszport i naprawdę nie pamiętam, gdzie go zostawiłem. Jedni potrafią znieść więcej, inni mniej, ale wszystko ma swoje granice. Moje już dawno zostały przekroczone.

Uspokoilem się gdzieś w połowie drogi do Wiednia, gdy dwie tace ze standardową porcją jedzenia i pięćdziesiątka jagermeistra nieco postawiły mnie na nogi.

- Jak wpadliście na to, że Kazhegeldin wybrał górę Ipfi na miejsce rytuału? - spróbowałem wciągnąć Tamarę do rozmowy. Przez ostatnie pół godziny była niezwykle tolerancyjna.

- Dzięki Bronkowi, oponom i tobie - zaczęła tłumaczyć z ochotą, najwyraźniej zadowolona, że znów byłem sobą. - Pamiętasz, jak posłałam Bronka do posiadłości Aziza, żeby zbadał ślady opon?

Kiwnąłem głową.

- To była pierwsza wskazówka. Ustalił wszystkie pojazdy, które ostatnio tam się pojawiły. Porównał je z moimi zdjęciami z farmy. Odrzucił wozy Aziza, a resztę skatalogował. Potem zaczął odwiedzać spółki tranzytowe. Głównie interesowały go pojazdy przeznaczone do transportu bydła, ponieważ takich właśnie brakowało w garażach Aziza. W ten sposób Bronek znalazł w Ulm firmę, która w ciągu paru ostatnich dni pomagała Kazhegeldinowi w przewożeniu jego sprzętu i ludzi. Co prawda nie zdobył informacji o poszczególnych zamówieniach, ale od tej pory nie spuszczał kierowców z oczu. Dzisiaj rano, mniej więcej o dziesiątej, do firmy niespodziewanie wrócił wynajęty samochód, który tuż przed świtem wyruszył na miejsce załadunku. Czekало tam na niego dwanaście jałówek. Nie wykonał polecenia i odjechał. Kierowcy, który w ostatniej chwili zastąpił chorego kolegę, wydało się dziwne, że ma wywieźć bydło z rzeźni do lasu. Nie podobało mu się ani polecenie na piśmie, ani dokumenty weterynaryjne. Wyczuł, że coś tu śmierdzi, i na wszelki wypadek odmówił załadunku. Dzięki niemu odnaleźliśmy stanowisko, w którym Aziz przetrzymywał zwierzęta na ofiarę. Potem trafiliśmy na miejsce rytuału, gdzie mieli je odwieźć.

Zastanowił mnie ten kierowca. Porządny gość i odważny! U nas w banku raczej nikt nie postawiłby się szefowi. Choć fakt, nasze metody omijania praw konsumenckich były jakby... mniej krwiste.

- Równocześnie z samego rana ruszyliśmy twoim śladem, Dawidzie - kontynuowała Tamara. - Na ubraniach z torby, która została w mercedesie, znaleźliśmy kilka twoich włosów. Zastosowaliśmy proste zakłęcie i ustaliliśmy, w jakim kierunku się poruszasz. Było oczywiste, że wpadłeś w ręce współników Aziza. Mieliśmy zamiar wyruszyć ci z pomocą. Zbieg okoliczności sprawił, że nie musieliśmy znów się rozdzielać. Obydwa tropy prowadziły w jednym kierunku. A góra Ipf przecinała ich szlaki.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo ucieszyło mnie wasze przybycie. Przez chwilę myślałem, że wszyscy zginęliście w ruinach zamku.

- To samo myśleliśmy o tobie! Gdzieś ty wczoraj zniknął?

- Zniknąłem? - uśmiechnąłem się. - Nie wiem, co by się stało, gdybym zniknął!

Łyknąłem coli, wygodnie rozłożyłem się na siedzeniu i zacząłem opisywać przeżycia wczorajszej nocy. Opowiedziałem Tamarze o porwaniu, uwięzieniu, o nieudanej próbie ucieczki. Na koniec zaserwowałem jej wszystko, co wydarzyło się na Ipf od wczesnego

poranka aż do strzelaniny. Z dumą obserwowałem jej zaskoczenie. Zresztą sam byłem zaskoczony - głównie tym, że wciąż żyję.

Magiczna sztuczka ze znakiem na kurtce zupełnie ją zatkała. Powiedziała, że jestem ukrytym talentem. I chyba nawet bez ironii.

Gdy skończyłem, dziewczyna opisała mi pościg za fałszywym Azizem, powrót do hotelu i przeszukiwanie zrujnowanego zamku oraz znalezienie Kaya, syna cioteczki, który został ciężko ranny już podczas pierwszego wybuchu. Gdy doszła do nocnej rozmowy telefonicznej z Pauliną, porządnie wyszło jej w gardle.

Podąłem Tamarze resztkę coli i poprosiłem, by dokończyła, w jaki sposób dowiedziała się o przyłapaniu Alana na handlu z demonami i bezczeszczeniu trupów. Interesowało mnie wszystko - jak został zatrzymany przez ludzi ze Stowarzyszenia, jak wyglądało przesłuchanie i kiedy w końcu się przyznał.

- Był moim przyjacielem - mówiła z bólem dziewczyna - bliskim przyjacielem. Przynajmniej tak mi się wydawało. - Patrzyła w ciemność rozciągającą się za oknem. - Gdy zamieszkałam w Koszycach, byłam samotna, szukałam towarzystwa. Wtajemniczeni nie są ludźmi, z którymi możesz umówić się w piątek do knajpy. Może w niedzielę na kawę, ale to wszystko. I wtedy zjawił się Alan. Nieszczęśliwy chłopak, którego nie chciano przyjąć do Stowarzyszenia, ponieważ nosił nazwisko kojarzone z Azizem. W jego szczerej chęci, by stać się jednym z nas, i determinacji, aby wyjść z cienia własnej rodziny, widziałam własne odbicie. Znalazłam pokrewną duszę. Człowieka, którego prześladowają cienie przeszłości. Wstawiłam się za nim w Stowarzyszeniu. Pracowałam nad rozwojem jego magicznych zdolności. Jak jakaś głupia kretyńka! A on? On w międzyczasie knuł za moimi plecami! Wodził mnie za nos, wykorzystał... Jeśli zdradzi cię przyjaciel, Dawidzie, to strasznie boli...

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem i zadałem ostatnie pytanie:

- Co z nim teraz będzie?

- Nic - odpowiedziała Tamara. - Jest w psychiatryku. Z naszych przesłuchań nie wychodzi się o własnych siłach. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do siebie, będzie szczęśliwy, że to przeżył.

*

Na lotnisku w Wiedniu zatrzymaliśmy się tylko na chwilę. Kolejny lot mieliśmy na styk. Tamara trzy razy próbowała dzwonić z automatu, ale telefon pani Pauliny wciąż był zajęty. Zaproponowałem, by spróbowała zatrzymać samolot czarami, ale jej wzrok dał mi wyraźnie

do zrozumienia, że robienie podobnych rzeczy uważa za kompletną bzdurę. Obojętnie, jak pilną miała sprawę.

Podróż spędziliśmy na pokładzie w połowie pustej baryłki z dwoma śmigłami. W środku odczuwało się nawet najmniejsze turbulencje. Nie kontynuowaliśmy rozmowy, tylko ściskaliśmy poręcze foteli, starając się utrzymać kontrolę nad własnym żołądkiem. Odniosłem wrażenie, że w ten wietrzny piątkowy wieczór nawet tybetański lama, zdolny do wręcz nieludzkiej samokontroli i regularnie trenujący biegi długodystansowe po rozżarzonych węglach, miałby niemałe problemy z utrzymaniem równowagi. Do Koszyc przybyliśmy tuż po ósmej wieczorem.

Łysy młodzieniec w kurtce z naszywką White Power, któremu Tamara przerwała rozmowę w budce na parkingu lotniska, próbował chociaż odzyskać kartę telefoniczną, ale jego argumenty zostały skwitowane brutalnym kopniakiem w genitalia.

- Halo? - w słuchawce rozległ się głos Pauliny. Wcisnąłem się razem z Tamarą do klaustrofobicznej budki. Oświetlała ją brudna neonówka. Z zapartym tchem chłonałem każde ich słowo. Paulina już o wszystkim wiedziała. Stryj Imrich dzwonił do niej trzy godziny temu, czyli mniej więcej wtedy, gdy w Stuttgarcie wsiadaliśmy do boeinga 747. Już kilka minut potem zebrali się członkowie Stowarzyszenia i zdecydowali, że należy działać szybko. Wszyscy razem udali się do willi Zdenka, ale w domu na obrzeżach wsi Bogdanowice nie zastali żywej duszy. Sądząc po warstwie kurzu i zasobach w lodówce, od dobrych dwóch tygodni nikt już tam nie mieszkał. Automatyczne oświetlenie zaprogramowano tak, aby co wieczór włączało się na dwie godziny. Linię telefoniczną przeniesiono w inne miejsce.

Najwyraźniej Zdenek gdzieś się zaszł.

- Właśnie szukamy miejsca, z którego telefonuje - tłumaczyła naprędce pani Paulina. - Wais próbuje wyciągnąć z operatorów jego aktualny adres. Podyktuj mi numer budki, z której dzwoniś, Tamaro. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiemy. Czekajcie na miejscu!

- Wygląda to obiecująco - uśmiechnęła się dziewczyna, gdy odłożyła słuchawkę.

- Złapiemy go - kiwnąłem głową.

W naszych oczach błyszczał prawdziwy łowiecki zapach.

Wreszcie Paulina oddzwoniła: Zamkowa 35.

Postanowiłem, że jeśli naprawdę znajdziemy tam Zdenka, inżynier Wais ma u mnie litr słowackiej borowiczki. I to tej z górnej półki!

Chwilę później bieглиśmy w stronę samochodu Tamary. Saab stał tam, gdzie zostawiliśmy go przed tygodniem. O dziwo, nikt go nie ukradł. Przez chwilę zastanawiałem

się, czy to tylko wpływ Unii Europejskiej, czy może jakieś magiczne zabezpieczenie. Jednak nie było czasu o to pytać.

Po chwili brałem udział w szalonej jeździe po uśpionych Koszycach. Pierwsi znaleźliśmy się pod blokiem Zdenka. Zaparkowaliśmy na chodniku tuż przed wejściem. Nie czekając na ludzi ze Stowarzyszenia, podbiegliśmy do ciemnej bramy, z której właśnie wychodził sędziwy mężczyzna z bródką.

- Proszę przytrzymać! - krzyknąłem, żeby przypadkiem nie zamknął nam drzwi przed nosem.

Ochoczo stanął bokiem. Błyskawicznie wbiegliśmy do środka.

- Dobry wieczór, panno Bernáthowa - powiedział, gdy go mijaliśmy, i kulturalnie zdjął kapelusz.

Nagle znajdujący się przede mną cień Tamary niespodziewanie znieruchomiał, a ja o mały włos nie wpadłem dziewczynie na plecy. Uświadomiłem sobie, że czuję od staruszka silny zapach spalenizny. Z niedowierzaniem spojrzałem za siebie.

Starszy mężczyzna już się oddalił. Przez powoli zmniejszającą się szparę w drzwiach zobaczyliśmy, jak znika w ciemności tuż za latarnią i wsiada do czekającej taksówki.

Warknął silnik, zapaliły się światła i po chwili demon odziany w jasnobrązowy płaszcz i pilśniowy kapelusz zniknął nam z oczu.

- Do diabła! - wrzasnęła Tamara. Nie czekając na windę, z furią wbiegła na schody.

Wzdrygnąłem się, przeczuwając najgorsze, i ze strachem poszedłem za jej przykładem.

Zdenek miał się ukrywać na poddaszu.

Dogoniłem Tamarę akurat w momencie, gdy wyciągała dłoń w kierunku dzwonka z wizytówką Marion Rajs. Zdążyłem złapać ją za rękę.

W korytarzu śmierdziało gazem.

Ostrożnie przyłożyła palce do zamka, zmrużyła oczy i skoncentrowała się. Ząbki wewnątrz mechanizmu posłusznie zaskoczyły. Drzwi były otwarte.

*

W mieszkaniu panowała cisza i półmrok. Obydwoje automatycznie włączyliśmy astralne widzenie i ostrożnie weszliśmy do środka.

Przybyliśmy pierwsi, ale i tak za późno. Trup Zdenka leżał na podłodze w pokoju gościnnym. Miał rozwaloną głowę, a skórę pokrywały liczne zwęglone rany - pozostałości po

przypaleniu. Obok dostrzeżyliśmy rozbite okulary, mrożonego kurczaka w celofanie i dziwną, ozdobioną piórami strzykawkę, wyglądającą jak strzała do indiańskiej dmuchawki.

Poczułem mdłości. Zakryłem ręką usta i oparłem się o ścianę. Tamara też błyskawicznie przyłożyła chusteczkę do nosa i pobiegła do kuchni, by wyłączyć dopływ gazu.

„To nie może być prawda! - kręciłem głową ze łzami w oczach. - Jedyne nadzieje na ocalenie! Dlaczego?”

Wiedziałem, że tak będzie. Wczoraj w nocy w półśnie widziałem obydwa trupy: Aziza i Zdenka. A mimo to nie rozumiałem wyraźnych znaków, nie dopuszczałem ich do świadomości.

Z płaczem klęknąłem nad ciałem Zdenka i z rozpaczą walnąłem go w klatkę piersiową.

„Dlaczego? Dlaczego?”

W przestrzeni astralnej, którą do tej pory postrzegałem tylko oczami, zaszumiały jakieś dźwięki.

Znieruchomiałem.

Odgłosy były podobne do tych, które nachodziły mnie podczas ataków psychometrycznych.

Czy to możliwe?

Już dawno minął zmierzch, ale ślady tragedii, która się tu rozegrała, były świeże i wciąż bardzo silne. Czy potrafiłbym uchwycić je i rozpoznać?

Otarłem łzy, ściągnąłem z szyi medalik, odrzuciłem go, a ręce położyłem na martwym ciele.

*

Gniew.

Tajemnicze pudełko - nie da się go otworzyć. Zdenek próbuje już kolejny raz. Ciągłe mu nie wychodzi.

Nagle poczucie zagrożenia. Silne drgania w astralnej powierzchni.

Trzeba szybko ją schować! Szybko! Mały przedmiotek znika w zręcznie zamaskowanej skrytce pod progiem sypialni.

Dźwięk jadącej do góry windy. Przed drzwiami słyhać czyjeś kroki.

Smród siarki i spalenizny.

Strach.

Cisza. Za wizjerem nikogo.

Fałszywy alarm. Chociaż...
Głośne szmery w kuchni. Przyspieszone tętno.
Spokój. To tylko przeciąg otworzył okno.
Zdenek uwalnia metalowe uszczelki, które zaplątały się w zasłonie.
Próbuje zamknąć okno.
Nagle coś widzi. A potem tylko czuje. Silny, kłujący ból w piersi.
Zdenek leży na podłodze w pokoju gościnnym. Jest sparaliżowany. Nad nim stoi demon w jasnobrązowym płaszczu.

Panika!

Gorynycz. Słyszał o nim od Pauliny.

Zdenek woła o pomoc.

Splunięcie. Gorąca ślina opada na rękę Zdenka i przepala mu rękę, mięśnie, aż do kości.

Okrutny ból!

- Pozdrowienia od *gospodina* Kazhegeldina!

To wszystko wyjaśnia.

Zrzucone rękawice. Pałący dotyk. Mnóstwo pałających dotknięć. Wszędzie. Na klatce piersiowej, ramionach, twarzy...

Zdenek wciąż nie może się ruszyć, wypowiedzieć ani jednego zaklęcia, nakreślić w powietrzu żadnego magicznego znaku.

Ból jest nie do zniesienia. Powoli mdleje.

Krótką przerwą w męczarniach.

Ostatnie chwile odzyskanej przytomności.

- Potrzebujecie ochłodzić się, mistrzu Sidonius?

Demon na chwilę znika. Kilka dziwnych odgłosów dochodzących z kuchni.

Wraca. W ręce trzyma zamrożonego kurczaka, którego Zdenek kupił wczoraj w supermarkecie. W zamyśleniu waży go w ręce.

Boże! Niech to już nastąpi...

*

Wydawało mi się, że wpadający przez uchylone okno wiatr przynosi pełną gamę dźwięków.

Wydawało mi się, że sypialnię powoli wypełniają głosy pochodzące z otaczających nas światów.

Wydawało mi się, że słyszę zmarłych, których niegdyś znałem.

A potem usłyszałem JA.

Musiała stać tuż pod oknem. Jej śmiech był taki jasny i nieskalany. Brzmiał tak beztrosko, a jego echo powoli docierało do wieczności.

Wydawało mi się, że jest piękna i zniewalająca.

Wydawało mi się, że obiecuje chwilę nieziemskiej rozkoszy i namiętności.

Wydawało mi się, że to mogłoby być cudowne.

Mogłoby. Gdyby czarującego śmiechu tuż o poranku nie zagłuszył ostry metaliczny dźwięk ostrzonej kosi...

A może wcale tego nie widziałem?

DZIEŃ TRZYNASTY

SOBOTA 23.09

Ostatni atak psychometryczny kompletnie mnie rozłożył. Zanim odzyskałem przytomność, w mieszkaniu Zdenka zgromadziła się już większość ludzi ze Stowarzyszenia. Wysłuchali, co zobaczyłem w mojej wizji, i wysłali mnie do łóżka.

Niewiarygodne. Pozostały mi mniej niż dwadzieścia cztery godziny życia, a oni każą mi iść spać! Ale faktycznie, nie miałem siły na nic innego.

Jednak mimo to przez całą noc nie zmrzyłem oka. W końcu zacząłem chodzić po sypialni Zdenka. Całe życie stanęło mi przed oczami. Zacząłem przyglądać mu się ze wszystkich stron. Wyciągnięte wnioski nie były pocieszające. Żyłem zbyt krótko i zbyt mało intensywnie. Może nie było czego żałować - i tak miałem nudne życie. A jednak nie potrafiłem się poddać. Nie umiałem pogodzić się z faktem, że obojętnie, jak przeżyłem dany mi czas, nadszedł nieubłagany koniec.

„Niektórzy mają szczęście, ty masz pecha” - powtarzał głos w mojej głowie.

To przykre, gdy ostatnia noc przed śmiercią jest jednocześnie tą najgorszą w całym waszym życiu.

- Dzień dobry! - odezwał się nad ranem głos radio-budzika. - Jest sobota dwudziestego trzeciego września, godzina szósta trzydzieści. Wita się z wami Biba. Temperatura powietrza wynosi cztery stopnie, a na cały dzień zapowiadane są przelotne deszcze. Jeśli gdzieś się wybieracie, weźcie ze sobą parasol i ciepło się ubierzcie. Dzisiaj imieniny obchodzą Zdenki, więc pierwszy utwór dedykujemy właśnie im...

„Zdenki!” - zadrżałem. Sięgnąłem, by wyłączyć urządzenie.

Kompletnie załamany i wyczerpany usiadłem na brzegu łóżka. Ze wstrętem powąchałem niezmiennie od kilku dni skarpetki. Z niesmakiem spojrzałem na zakrwawioną i przeupoconą koszulę. O nie, nie założę tego, nawet pod groźbą tortur. Nie chcę umierać ubrany jak parszywy żebrak!

Powoli wstałem i otworzyłem szafę Zdenka. Jego gust kompletnie różnił się od mojego - z całego serca nienawidziłem wykrochmalonych koszul, garniturów i krawatów. Ale moje cyniczne drugie ja podpowiedziało, że jeśli wybiorę coś z jego zasobów, oddam przysługę krewnym. Nie będą musieli przebierać mnie do trumny.

- Już pan wstał, panie Abel? - przerwała moje pesymistyczne rozmyślenia pani Paulina, zaglądając przez uchylone drzwi do sypialni.

- Proszę mi mówić po imieniu, Dawid.

- Z przyjemnością, Dawidzie - uśmiechnęła się. - Słyszałam, że wczoraj, jak przystało na Dawida, trafił pan swojego Goliata prosto w czoło.

- To nic nieznacząca drobnostka - machnąłem ręką, wkładając drogie spodnie z nieprawdopodobnie delikatnej wełny. - Mój prawdziwy Goliat wciąż siedzi mi na karku i zaciska pętlę - poprawiłem ją.

- Zostało nam jeszcze dwanaście godzin. - Zachmurzyła się pani Paulina. - Ludzie z takim charakterem jak pan nie umierają z powodu klątwy zesłanej przez jakiegoś drugorzędnego potwora.

- Znaleźliście coś? - spytałem pełen nadziei.

- Na razie nic konkretnego, ale się nie poddajemy. Niech pan spróbuje jeszcze trochę wytrzymać.

Westchnąłem i kiwnąłem głową.

Gdy wszedłem do kuchni, opowiedziano mi, co się wydarzyło, kiedy spałem. Właściwie - gdy wszyscy myśleli, że śpię.

Tajne mieszkanie Zdenka zostało przewrócone do góry nogami. Ludzie ze Stowarzyszenia przez całą noc grzebali w jego biblioteczkę, biurku, szafach, półkach, nawet w zlewie kuchennym, koszu na pranie i spłuczce w toalecie. Przywitałem się z doktorem Michalko kartkującym okultystyczne książki Zdenka, metalowcem Rene czytającym jego notatnik, inżynierem Weisem oglądającym zbiór magicznych artefaktów i panną Henriettą sprawdzającą numery telefoniczne w notesie zabitego. W mieszkaniu znajdowało się mnóstwo Wtajemniczonych, których nie znałem osobiście.

Tamara siedziała przy laptopie Zdenka i właśnie grzebała w jego plikach. Przywitała mnie najpiękniejszym uśmiechem, jaki tylko potrafiła wyczarować na swojej zmęczonej twarzy, po czym wróciła do pracy. Zauważyłem, że ma podkrążone oczy i jest blada jak ściana.

W ciągu tygodnia niewiele spała, a przez ostatnie dwie noce nawet nie widziała łóżka. Wiedziałem jednak, że dotrzyma słowa - nie podda się, dopóki nie będzie pewna, że zrobiła wszystko, by rozwiązać zagadkę klątwy.

Paulina zdradziła mi, że przed północą razem wypróbowały nekromancję. Obydwie po raz pierwszy w życiu.

Niestety Zdenek nic im nie powiedział. Tylko wybrańcy posiadli umiejętności czytania w myślach zmarłych. W Stowarzyszeniu nie było nikogo takiego. Zapewniła mnie jednak, że trup zdrajcy właśnie znajduje się w drodze na Ukrainę, gdzie mieszka ktoś, który mógłby nam pomóc. Ale czas i odległość działały na naszą niekorzyść.

Zabicie Zdenka było ostatnim udanym pomysłem Aziza.

Domyśliłem się, że gdy tylko czarnoksiężnik zdobył informację o podróży Bernáthów do Niemiec, postanowił osobiście ich zlikwidować. Rozkazał Gorynyczowi, by ten zaprzestał pościgu za Tamarą, i posłał go do ostatniego świadka swoich czynów - współnika z Koszyc, który już raz stchórzył i nie był mu potrzebny.

Czy zrobił to z zemsty? A może ze strachu... Tylko czy Zdenek mógł zagrażać Azizowi? Cóż, kto wie, jakie łączyły ich więzy... W każdym razie Aziz nawet nie przypuszczał, jak to wpłynie na nasz los.

Zwłaszcza na mój.

*

Dopiero podczas mycia zębów przypomniałem sobie o skrytce z tajemniczą szkatułką, która ukazała się w mojej wczorajszej wizji. Ze szczoteczką w ręce i pianą w ustach pobiegłem do Pauliny. Ona jedna nie zajmowała się akurat niczym konkretnym. Zaciągnąłem ją pod drzwi sypialni.

Gdy wspólnymi siłami oderwaliśmy zabezpieczony dwiema śrubami próg, w zakurzonej szparce pod podłogą znaleźliśmy małą szkatułkę z kutego srebra. Po wieczku było widać, że ktoś próbował ją otworzyć.

Paulina z zapartym tchem wzięła skrzyneczkę do ręki. Potem wstała, zamknęła oczy i przez chwilę ostrożnie obracała ją w dłoniach.

Nie minęła minuta, gdy usłyszałem ciche skrzypnięcie. Wieczko otworzyło się, a na dłoń Pauliny upadł ozdobny metalowy przedmiot.

- Zdenek nie umiał tego otworzyć - pochwaliłem jej zręczność.

- Próbował w niewłaściwy sposób - stwierdziła. - Nie trzeba było stosować ani magii, ani siły. Wieczko zamyka zwykły zamek grawitacyjny. Zębki takiego mechanizmu obracają się w zależności od tego, jak się go przechyli. Oczywiście trzeba poznać kod: odpowiednią kolejność obracania szkatułki.

- Pani ją zna? - zdziwiłem się. Kiwnęła głową.

- Co to jest? - wskazałem przedmiot, który wypadł ze szkatułki.

- Trzydzieści srebrników Zdenka - westchnęła i podniosła metalowy przedmiot do światła. - To klucz do grobu Vanickich.

- Grobu Vanickich? - zrobiłem zdumioną minę, choć przypomniałem sobie, że Tamara opowiadała mi o tej tajemniczej krypcie przodków Zdenka. Nie miałem jednak pewności, czy

dziewczyna nie zdradziła mi jednej z tajemnic Stowarzyszenia, więc wolałem udawać głupiego.

- Niektóre magiczne księgi i przedmioty skrywają sekrety zbyt niebezpieczne i potężne nawet dla samych Wtajemniczonych - pani Paulina zdradziła mi to, co już wiedziałem. - Trzeba je przechowywać z dala od niepożądanych osób. Grób Vanickich jest w połowie legendą. To miejsce, do którego członkowie Stowarzyszenia w 1838 roku postanowili schować większość niebezpiecznych artefaktów. Krypta znajduje się na jednym ze starych cmentarzy w Koszycach, a w jej lochach jest potrójnie zabezpieczona komora wyciosana z jednego kawałka granitu. Istnieje tylko jeden klucz, którym można ją otworzyć. W dodatku zadziała tylko wtedy, gdy zaktywizuje się go odpowiednią magiczną formułą. Poza tym przed drzwiami śpi sam Albert Vanicki, prapradziadek Zdenka. To był wielki człowiek! Dla dobra nas wszystkich dał się pochować za życia i w ten sposób wybrał los wiecznego strażnika.

- To brzmi jak jakaś legenda - uśmiechnąłem się.

- Wiem, ale wielu ludzi w nią wierzy. Wcześniej strzegł klucza ojciec Tamary. Po jego śmierci klucz zniknął. Domyślaliśmy się, że wpadł w ręce Aziza. Kazhegeldin na szczęście nigdy go nie wykorzystał. Prawdopodobnie nawet gdyby wiedział, gdzie znajduje się grób, nie odważyłby się tam wejść bez znajomości odpowiedniego zaklęcia. A na emigracji miał mnóstwo innych problemów. Za to dla Zdenka klucz był wielkim skarbem. Uważał go za swoje dziedzictwo i miał pretensje, że zamiast przekazywać go z pokolenia na pokolenie w rodzie Vanickich, klucz otrzymywali kolejni przewodniczący Stowarzyszenia. Zresztą Zdenek nigdy nie krył swojej opinii na ten temat i przez to był poza podejrzeniem. Nigdy nie wpadliśmy na to, że ostatni potomek Alberta mógł spiskować z naszym wrogiem. Biedny chłopiec! Zupełnie go to opętało. Nie wiem, kto z kim skontaktował się pierwszy. Obawiam się jednak, że dla Zdenka zdrada Stowarzyszenia nie była zbyt wysoką ceną za możliwość zdobycia tego skarbu.

Zanim zdążyłem poprosić panią Paulinę, aby choć przez moment pozwoliła mi potrzymać klucz, schowała go do kieszeni i prędko odeszła.

*

Reszta dnia wlokła się niczym żałobny pochód wchodzący na szczyt stromego wzgórza.

Wtajemniczeni nic nie znaleźli. Nawet najmniejszego śladu potwierdzającego kontakty Zdenka z ifritem, który dwa tygodnie temu miał zesłać na Tamarę klątwę. Ani jednej notatki świadczącej o tym, co konkretnie planował.

Po południu wszyscy bezsilnie siedzieli w pokoju gościnnym, palili papierosy, pili kawę, prowadzili jałowe dyskusje. Ja skuliłem się w embrionalnej pozie w bujanym fotelu pod oknem i nawet nie starałem się słuchać, o czym rozmawiali.

Dopiero pojawienie się Bronka i Petroneli trochę ożywiło tę pochmurną atmosferę. O wpół do czwartej wrócili z Niemiec.

Gdy pojawili się w drzwiach, prawie ich nie poznałem. Wyglądali jak weterani z czasów wojny w Wietnamie. Broniek oprócz gipsu na rękę miał świeży opatrunek na uchu i brodzie. Twarz utykającej Petroneli z nogą w szynie zdobił upiorny, choć oryginalny makijaż składający się z mnóstwa plastrów. Wprowadzenie nowego porządku na Ipfi najwyraźniej nie przebiegało bez problemów.

Byli zmęczeni, ale w ich oczach błyszczała iskra, którą dawno straciła reszta koszyckich Wtajemniczonych.

Iskra nadziei.

Petronela zaraz położyła mnie na tapczanie i przesondowała w taki sposób, w jaki robiła to wcześniej Tamara i Aziz. Zachowywała się przy tym, jakby szukała potwierdzenia...

Gdy skończyła, w zadumie spjrzała na skupione twarze pozostałych.

- Nie wiem, jak by to... - powiedziała. - Chyba wiem, co mogłoby pomóc Dawidowi. Przypomniałam sobie o czymś. Nie jestem pewna, ale osądzicie sami.

Wszyscy co do jednego zamilkli.

- Zszokowała mnie zdrada Zdenka - zaczęła wyjaśniać. - Może nawet bardziej niż kogokolwiek innego. Przecież właśnie z nim najczęściej współpracowałam. Ostatnią dobę, odkąd Imrich Bernáth oznajmił, że wyhodowaliśmy na naszym łonie żmiję, myślałam tylko o Zdenku. Jak to możliwe, że byliśmy na tyle ślepi? Dlaczego nic nie zauważyliśmy? Co spowodowało taki zwrot sytuacji? Spryt Zdenka? Jego dwulicowość? A może nasza nierozwaga? Czyżbyśmy go nie docenili? Nie umiałam pogodzić się z tym, że ktoś przez cały czas potrafił wodzić nas za nos. W nocy zanurzyłam się w śnie przewidujących. Próbowałam w jego zachowaniu odnaleźć ukryte znaki, które pomogłyby nam odnaleźć prawdę. W tym, co powiedział lub zrobił, szukałam szczegółów, które nieświadomie mogliśmy przeoczyć.

Na chwilę zamilkła.

„Sen przewidujących? Każdy nazywa to inaczej” - pomyślałem, zerkając na rzeźbioną drewnianą fajeczkę dyndającą ze sznura koralików na szyi dziewczyny.

- Możliwe, że coś znalazłam - wydusiła z siebie. - Pamiętacie, co powiedział Zdenek podczas spotkania Stowarzyszenia zaledwie kilka minut po nieudanej próbie uzdrowienia Dawida? Rozważaliśmy właśnie, jaki związek ma święto Mabon z dniem realizacji klątwy.

Zdenek zażartował, że Dawidowi może wyrosnąć pszeniczna broda Welesa i zmieni się w stracha na wróble. Wszyscy potraktowaliśmy to jak głupi żart. Ale czy to na pewno był dowcip? Co, jeśli to była zreżymowana ukryta prawda? Taka mała wskazówka na przyszłość. Dla tych bardziej bystrych. Po to, by uspokoić wyrzuty sumienia.

Znów nastąpiła krótka pauza na przetrwanie nowin. Wszyscy dosłownie wpatrywali się w usta Petroneli.

- Słowa Zdenka brzmiały jak kompletne brednie, ale gdy powtórzyłam je Bronkowi, nie potraktował ich jako żart...

- Myslava, 1959! - przerwał jej niecierpliwy asystent Tamary. - Może pan, doktorze Michalko, będzie pamiętać to z własnego doświadczenia! Kilka tajemniczych zgonów. Co prawda Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zreżymowało aferę, ale do gazet zdążyło trafić parę sensacyjnych artykułów. Pamięta pan może tytuł jednego z nich: „Strachy na wróble w Myslavie”?

Emerytowany lekarz wytrzeszczył oczy i omal nie zakrztusił się kawą.

- Chryste! Bronek, ale z ciebie geniusz! - zawołał. - Oczywiście, że pamiętam! Myslava pięćdziesiątego dziewiątego roku... Znalaziono chyba siedem trupów. Patolodzy ze szpitala wydziałowego po przeprowadzeniu sekcji zwłok jako przyczynę śmierci podali szczególną formę hipotermii złośliwej albo miotonicznej dystrofii mięśniowej. Nie widziałem ciał na własne oczy, ale w kręgach medycznych jeszcze długo na ten temat toczyły się dyskusje. Kończyny nieboszczyków były skręcone w toniczny skurcz, a ich tkanka mięśniowa była żółta jak ser. Naprawdę wyglądali jak strachy na wróble. Ale diagnoza nie była trafna. Nie chodziło o chorobę, lecz o klątwę...

*

„Strach na wróble!” - wzdrygnąłem się. Wyobraziłem sobie, jak leżę z rozpostartymi kończynami na stole sekcyjnym, a grupa lekarzy bezradnie kręci nade mną głowami.

Doktor Michalko w skrócie opowiedział nam o szczegółach wydarzenia, które wciąż pamiętał. Nigdy nie złapano strzygi, która w pięćdziesiątym dziewiątym roku narozrabiała w Myslavie. Nigdy nie poznano odpowiedzi na pytania, dlaczego i w jaki sposób to zrobiła. Zaklęcie znajdowało się w annałach magii i nie było żadnym rarytasem. Wtajemniczeni spotykali się z nim już w okresie średniowiecza. Może gdyby po II wojnie Stowarzyszenie nie przeżywało kryzysu, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale stało się, jak się stało.

W każdym razie najważniejszą informacją w monologu doktora Michalko był fakt, że śmiertelna klątwa, którą rzuciła nieznana strzyga, należała do rodzaju zaklęć, które w odpowiednim czasie da się odwrócić. Jeśli uwaga Zdenka rzeczywiście była wskazówką, wciąż istniała nadzieja na moje ocalenie.

Modliłem się, żeby nie było za późno...

*

Odnalezienie i przestudiowanie odpowiedniej magicznej formuły zajęło ludziom ze Stowarzyszenia ponad pół godziny. Przygotowanie do rytuału kolejne piętnaście minut, a ustalenie, czy poprowadzi go pani Paulina, czy doktor Michalko - drugie tyle. Nikt z obecnych nie był w stanie przewidzieć, czy próba się powiedzie. Ale ja i tak nie mogłem się doczekać, kiedy w końcu zaczną. Wszystko jedno, jaki będzie finał.

Już poprzedniego dnia postanowiłem, że inżynier Wais ma u mnie borowiczkę. Teraz dołożyłem w myślach jeszcze wór najlepszej marihuany dla Petroneli. Nawet gdybym miał sam nielegalnie wyhodować to zielsko.

Członkowie Stowarzyszenia zapalili tuż przy mojej głowie aromatyczne świece, a na piersi położyli ciężki żelazny amulet. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju gościnnego wkroczył stryj Imrich. Przywitał się naprędce, po czym grzecznie poprosił panią Paulinę, aby poszła z nim do kuchni. Tam cicho rozmawiali.

Czekanie i beczynność doprowadzały mnie do szału. Gdybym wiedział, co mam robić, sam rozpocząłbym rytuał.

Gdy po kilku minutach para magów znów weszła do salonu, ponownie znalazłem się w centrum uwagi. Nikt nic nie mówił, ale zrozumiałem, że spór między Michalkiem a Pauliną jest już definitywnie zakończony. Poprowadzenia rytuału podjął się Imrich.

Jeden z największych magów w Europie zdjął płaszcz, rozpiął i podwinął rękawy koszuli, po czym uklęknął obok tapczanu, na którym leżałem. W jednej ręce trzymał hebanową laskę, a drugą delikatnie położył mi na czole.

Dotyk jego szorstkiej ręki zadziałał niczym uspokajające lekarstwo. Powoli z mojego ciała zniknęło napięcie.

- Niech pan zamknie oczy, Dawidzie - powiedział Imrich Bernáth, a ja uświadomiłem sobie, że pierwszy raz zwrócił się do mnie po imieniu.

Posłuchałem i zapadłem w trans.

*

Tym razem rytuał różnił się od przeprowadzanego w czwartek tydzień temu. Nikt nie chciał rozszarpać mnie na strzępy ani obedrzeć ze skóry. Prawdę mówiąc, gdy się obudziłem, nie potrafiłem opisać słowami, co ze mną robili. Wszystkie moje odczucia były zbyt abstrakcyjne i całkowicie duchowe.

Znajdowałem się w próżni.

Na rozkaz stryja otworzyłem swoje wnętrze i bezboleśnie pozbyłem się wszystkiego, co było związane z moim JA. Aż do najdrobniejszej molekuly i atomu. Pozwoliłem czytać w swej duszy jak w książce, przestałem być człowiekiem z krwi i kości. Na chwilę połączyłem się ze wszechświatem, po czym odzyskałem równowagę. Nie ucierpiałem fizycznie. Gdy jednak usiadłem, poczułem mdłości.

I dziwny niepokój.

Coś się we mnie zmieniło.

- Już po wszystkim? - zapytałem ze strachem i dla pewności włączyłem astralne widzenie.

Działało.

- Nie - pokręcił głową Imrich. - Na razie klątwa nie zniknęła - oznajmił bez ogródek. - Ale jeśli wybraliśmy odpowiednią formułę odczynienia, powinna zadziałać w momencie realizacji przekleństwa. Pewnie ugrzęzła w płaszczyźnie astralnej i walczy. Wszystko okaże się po zmroku.

Tak jakbym słyszał swoją lekarzkę rodzinną, która podobnym tonem zawsze mi oznajmiała, że jeśli nie zadziałają przepisane antybiotyki, to będę miał duży problem. Ciągłe tylko same wątpliwości! Czy naprawdę nie mogę usłyszeć ani jednego optymistycznego zdania? Czy zawsze musi być jakieś „ale”? Czyżby mój przypadek był tak niewiarygodnie skomplikowany? A może cała ta potężna magia ugrzęzła w czasach leśnych szamanów, ignorując postęp w innych dziedzinach? Pięćdziesiąt procent gwarancji! I to mi mówił jeden z najlepszych profesjonalistów?!

Kiwnąłem w milczeniu głową i zrobiłem niepewną minę.

Imrich westchnął.

- Przykro mi. Nic więcej nie da się zrobić - powiedział, pocieszająco klepnął mnie w ramię, i ze wstydem stanął obok pani Pauliny.

*

Senior rodziny Bernáthów przyjechał do Koszyc nie tylko z powodu rytuału. Jak każdy śmiertelnie chory pacjent wolałbym go mieć stale przy sobie, ale on - jak każdy rozchwytywany fachowiec - zaraz zniknął zajęty innymi sprawami.

Po jego wyjściu większość Wtajemniczonych usiadła dookoła stołu w rogu salonu i rozpoczęła cichą dyskusję. Głównym tematem był smok Gorynych, bo właśnie przed chwilą wszyscy dowiedzieliśmy się o śmierci panny Bolette. Zbezczeszczone ciało służącej znalazła cioteczka Jytte tuż po powrocie do Thisted. Nietrudno było się domyślić, kto ją zamordował.

W tym momencie zrozumiałem, jakie to ważne sprawy miał do załatwienia pan Imrich - wyruszył śladem Gorynych. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że dopisze mu szczęście i jak najszybciej znajdzie taksówkę, do której wczoraj wsiadł demon.

Siedziałem na tapczanie. Opierałem głowę o ramię Tamary i wpatrywałem się w zawieszony na ścianie zegar. Krótka wskazówka zwisiała nad szóstką, długa dochodziła do dwudziestej drugiej kreski cyferblatu. W tym momencie było już dla mnie oczywiste, że konwój z ciałem Zdenka nie zdąży na spotkanie z tajemniczym magiem na Ukrainie. Dziesięć minut temu dzwonili ludzie Pauliny. Zostało im więcej niż dwie godziny drogi. Nie docenili źle utrzymanych dróg niedaleko granicy z Mołdawią. Nie mieli szans, by wcześniej niż o ósmej dostać się do nekromanty.

Pozostała mi tylko nadzieja, że Imrich zdołał odczynić klątwę.

- Istnieje życie po życiu? - zapytałem jedynej osoby, która mnie nie opuściła. - Niebo dla dusz. Reinkarnacja? Cokolwiek?

- Nie wiem - odpowiedziała po cichu Tamara. - Gdybym wiedziała, dawno bym ci o tym powiedziała. Znam różne sekrety otaczających nas światów, ale nie ten. Tak jak nikt z Wtajemniczonych.

- Szkoda - westchnąłem.

- Nie myśl, że nie pytaliśmy o to żywiołaków. To tajemnica, która nurtowała już pierwszych duchowych ojców ludzkości.

- A żywiołaki milczą?

- Niektóre milczą, inne odpowiadają. Ale nic z tego, co mówią, nie brzmi jednoznacznie.

- Na chwilę zamilkła. - Wiesz, myślę, że nie na wszystkie pytania można znaleźć odpowiedzi. Może na tym polega sens życia: by ich szukać. Nie, by znać prawdę, ale dążyć do niej. Jeśli ktokolwiek z nas dowiedziałby się, co go czeka, co by mu potem zostało? Jego droga skończyłaby się, zanim by na nią wstąpił.

- Droga! - Uśmiechnąłem się. - To brzmi jak filozofia Wschodu.

- To tylko moje skromne rozważania. - Dziewczyna też rozchmurzyła się na chwilę. - Nie wiem, co ci powiedzieć, Dawidzie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni dowiedziałeś się, że istnieje paralelna rzeczywistość. Odkryłeś, że istnieje magia, istoty wyższego rzędu i świat astralny. Czy nasze spirytualne „ja” po śmierci stanie się jego częścią? Czy powędruje do nieba? Wróci w kolejnym cyklu? Nie wiem. Chciałabym, aby coś z tego było prawdą. I mam nadzieję, że jest.

Nadzieję to ja też miałem. Tylko coraz mniej.

- Może... - Mocno ścisnęła mi rękę, a jej głowa opadła tuż obok mojej. - Może to zależy od każdego z nas. Pamiętasz, co mówiłam o sile wiary? Może, jeśli wierzyć, że śmierć nie jest końcem życia, a twoja wiara będzie dostatecznie głęboka... Kto wie. Może człowiek sam decyduje? Może każdy z nas ma wybór?

- Może - powtórzyłem.

- Nie rozpaczaj, proszę. Nie myśl o najgorszym. Twoja chwila prawdy jest jeszcze daleko. Nie daj się złamać, Dawidzie! Wierz mi, jeszcze nie nadszedł twój czas...

*

Tamara zasnęła.

Jej głos najpierw przeszedł w cichy szept, a potem zmienił się w powolny oddech. Położyłem jej głowę na swoich kolanach i przez chwilę obserwowałem twarz dziewczyny otoczoną figlarnie zmierzwionymi kasztanowymi loczkami. We śnie odzyskała spokój i urok.

Znowu patrzyłem na nią jak wtedy, w restauracji naprzeciwko Banku Tatra. Wróciłem myślami do chwili, w której wszystko się zaczęło.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kogokolwiek obwiniać za wydarzenia ostatnich dni. Wiedziałem, że płacę za własną nierozwagę. To, co zrobiłem dwa tygodnie temu w poniedziałek, było naprawdę głupie i dziecinne.

Ale to był mój wybór. Zrobiłem to z powodu Tamary. Wiem, że gdyby cofnął się czas, bez wahania postąpiłbym tak samo. Nawet gdybym wiedział, jakie piekło mnie czeka. Czasem nawet te najwyraźniejsze znaki na niebie nic nie znaczą.

Człowiek nie kieruje się tylko rozumem, niestety...

Gdy znów spojrzałem na zegar, przeszył mnie dreszcz. Do zmroku zostało tylko parę minut.

Nie potrafiłem opanować drgawek. Nie chciałem obudzić Tamary, więc ostrożnie podłożyłem jej pod głowę aksamitną poduszkę.

Gdy podchodziłem do okna, nogi miałem jak z waty.

Uświadomiłem sobie, że wszyscy Wtajemniczeni w pokoju ucichli i przyglądają mi się w napięciu. Głosy, które słyszałem, pochodziły z astralnego świata. Szumiały w mojej głowie. I... śmiały się ze mnie!

Odsłoniłem firankę. Drżącymi rękami oparłem się o szybę.

Chmury na chwilę odsłoniły słoneczną tarczę, która powoli znikwała za horyzontem. Niebo najpierw stało się oślepiająco karminowe. Po chwili straciło kolor.

Mieszanina szarych, przygnębiających cieni...

Zakręciło mi się w głowie. Spojrzałem w stronę pokoju.

Wszystko falowało - ludzie, stół, fotele, krzesła. Cienie w rogach salonu pociemniały, zgęstniały i łakomie wyciągając swoje dziwaczne kończyny, pełzły w moim kierunku.

- Złapcie go, żeby nie upadł! - ktoś zawołał, ale nie potrafiłem rozpoznać jego głosu.

Ze wszystkich stron otoczyła mnie ciemność i chciwie wciągnęła w swe ramiona.

Szybko i bezboleśnie.

Cierpliwa wybranka w końcu po mnie przyszła. Czarna, bezcielesna, nieskończona.

*

Wszechświat zaszumiał i pogrążył się w milczeniu.

EPILOG
STAŁO SIĘ POTEM

Lustereczko, lustereczko, jak daleko zajdę?
Choć mam korzenie, wciąż spadam.
Drogi łaskawco, zatrzymasz dla mnie miejsce?

Anders Fridén
(In Flames „Free Fall”)

Żadne światło w ciemności
nie jest zbyt słabe, by nie rozświetlić mroku.
Wciąż płonie iskra nadziei,
ale musisz uwierzyć...

Sharon den Adel
(Within Temptation „Deceiver of Fools”)



Wolf był niewiarygodnie głodny. Rozpaczliwie potrzebował many. A w tych okolicach zawsze miał problem ze zdobyciem pożywienia. Pierwszą przeszkodą był język - barbarzyński, słowiański. On nigdy nie nauczył się mówić inaczej niż po niemiecku. Drugi problem stanowiły szosy. Do szaleństwa doprowadzały go dziury w jezdni i słabo oznakowane trasy. Dlatego z zasady przyjmował zamówienia na transport towaru tylko do dużych miast. Za nic nie chciałby zjechać z głównej drogi. Panicznie bał się, że mógłby się zgubić.

Niestety na nędznych autostradach nie trafił na nic, co mogłoby zaspokoić jego głód. Dopiero teraz, tuż przed celem podróży, w połowie drogi między Preschau a Koschau (w tubylczym narzeczu: między Preszowem a Koszycami) w końcu los się do niego uśmiechnął.

Na poboczu stał samochód, a nad jego otwartą maską bezradnie pochylała się śliczna szatynka w dopasowanej sukience. Już od dłuższego czasu Wolf rozglądał się za podobnym okazem. Z ust pociekła mu ślina. Wytrzeł ręką swoją ryżą brodę i drżąc na całym ciele, sięgnął do schowanego za siedzeniem pudełka po skalpel. Chcąc sprawdzić, czy jest wystarczająco ostry, skaleczył sobie palec. Po chwili z diabelskim uśmiechem na twarzy cicho jęknął i odłożył skalpel na miejsce.

Wolf zatrzymał ciężarówkę tuż za zepsutym samochodem. Wskoczył z kabiny i rycersko zapytał kobietę, w czym mógłby jej pomóc. Widząc go, odłożyła telefon. Zapewne dzwoniła do najbliższego serwisu lub znajomych - będzie musiał się pospieszyć.

Miał szczęście, znała niemiecki. Podobno z powodu jakiejś błahostki musiała na chwilę zatrzymać się na poboczu, a potem nie zdołała odpalić samochodu.

Idealna ofiara!

Błyskawicznie przyporządkował ją do odpowiedniej grupy ludzi. Było wielce prawdopodobne, że właśnie stała przed nim właścicielka firmy lub przedstawiciel handlowy. To się po prostu rzucało w oczy. Miała na sobie drogi żakiet i buty, gustowny makijaż, a

włosy wymodelowane w dobrym salonie - fryzura wyglądała naturalnie, a jednak z pewnością wytrzymałaby następne trzy dni. Poza tym jej samochód... Saab - spory luksus jak na ten mały i raczej biedny kraik.

Wolf z uśmiechem zaproponował pomoc. Kierowcy ciężarówek są przecież znani jako fachowcy od wszystkiego, co ma cztery kółka i jeździ.

Nerwowo spojrzała na zegarek, a potem uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Pochylił głowę nad maską, udając, że sprawdza stan silnika.

Ucieszyła go naiwność kobiety, ale wołał być ostrożny. Nie mógł pozwolić sobie na zbyt ni pośpiech. Te samotne kobiety sukcesu zazwyczaj noszą przy sobie niebezpieczne spreje albo paralizatory. Nie miał ochoty na podobne zaskoczenie.

Kątem oka ocenił zawartość jej kieszeni. Nie zapomniał przy okazji zerknąć na kuszące kształty ofiary.

„W porządku, jest czysta - ocenił. - Jeśli ma jakąś broń, to zostawiła w wozie. A do niego już się nie dostanie. Nie zdąży... Tylko ten telefon... Nie, też nie zdąży”.

Nagle szatynka zrobiła krok w tył.

Niemożliwe, że zauważyła jego wnikliwe spojrzenie. Czyżby nieświadomie jęknął z głodu?

Rozejrzał się błyskawicznie.

Jedna przedpotopowa skoda jadąca z naprzeciwka. Oprócz tego pusto. W mgnieniu oka znalazł się przy niej.

Patrzyła z przerażeniem. Próbowwała uwolnić ramię z silnego uścisku. Gdy zrozumiała, że nie da rady, zaczęła okładać Wolfa pięściami i rozpaczliwie krzyczeć w ojczystym języku.

- Nie bój się, Liebling - powiedział i wyszczerzył do niej swoje kły. Zawsze najbardziej podobała mu się ta chwila...

Nagle coś uderzyło Wolfa w czoło.

Cios był nieoczekiwany i silny. Odrzuciło go w tył, omal nie urywając mu głowy. Krew zalała oczy. Upadł na ziemię.

„Cóż, do licha?!” - zdziwił się, próbując wstać.

Po chwili znów był na nogach. Ale jego materialne ciało nie podniosło się razem z nim. Leżało w kałuży krwi na autostradzie.

- Scheisse! - warknął i odwrócił się do kobiety.

Patrzyła mu hardo w oczy i już nie drżała. Wolfowi nie podobał się ten wzrok, bardzo nie podobał...

*

- Na co czekałeś?! Trzy razy dawałam ci znak! - krzyknęła wkurzona Tamara, gdy dotarłem na pobocze.

- Zdrętwiały mi palce! - warknąłem, ciężko dysząc. - Od trzech godzin leżałem w zaroślach! - Rzuciłem broń na tylne siedzenie saaba. - Wiesz, że nawet z lornetką kiepsko strzelam.

- Nie gadaj, tylko mi pomóż!

- Na przyszłość ty będziesz strzelać, a ja zatrzymywać samochody! - złapałem ciało demona pod pachy, ona za nogi. Wsadziliśmy je do bagażnika. Z przestrzelonej głowy żywiołaka wciąż ciekła krew.

- Genialny pomysł! Na pewno się uda! Już to widzę! - Upchnęła jego długie nogi. - A nie lepiej by było, gdybyś na przyszłość brał rękawiczki?

- Nie wziąłem, bo zapowiadali ocieplenie! - Wytarłem brudne ręce w koszulę demona. Ze złością zamknąłem bagażnik. Zmarznięte dłonie wsadziłem do kieszeni.

- W środku grudnia?!

- Tak.

Znieruchomiała w otwartych do połowy drzwiach samochodu i zmierzyła mnie wzrokiem.

Potem oboje wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

- Któregoś dnia, Dawidzie, ja przez ciebie zwariuję - powiedziała. - Jesteś jak małe dziecko.

- Znasz faceta, który nie jest?

- Nie. I dlatego masz szczęście.

Wsiedliśmy do saaba.

Tamara odpaliła wóz i z uśmiechem skierowała się na najbliższe wysypisko śmieci. Po trzech minutach byliśmy już przy bocznej drodze na Dreniów. Zjechaliśmy z autostrady.

Musielśmy jeszcze wrócić i zająć się ciężarówką. Ale to potem. Mieliśmy czas. Najważniejsze to jak najszybciej spalić ciało.

I ogrzać się przy ogniu...

- Mówiłam ci już, że dziś rano dzwoniła Daniela?

- Nie.

- Stryj się odezwał. Podobno depcze Gorynychowi po piętach. Wytropił go gdzieś na Białorusi.

- Tak jak tydzień temu w Polsce, a przed miesiącem w Rumunii?

- Bardzo zabawne! - skarciła mój cyniczny ton. - Wiesz, że robi, co może.

- Wiem, wiem - kiwnąłem głową. - Tylko ten demon jest nieuchwytny.

- Niestety. Ale nie może wiecznie się ukrywać. - Pokręciła przy radiu, łapiąc stację dla kierowców z wiadomościami o patrolach z radarami. My co prawda tym razem nie jechaliśmy za szybko, ale za to w bagażniku wieźliśmy trupa.

- No tak, musimy mieć nadzieję - mruknąłem.

- Zastanawiałeś się nad moją propozycją? - zapytała po chwili trochę poważniejszym tonem.

- O możliwości Wtajemniczenia? - Podrapałem się po głowie.

- Tak.

- Hm... Nie. Nie zastanawiałem się nad tym. Nie wiem. Myślałem, że zakończymy sprawę tej mojej klątwy i wrócę do banku. Nie jestem pewien, czy pasowałbym do tej waszej tajnej organizacji. W sumie to nawet nie wiem, czy chcę.

- Nie musisz być członkiem Stowarzyszenia - powiedziała z rozczerowaniem Tamara. - Myślałam, że może chociaż na krótki czas poświęciłbyś się magii. Szkoda marnować twojego talentu.

- Rozumiem, ale wiesz... Wreszcie czuję się jak normalny człowiek. Nie budzę się ze strachem, że ktoś mnie porwie, okaleczy albo wyssie ze mnie krew. Nie zasypiam ze świadomością, że za parę dni czeka mnie śmierć. Nie muszę obwąchiwać ludzi, zanim podam im rękę. Nie miewam proroczych snów. I co wieczór nie krwawię niczym zatruta hormonami Amerykanka z przyspieszoną menstruacją.

Musiałem potrzymać kierownicę, bo Tamarą wstrząsnął atak śmiechu. Gdy doszła do siebie, spojrzała na mnie znacząco.

- Nie wspomniłeś o astralnym widzeniu.

Uśmiechnąłem się niewinnie.

- Masz rację - przyznałem. - Trochę mi tego brakuje.

- Zastanów się. Nie zmuszam cię do życia pełnego przygód - przekonywała mnie dalej. - Możesz nauczyć się tego, co będzie ci odpowiadać. Rozwijając te zdolności, które będziesz chciał. I wykorzystywać je dla własnych potrzeb. Po ostatnich wydarzeniach byłoby ci łatwiej. Nie szkoda zmarnować takiej okazji?

- Szkoda. Ale bycie normalnym, przeciętnym obywatelem Unii Europejskiej też ma swoje plusy.

- Przeszedłeś ciężką próbę i wyszedłeś z niej prawie bez szwanku - powiedziała ze śmiertelną powagą. - Ale czy jesteś pewien, że potrafisz wrócić do normalnego życia?

- Hm...

- Wiem, trudno żyć ze świadomością, że z każdej strony otaczają nas nadprzyrodzone siły i magiczne istoty. Ale nie da się o tym tak łatwo zapomnieć. Powiedziałam ci kiedyś, że gdy człowiek przekroczy granicę astralnego świata, nie potrafi definitywnie wrócić do normalnego życia. Nie chcę odbierać ci złudzeń. Sam zadecydujesz. Ale gdybym nie była przekonana, że masz siłę, aby się z tym zmierzyć i pogodzić, nie należałabym.

- Nie zrozum mnie źle - westchnąłem. - To brzmi zachęcająco. Któż by nie chciał zostać czarnoksiężnikiem? Tylko ja już wiem, że nie ma nic za darmo, Tamaro. I nie mówię tego jako urzędnik bankowy...

- Nie ma nic za darmo! - roześmiała się pogardliwie. - Zszokowałeś mnie, Dawidku. Kto ci naopowiadał takich głupot? Z pewnością nie wymyśliłeś tego sam.

- Pewien pikulik - odparłem na swoją obronę. - W porządku gość. Jeśli chcesz, to cię przedstawię.

- Żywiołakowi?! - Z przerażeniem spojrzała mi w oczy.

- A żywiołakowi! - Uśmiechnąłem się.

- Nigdy!

Z trudem ukryłem rozbawienie.

- Zawrzyjmy umowę. - Zrobiłem przebiegłą minę. - Złożmy przyjacielską wizytę pikulikowi, a ja poważnie zastanowię się nad karierą Wtajemniczonego psychometryka. Zgoda?

Rumieniec furii na twarzy Tamary i krótkie warknięcie rozbawiły mnie do łez.

- Nigdy! - powtórzyła, ale wiedziałem, że niedługo jej przejdzie. Uwielbiam te nasze spory.

Zadowolony z siebie rozwaliłem się na siedzeniu i z szerokim uśmiechem na twarzy założyłem ręce za głowę.

„Ciekawe, co tam słyhać u Wyrwigrosika? - zastanawiałem się. - Nawet jeśli nie idzie mu w interesach, zawsze pozostaje ten jego bar. Hm, tylko żeby Tamara nie zaskoczyła mnie i rzeczywiście nie poszła tam razem ze mną. Musiałbym wtedy dotrzymać słowa”.

Ale potem wyobraziłem sobie swoją nową wizytówkę: DAWID ABEL, MAG. Brzmiało nie najgorzej. Może jednak warto się nad tym zastanowić?

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Na koniec nie pozostaje mi nic innego, jak podziękować za pomoc tym, bez których nigdy nie powstałaby niniejsza książka. Wybaczcie mi oględność, ale nawet przy najszczerzych chęciach nie byłbym w stanie wymienić imion wszystkich osób, którym winien jestem podziękowanie.

Za motywację dziękuję moim ulubionym żywym i martwym idolom, którym dedykowałem kilka fragmentów niniejszego tekstu. Wierzę, że nie uraziła ich dyskretna ironia.

Za informacje dziękuję ludziom, którzy interesują się mistyką, demonologią, magią, ezoteryką, okultyzmem oraz innymi niepopularnymi dziedzinami nauki. Wszystkim, którzy wciąż gromadzą i zapisują powoli odchodzące w zapomnienie mądrości i rozpowszechniają je w książkach, czasopiśmie, mediach i w Internecie. Dzięki nim wiele treści ma szansę dotrzeć do nas - bardziej leniwych lub zapracowanych osobników.

Za wsparcie dziękuję ludziom z mojego otoczenia, którzy pomogli mi w rozpoczęciu pisania, intensywnie zachęcali mnie do dalszej pracy i krytykowali za błędy literackie. Przyjaciołom, rodzinie, znajomym, a przede wszystkim wspaniałym ludziom z kręgu czasopisma „Fantázia” oraz internetowego magazynu „Hlboký Hrob”.

Za pomoc przy tworzeniu powieści dziękuję ludziom, bez których książka nie ukazałaby się w ostatecznej postaci. W tym miejscu muszę być konkretny - dziękuję Alešowi, Mimie, Stanowi, Mišowi, Mischowi, Milošowi i Dii.

Szczególne podziękowania kieruję do swojego wydawcy.

I jednej piwnoockiej, czarnowłosej muzy, która... Ale nie musicie wszystkiego wiedzieć.

Dziękuję tym, którzy kupili i przeczytali niniejszą książkę. Bez Was nie byłoby słowackiej fantastyki ani słowackiej literatury.

Na koniec, w imieniu nas wszystkich, chciałbym podziękować nadprzyrodzonym istotom, które wciąż nad nami czuwają.

Jeszcze raz dziękuję.

Dušan D. Fabián

SPIS TREŚCI

Część II - Goliat	2
Dzień ósmy - poniedziałek 18.09	8
Dzień dziewiąty - wtorek 19.09	30
Dzień dziesiąty - środa 20.09	54
Dzień jedenasty - czwartek 21.09	73
Dzień dwunasty - piątek 22.09	110
Dzień trzynasty - sobota 23.09	137
Epilog - Stało się potem	148
Podziękowania	155